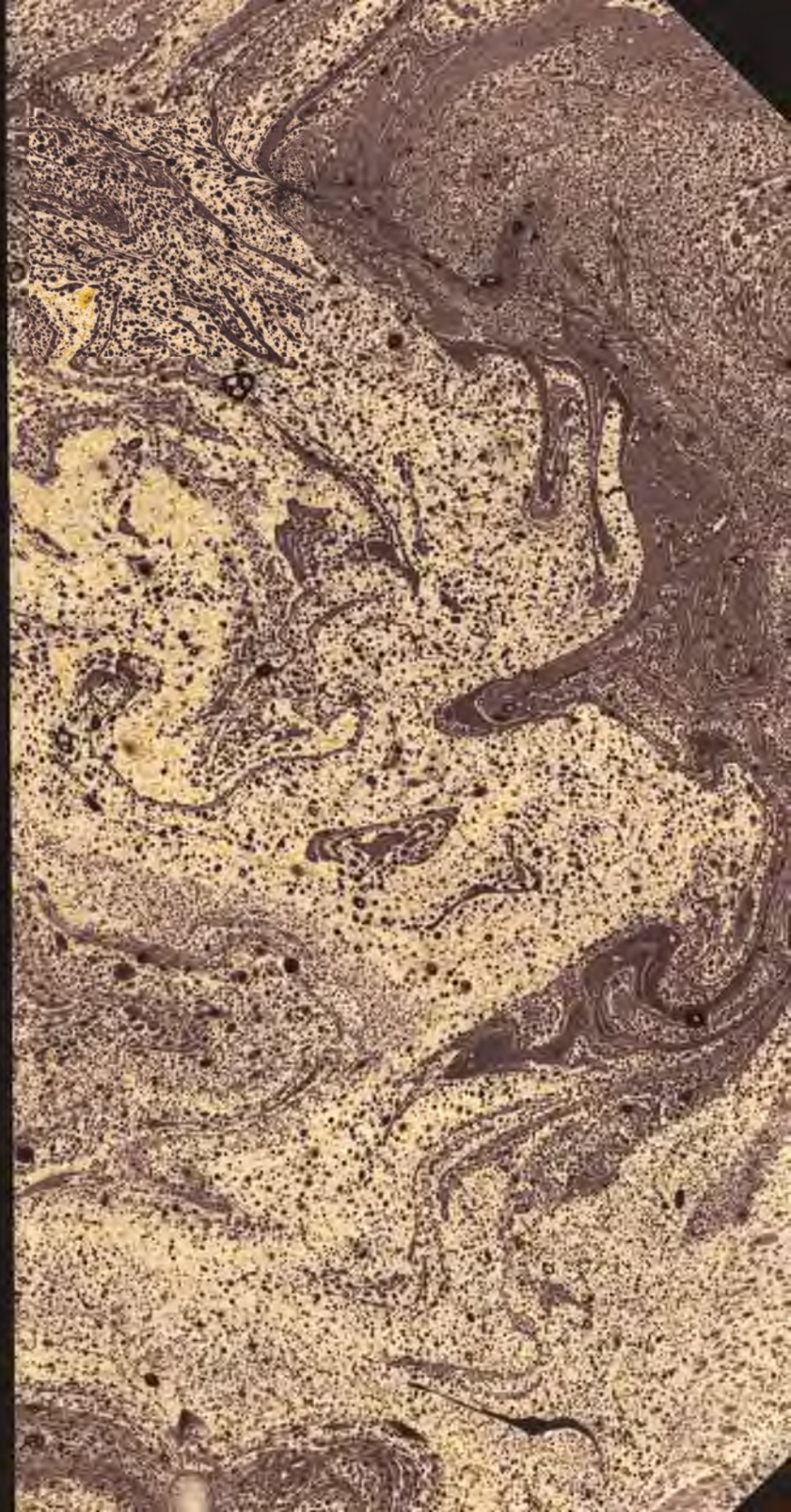
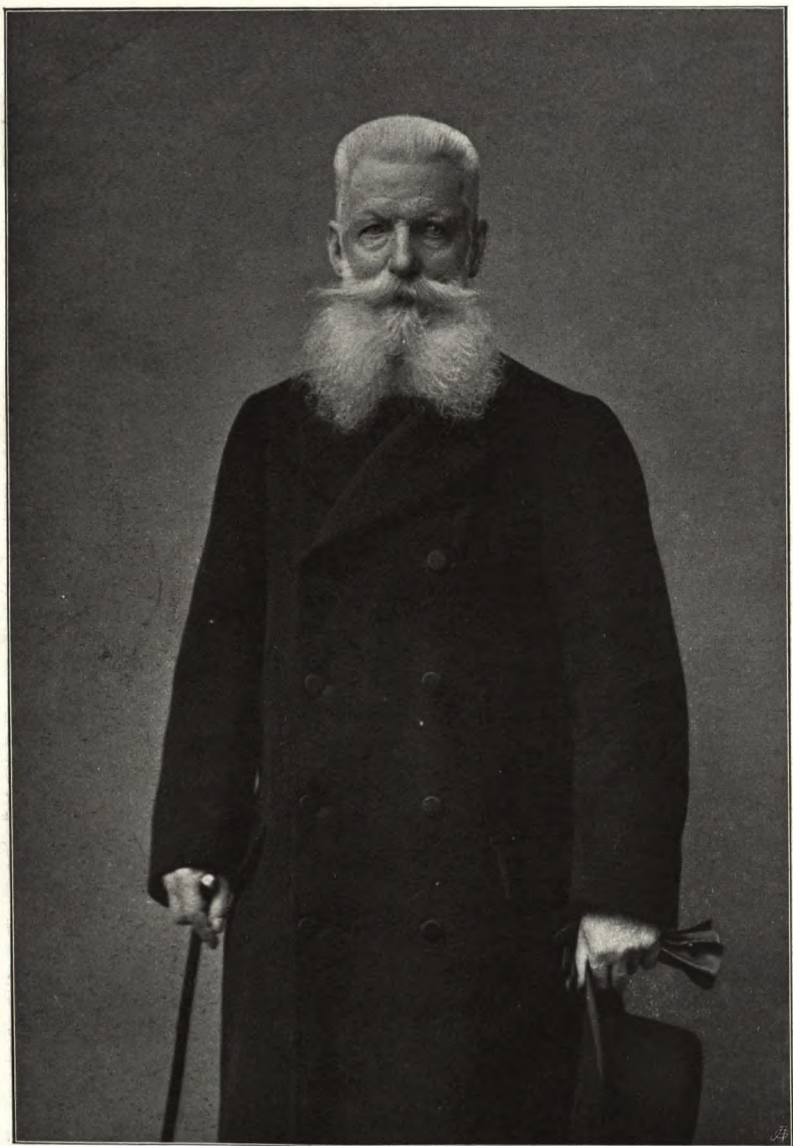




G. 392.

WSPOMNIENIA Z LAT UBIEGŁYCH.

Pamięć



Wladimir
Borowski

6.548

9.392

WSPOMNIENIA Z LAT UBIEGŁYCH.

LISTY DO MOICH SYNÓW

SKREŚLIŁ

JENERAŁ WŁADYSŁAW Hr. PONIŃSKI.

»Szukajcie szczęścia w wypełnieniu obowiązków
a pociechy w pracy«.

Z 7 PORTRETAMI.

W KRAKOWIE
CZCIONKAMI DRUKARNI »CZASU«
1902.



N WER 314417

NAKŁADEM RODZINY.

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. D1 nr 143 /2011/ CM

Sapożyn, $\frac{21 \text{ listopada}}{3 \text{ grudnia}}$ 1887 r.

Kochani Stefanie i Mieczysławie!

Od lat wielu, z różnych stron, nalegają na mnie, abym coś o mojej przeszłości skreślił; lecz wstręt do mówienia o sobie i trudność, prawie niemożliwość przypomnienia sobie dat po tylu latach, były głównymi przyczynami, że dotąd tego nie uczyniłem.

Ustępując jednak naleganiom przyjaciół, którzy utrzymują, że obowiązkiem moim jest choć dla was zostawić wspomnienia o życiu mojem, zdecydowałem się korzystać z chwil wolnych i pisywać do was listy, zawierające fakta z życia mego, które was interesować mogą i które może chętnie po mojej śmierci przeczytacie.

Przyznaję się szczerze, że z pewną niechęcią do tego przystępuję.

Nieograniczona łaska Pana Boga, której licznych dowodów w życiu mojem doznałem, pozwoliła mi dobrze i szczęśliwie wykonać zamiary, o których także będę musiał wspomnieć.

Nie szukałem nigdy zaszczytów i nigdy nad innych się nie wywyższałem; owszem, często walczyć musiałem z nieśmiałością, której, zwłaszcza w młodym wieku, podlegałem; mogę więc szczerze i sumiennie powiedzieć, że całe życie

starałem się tylko moje obowiązki jak najlepiej wypełniać.

Zasada, że wszystko, czego się nie umie, trudnem jest, a to, czego się człowiek nauczy, staje się mniej więcej łatwem, była dla mnie bodźcem do wytrwania w trudnościach, jakie napotykałem.

Wola i wytrwałość są to wielkie siły, któremi dużo trudności można przewyciężyć. A lepiej jest dążyć drogą wąską do wytkniętego celu, niż bez celu puszczać się różnemi szerokimi, łatwemi drogami życia.

Środki, prowadzące do celu, mogą się podług okoliczności, w jakich się znajdujemy, zmieniać, ale zawsze sumienie i poczucie obowiązków powinny nas prowadzić. A one, gdybyśmy się nawet chwilowo pomylili, naprowadzą nas znowu na prawdziwą drogę.

Na tym świecie całkowitego szczęścia szukać nie trzeba, bo go niema i nawet nie jest tu dla nas przeznaczonem — a o ile jest naszym udziałem tu na ziemi, to dać je nam może tylko spokój umysłu i wewnętrzne zadowolenie, płynące z przekonania, żeśmy się zawsze starali sumiennie spełniać nasze obowiązki. Do tego więc szczęścia zawsze dążyłem; a chociaż często mogłem się pomylić w pojęciu tego, co było moim rzeczywistym obowiązkiem, to jednak sumienne przekonanie o moich dobrych chęciach tak mnie zadawalnia, że oczekuję spokojnie dnia śmierci mojej, licząc na nieskończoną łaskę i miłosierdzie najlepszego ze wszystkich Ojców, Pana Boga.

Od dzieciństwa miałem pociąg do wszystkiego co, wojskowe. Odebrałem więc odpowiednie wychowanie i wstąpiłem, jako poddany austriacki, do tegoż wojska. W r. 1848, w randze po-

rucznika, prosiłem o dymisyę i otrzymałem ją, jak się w wojsku austriackiem mówi, „bez charakteru“, to znaczy, że nie zachowałem żadnej rangi w armii ani prawa do noszenia munduru, a to dla tego, gdyż chciałem być zupełnie swobodnym w czynieniu tego, co mi uczucie narodowe nakaze.

W Węgrzech toczyła się właśnie walka o niepodległość i formowała się legia polska w nadziei, że dla Galicyi coś korzystnego z tej wojny wyniknie; udałem się więc i ja w tej samej nadziei do Węgier. Później brałem udział w wojnie Krymskiej, w której, z tej samej przyczyny, co w Węgierskiej, sformował się legion polski. Wreszcie nastąpiła wojna włoska 1859 r. I choć już wtedy żadnej nadziei dla Polski nie widziałem, wstąpiłem jednak do wojska włoskiego, ponieważ o narodowość i dobrą sprawę chodziło. Nadto pragnąłem się dalej kształcić w zawodzie wojskowym, ufając, że kiedyś będę mógł zdać z tego, czego się w innych krajach nauczyłem, egzamin praktyczny we własnym. Niestety, te nadzieje, które mnie do wytrwałości zachęcały, spełzły na niczem; zostałem starcem, nie znalazłszy sposobności służenia własnej Ojczyźnie. Powstanie 1863 r. uważałem za nieszczęśliwe dla kraju, i jestem bardzo zadowolony, że w niem udziału nie brałem.

Wasz kochający Ojciec

Władysław Poniński.

I.

Pochodzenie i wychowanie podczas lat dziecinnych i w Akademii Inżynierów w Wiedniu.

Urodziłem się d. 16 lutego 1823 r. w Galicyi, w powiecie Jasielskim, w Zrencinie, majątku, należącym wówczas do moich rodziców. W drzewie genealogicznem, wydanem w r. 1883 przez p. Teodora Szeligę Żychlińskiego, jestem mylnie umieszczony jako syn Adolfa hr. Ponińskiego, ożenionego z Krystyną Pietruską. Z tego pierwszego małżeństwa została tylko jedna córka Krystyna, wydana za p. Ksawerego Milieskiego.

Ojciec mój August, był starszym bratem pana Adolfa, a synem Ignacego Augusta hr. Ponińskiego który, ożeniwszy się po śmierci pierwszej swojej żony hr. Roedern, z hr. Dohna, osiadł na Szląsku Pruskim w majątku Siebeneichen, do którego należały także dobra Kleinwandris i Kraibau.

Ojciec mój rodził się z hr. Dohna. Będąc rotmistrzem ułanów austryackich w Galicyi, ożenił się tam z moją matką, Maryą Ponińską, córką hr. Franciszka i Heleny z Drohojowskich, a urodzoną w Milatyczach w majątku swego ojca.

Mój dziadek Ignacy otrzymał od rządu pruskiego dla siebie i potomków swoich obywatel-

stwo i przyznanie tytułu hrabiowskiego. W r. 1842 ojczym mój Adolf otrzymał to samo dla siebie i dla nas trzech braci: Artura, mnie i Alfreda, od rządu austriackiego, a ja w r. 1880 od rządu włoskiego, dla siebie, mojej żony i was dwóch, jak również i dla waszego potomstwa.

W Zrencinie, do którego należała znaczna ilość folwarków, spędziłem tylko pierwszych kilka lat mego życia; i gdyby nie opowiadania Antona, starego kamerdynera mojego ojca, jeszcze z jego kawalerskich czasów, nie mógłbym dobrze zdać sobie sprawy z przyczyn, dla których moi rodzice z tego majątku się wynieśli.

Anton, był to człowiek wielkiej poczciwości, zupełnie oddany naszej rodzinie; uważał ją za swoją, gdyż będąc starym kawalerem własnej nie miał. Największą jego rozrywką było nas bawić, historyjki nam opowiadać, jednym słowem, niankę zastępować, za co wywdzięczaliśmy się jemu wielkiem przywiązaniem. Otóż mówił mi on, że majątek musiał być sprzedanym w skutek nie udanych spekulacyj i wielkich nadużyć oficyalistów, posiadających największe zaufanie mego ojca.

Po sprzedaży Zrencina, ojciec mój wziął od rządu w dzierżawę dwa wielkie majątki w Samborskiem: Smolnę i Borynie, a zamieszkał z całą rodziną w Smolnie.

Smolna, był to majątek bogaty w rudy żelazne i żelazo stanowiło główny jego dochód; były więc mnichy czyli piece do topienia, a w niektórych folwarkach fryszerki czyli hamernie do kucia żelaza. W Boryniu zaś, oddalonem o 5 mil galicyjskich od Smolny, głównie uprawiano o ile pamiętam owies i kartofle, a dochód stanowiły gorzelnie.

Z pobytu naszego w Smolny mogę sobie już lepiej zdać sprawę. Rodziców moich pamiętam cokolwiek więcej, jak również i ich postępowanie z nami.

Było nas trzech braci: Artur, potem ja i najmłodszy Alfred. Między Arturem a mną była wielka różnica wieku, między mną a Alfredem zaś bardzo mała.

Ojciec mój, dawny wojskowy udekorowany różnemi krzyżami i prawdziwy typ wojskowego, surowo przez swego ojca wychowany (jak to wiem z opowiadań moich stryjów), i nas też krótko trzymał, tak, że oprócz przywiązania, czuliśmy pewną bojaźń, aby przez niego nie być ukaranymi za jakiś wybryk dziecinny. Żaden z nas n. p. nie byłby śmiał stanąć przed ojcem w powalanych bucikach, a jeżeli nas zawołał w chwili, kiedy, bawiąc się w konie obłóciliśmy je, to pierwszej biegliśmy sobie oczyścić buciki liściem, a potem dopiero do ojca.

W szczególny sposób nie znosił bojaźni i wszelkimi sposobami starał się ją w nas wykorzenić. Pamiętam, raz na pieszym spacerze z rodzicami w Zrencinie, spotkaliśmy rodzinę owczarzy, którą ojciec sprowadził był ze Szląska pruskiego. Jechali oni w budzie (jest to rodzaj woza nakrytego płótnem rozciągniętem na kabłąkach drewnianych), z której jeden wysiadł, aby się memu ojcu przedstawić i zdać sprawę z podróży. Z całego opowiadania najwięcej utkwіło mi w pamięci to, że w drugiej połowie drogi dziecko mu umarło, i odezwałem się do ojca, dziwiąc się, że ci ludzie nie bali się w tej budzie z umarłym jechać. Ojciec mój odpowiedział mi, że niema czego się umar-

łych bać, i aby mnie lepiej o tem przekonać, rozkazał, abym jeszcze tego samego wieczora czas jakiś, sam na sam, w tej budzie przesiedział, co z wielkim strachem wykonałem, choć już umarłego dziecka tam prawdopodobnie nie było.

Także wieczorem, kiedyśmy się na herbatę schodzili, miał ojciec zwyczaj posyłać jednego z nas na drugą stronę domu pod pozorem, że coś zapomniał. Musieliśmy zatem przechodzić przez ciemne pokoje i wyleczyć się z tej głupiej bojaźni, którą nianki wpajają w dzieci opowiadaniem swemi o strachach.

Matkę lepiej pamiętam niż ojca, gdyż go przeżyła. Była to osoba prędzej wysokiego wzrostu, ciemna szatynka, o niebieskich oczach i zachwycającej powierzchowności; szczególnie piękne miała ręce i nogi, a tak dystygowana, że hr. Aleksandrowa Fredrowa, którą poznałem w Paryżu w r. 1850, rzekła do mnie:

„Przypominam sobie dobrze pańską matkę, była to osoba tak dystygowana, że na niej nawet ścierka jak szal turecki by wyglądała“.

Wszyscy ją kochali i szanowali, a my dzieci ubóstwialiśmy ją po prostu. Żadnych tajemnic przed nią nie mieliśmy; ona nas w smutkach naszych pocieszała, rad udzielała, w sporach godziła, to też ufaliśmy jej ślepo; gdy ojciec jaką surową karę naznaczył, ona łagodziła ją o ile możliwości. Wielka patryotka i bardzo nabożna, umiała te uczucia dobrocią, łagodnością, przekonywującymi przykładami głęboko i silnie w nas wszczepić.

Miałem lat siedm, kiedy pierwszy raz rodzicielski dom w Smolnie opuściłem, ażeby się z moim o 6 lat starszym bratem Arturem do Lwowa na naukę udać. Tam mieszkaliśmy w domu zacnego

i bardzo chwalonego profesora, pod którego opiekę ojciec nas oddał i w gronie rodziny którego dużo miłych chwil spędziliśmy. Artur chodził do gimnazjum, a ja brałem lekcye w domu.

Podczas pobytu naszego we Lwowie, rodzice często przyjeżdżali nas odwiedzać, a na wakacye do Smolny nas zabierali. Po upływie dwóch lat, wróciliśmy na parę miesięcy do domu, gdzie równocześnie przybył nasz kuzyn Romuald Puzyna, rówieśnik Artura. Chodzili oni razem na polowanie, a ja (miałem wtedy 9 lat) napierałem się, by im towarzyszyć; pewnego więc dnia wzięli mnie ze sobą. Byłem bardzo prędkie, ambitny i miałem dużo miłości własnej, okropnie mnie więc to gniewało, że nie mogłem nadażyć za moimi towarzyszami, a kiedy jeszcze zaczęli się ze mnie wyśmiewać, że w tyle zostaję, nie mogąc dłużej złości powstrzymać, zawołałem, odciągając kurek od mojej małej strzelby: „Słowo honoru daję, że jeżeli na mnie nie poczekacie, to do was strzelę!“ Brat mój, wiedząc, że'm gotów groźbę wykonać, stanął i poczekali oba na mnie, ale gdym się z nimi zrównał, odebrali mi strzelbę, mówiąc, że jestem jeszcze zanadto wielkiem dzieckiem, bym się strzelbą posługiwał, gdyż mogłem bratobójstwo popełnić. Słowa te takie na mnie zrobiły wrażenie, że przeprosiłem brata i kuzyna i od tej chwili zacząłem nad sobą pracować, aby prędkość moją zwyciężyć i stać się panem siebie — to też wypadek ten wywarł wpływ na cały mój charakter.

Po tym krótkim pobycie w Smolnie, rodzice wysłali nas, Artura i mnie, do Wrocławia. Stryj Adolf nas odwiózł i oddał do katolickiego gimnazjum, kierowanego głównie przez księży. W tym

samym budynku był konwikt, a także pewna liczba pokoi, w których, za pewną dopłatą, mogli uczniowie osobno mieszkać, jeżeli naturalnie zgadzali się na kuchnię tamtejszą. W takich więc pokojach umieścił nas stryj i przyjął do nas nauczyciela, a na lekcye chodziliśmy do gimnazjum.

W zakładzie uczono także śpiewu i muzyki na różnych instrumentach, a starsi i ubożsi uczniowie przychodzili, za pewnem wynagrodzeniem, lekcye dawać tym, co osobno mieszkali. Zacząłem się i ja uczyć muzyki i śpiewu, lecz w krótkce i jedno i drugie zaniedbałem.

Na tym samym korytarzu, co i my, mieszkał dyrektor, zwany Regens, który od czasu do czasu obchodził pokoje, żeby się przekonać, czy się wszyscy spokojnie zachowują. Był to ksiądz nie młody z długim czerwonym nosem, powoli mówiący, którego zjawienie się postrachem dla uczniów było.

Po dwuletnim pobycie we Wrocławiu, wziął nas stryj Wilhelm do siebie, do zamku w Sieben-eichen. Tam prywatny nauczyciel przygotowywał Artura do Akademii, a mnie do dalszych szkół. Gdy brat mój wstąpił do Akademii w Lignicy, oddano mnie na pensję w bliskości tego miasta, z kąd z moim bratem jeździliśmy do naszych ciotek, do ich majątku Kleinwandris, albo do Kraibau w Szląsku pruskim, należącego do stryja Krzysztofa.

Podczas bytności naszej w Prusiech, umarł ojciec, a matka wyszła za swego szwagra Adolfa, wdowca po pierwszej żonie z domu Pietruskiej, lecz w 7 miesięcy po ślubie umarła jeszcze podczas pobytu naszego na Szląsku.

Ponieważ zawsze miałem wielki pociąg do wojska, wziął mnie ojczym mój Adolf z Prus i umieścił w Samborze, w Galicyi, u profesora, który mnie do Akademii Inżynierów w Wiedniu przygotowywał. Było mi tam bardzo dobrze, bo, chociaż dużo pracować musiałem, ojczym mój, wiedząc jak namiętnie lubiłem konie i konną jazdę, pozwolił mi, dla zachęty, trzymać doskonałego wierzchowca.

Korzystając z tego, co dzień po skończonych lekcyach uganiałem konno po okolicach Sambora, a co soboty jeździłem w sąsiedztwo do państwa Medwejów, gdzie się doskonale bawiłem, a nawet podkochiwałem się w jednej z ich pięknych córek.

W tym czasie wrócił Artur z Akademii Li-gnickiej i zamieszkał w Smolnie a później w Boryniu.

W r. 1838 oświadczył profesor ojczymowi mojemu, że jestem już dostatecznie przygotowany do Akademii; miałem wówczas lat 15. Ojczym mój już był dla mnie miejsce w Akademii zamówił, zaopatrzył mnie więc tylko w potrzebne pieniądze i wyraził nadzieję, że sobie potrafię dać radę sam z załatwieniem w Wiedniu formalności do wstępu potrzebnych i ze zdaniem egzaminu.

W krótkce potem wyjechałem do Wiednia, gdzie w hotelu stanąłem. Nazajutrz udałem się do dyrektora jenerała Brassenz'a, który, widząc tak młodego chłopca, samego, z dalekich stron przybyłego, zainteresował się mną i w długą rozmowę się wdał, w której zrozumiałem, że wzbudziłem w nim sympatyę. Starzec przemówił do mnie ojcowskiemi słowy i sam kazał mi wszelkie formalności ułatwić.

Po zdanym egzaminie, przeznaczono mnie do II-ej z dołu czyli do 5-ej klasy Wojskowej Akademii Inżynierów w Wiedniu. Miałem więc jeszcze pięć klas do przejścia, ażeby przy dobrych naukach jako oficer z tej Akademii wystąpić. Wziąłem się szczerze do nauk, a równocześnie starałem się dobrem postępowaniem zjednać sobie przełożonych, co mi się udało, gdyż w kilka miesięcy po mojem wstąpieniu do Akademii, przywołano mnie do generała Brassenz'a, który pochlebniemi słowy wyraził mi swoje zadowolenie.

Co roku dyliżansem jeździłem do domu na wakacje. Ażeby się dostać do najbliższej stacyi Smolny trzeba było 4 dni i 5 nocy jechać, lecz w tak młodym wieku uważałem tę podróż jako rozrywkę, a także podróże końmi więcej miały dla mnie poezyi w sobie, niż koleją żelazną. Robiło się często zajmujące i przyjemne znajomości, zwiedzało się kraje o wiele dokładniej, ich obyczaje i zwyczaje poznawało się lepiej; ludzie byli spokojniejsi i swobodniejsi; nie żyli w tym gorączkowym pośpiechu, spowodowanym teraz przez koleje, telegrafy, telefony i wszystkie tego rodzaju nowe odkrycia. One wprawdzie znacznie przestrzeń zmniejszają i czas skracają, gdyż czynności niektóre, wymagające dawniej co najmniej kilku dni czasu, teraz wykonane być mogą w kilka godzin. Ale z tego wynika, że wypadki, które się dawniej latami całemi rozwijały, teraz potrzebują zaledwie kilku miesięcy lub nawet tygodni.

W ciągu mojego 5-cio letniego pobytu w Akademii nigdy nie byłem karany i wyrobiłem sobie tak korzystną opinię u moich przełożonych, że gdy jednej nocy w sypialni naszej jednemu z kolegów pieniądze zginęły i z tego powodu ogólna

rewizya nakazaną została, dyrektor Akademii jenerał Brassenz kazał mnie do siebie zawołać i rzekł, że, chociaż rozumie dobrze, iż ten akt rewizyi musi być dla mnie oburzającym, prosi mnie jednak, bym się takowemu poddał, bo dla nikogo wyjątku robić nie może. Jenerał dał tem dowód, że mnie gruntownie poznał, nie wiem bowiem, czy bez tego jego przestrzeżenia, nie byłbym się dopuścił największej niesubordynacyi, ponieważ zawsze byłem prędkie, a zarazem bardzo drażliwy na wszystko, co mogło dotknąć mój honor i moją miłość własną.

Po upływie tych pięciu lat t. j. w r. 1843 zostałem mianowany podporucznikiem w I-ym pułku dragonów. Uczniowie tej Akademii mieli przywilej wybierania broni i pułku, ja więc zażądałem być w galicyjskim.

Chwila postąpienia na oficera była jedną z najpiękniejszych w mojem życiu, przejście bowiem z ucznia na oficera jest tak gwałtownym skokiem i tak wielką zmianą, że w żadnej innej karyerze młody człowiek tego uczucia doznać nie może.

Pojechałem potem na urlop do Borynia, gdzie wówczas mieszkał mój ojczym Adolf Poniński ze swoją trzecią żoną z domu hr. Dohna (oboje w późnym wieku w Lipsku umarli). Nie zastałem ich jednak, bo byli do Lwowa wyjechali; zaproponowałem więc rządcy, dawnemu oficerowi z 1831 r., aby mi moje rzeczy kazał do gorzelni przenieść, gdzie na pierwszym piętrze znajdował się jeden pokój mieszkalny. Na tę propozycję jednak odpowiedział, że mi nie radzi w gorzelni zamieszkać, ponieważ są tam strachy, które mi spocząć nie dadzą. Ale ja odkryciem tem właśnie zachęcony, sprowadzi-

łem się do gorzelni, mniemając, że te strachy, to nic innego jak tylko ludzie, którzy interes swój w straszaniu znajdują.

Kładąc się do łóżka zauważyłem, że lokaj, który mnie rozbierał, srebrną miednicę i ubranie moje w przedpokoju zostawił. Na moją uwagę, że ktoś je ukraść może, tem łatwiej, że nikt prócz mnie w budynku nie spał, odpowiedział, że nie ma obawy, bo nikt w nocy do gorzelni nie wejdzie z obawy dyabłów. Tą odpowiedzią jeszcze bardziej zaciekawiony przygotowałem sobie świecę, zapałki, wydobylem pałasz z pochwy, postawiłem go przy łóżku i zatrzymałem mego dość dużego psa legawego przy sobie.

Zmęczony podróżą prędko i mocno zasnąłem. Naraz około północy, zbudzony zostałem szczekaniem psa i wielkim hałasem w przedpokoju. Przysłuchawszy się chwilę, odróżniłem stukot taki, jak gdyby ktoś na szczudłach przed drzwiami mojego pokoju galopował. W tej chwili pies mój rzucił się z największą wściekłością ku drzwiom, a ja nie dając sobie czasu świecę zapalić, chwyciłem za pałasz i szczując psa i rąbiąc koło siebie pałaszem, żeby mnie nikt za nogi chwycić nie mógł, wypadłem na przedpokój. Ale jakież było moje zdziwienie, kiedy mój pies, zamiast się na tego kogoś rzucić, przestał szczekać, nie chciał odemnie odejść i skowyczeć zaczął. Hałas także, który tak dokładnie przed drzwiami słyszałem, ustał nagle i przyczyny jego odkryć nie mogłem.

Wróciwszy do mojego pokoju, otworzyłem okno od strony wchodu do gorzelni i patrzyłem, czy kto z niej nie wyjdzie; ale prócz stróża, który gorzelni pilnował, nikogo nie spostrzegłem, tylko

słyszałem, jakby ktoś łańcuch po schodach ściągał. Rano pytałem stróża, czy czego w nocy nie słyszał? Odpowiedział, że słyszał nie tylko zwykłe strachy, ale w dodatku jeszcze jakieś uderzenia jakby pałaszem.

Nie przyznałem się nikomu do tego zdarzenia, i dopiero kiedy ojczym mój, który wrócił nazajutrz, dowiedziawszy się, że w gorzelni spałem, zaczął się mnie wypytywać o strachy, opowiedziałem mu dokładnie com słyszał, na co przyznał, że będzie musiał dać gorzelnię wyświęcić, bo już robotnicy w niej pracować nie chcą.

Po powrocie ojczyma i macochy sprowadziłem się do domu mieszkalnego i innych doświadczeń już nie robiłem, czego później bardzo żałowałem.

Po nadejściu mojej nominacji w Boryniu. kupiłem dwa konie i umundurowałem się częściowo we Lwowie a częściowo w Wiedniu, udając się do mojego pułku. Pierwszy pułk dragonów był w czasie mojego w nim pobytu garnizonowany w Węgrzech. Bardzo mi dobrze było i w pułku moim, gdyż koleżeństwo między oficerami było bardzo serdeczne, i między Węgry, których gościnność jest wielka.

W r. 1845 wziąłem urlop i pojechałem do Galicyi, skąd wracając swojemi końmi, zdarzył mi się wypadek, który przytaczam, aby dać jeden więcej przykład, że prawie z każdego niebezpieczeństwa można dobrze wyjść, jeśli się przytomności nie straci.

Sam powoziłem. W Tarnowie był właśnie dzień targu i dużo pijanego chłopstwa po ulicy się włóczyło; musiałem więc jechać stępo, żeby uniknąć możliwego wypadku. Mimo to, jakiś pi-

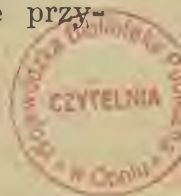
jany chłop zatoczył się na jednego z moich koni i wrzeszcząc i odgrażając się, że go najechałem, machnął na mnie batem, który w rękę trzymał, ale mnie nie dotknął. Furman mój, Mazur, oburzony tem, porwał za batog i chłopą po twarzy smagnął. Wyburczałem go za niestosowne wdawanie się w kłótnie z pijanym chłopem i pojechałem spokojnie dalej. Ujechawszy mniej więcej pół mili, usłyszałem wielki turkot wozów za mną i obejrzawszy się ujrzałem pijane chłopstwo uzbrojone w widły i inne narzędzia, pędzące co koń wyskoczy. Na ten widok, a nie przewidując żadnego złego zamiaru ze strony chłopów, zjechałem na bok z drogi, żeby ich przepuścić. W samej rzeczy, jeden wóz mnie minął, ale stanął w poprzek drogi, a chłopci zeskoczyli z niego, i odgrażając się zemstą za poniesioną zniewagę od mego furmana, zaczęli się zbliżać do mojej najtyczanki. Zrozumiałem od razu, że przy siłach tak nierównych, było ich bowiem przeszło 30, muszę źle wyjść z walki, jeśli się dam zaatakować. Wyjmując więc pałasz z pochwy i przykazując furmanowi i lokajowi, żeby pistoletami, które były nabite i przypasane do najtyczanki bronili chłopstwu zbliżenia się i połączenia ze sobą, poskoczyłem przeciw tym, którzy mi drogę zajęchali, wyzywając ich do walki. Jeden z nich, herszt tej kompanii jak się pokazało, wysunął się naprzód, z czego korzystając ciąłem go przez twarz pałaszem tak, że się krwią zalał, co widząc tamci czemprędzej czapki pozdejmovali i zaczęli przepraszać, tłómacząc się, że oni przez ранnego namówieni byli. Ci zaś, którzy za moim powozem się znajdowali, na widok ранnego i ataku z mojej strony, pozeskakiwali z wozów i pochowali się w zboże.

W pierwszych latach byłem w garnizonie w Moor koło Stuhlweissenburg, we wsi Sowas-Berlin, a w ostatnich w pobliżu Neusatz we Futak.

Z Futak dojeżdżałem często do Neusatz, miasta leżącego nad Dunajem naprzeciwko Peterwardein, gdzie mieszkał drugi właściciel „Inhaber“ pułku, w którym służyłem. Oprócz niego znajdował się tam także komendant wojsk, stary feldmarszałek, ożeniony z młodą i ładną osobą, która, lubiąc się bawić, dawała podczas karnawału bale u siebie. A ponieważ była pochodzenia słowiańskiego, chciała, żeby na jej balach mazura tańczono. Prosiła więc mnie, żebym tego mazura prowadził, i aby się lepiej udał, bym lekcyje pewnej liczbie panów i pań dawał, czem się naturalnie z przyjemnością zająłem.

Kilka dni przed balem, na którym miał być ów mazur tańczony, łód na Dunaju puścił i taka po rzece szła kra, że nie tylko most między Neusatz i Peterwardein znieść musiano, ale wszelka komunikacya między temi dwoma miastami zerwaną była. Żaden z rybaków, posiadających łodzie, nie chciał nikogo przewozić. Na koniec po wielu trudach i namowach znalazł się jeden, który za dobrem wynagrodzeniem zgodził się mnie przewieźć, ale uprzedził, że dokona tego tylko bardzo małą łódką, żebym więc jak najmniej rzeczy ze sobą brał.

Zrobiłem małe zawiniątko z jednego ubrania i udałem się na brzeg Dunaju, gdzie już mego przewodnika z małą łódką zastałem. Ponieważ od kilku dni nikt się na drugi brzeg nie przeprawiał, zebrało się dużo osób, żeby się tej, jak mniemano, niebezpiecznej przeprawie przy-



patrzyć. W łódce było dla mnie miejsce; rybak z wiosłem w ręku musiał stojąco czółnem kierować; jak tylko kry nadchodziły, on na nie wyskakiwał i mnie z czółnem za sobą wciągał, a jak widział znowu wolną od kry wodę, spychał czółno i sam zręcznie do niego wskakiwał. W ten sposób dopłynęliśmy aż do przeciwnego brzegu, a mnie udało się prowadzić mazura na balu, na którym już mnie się wcale nie spodziewano.

Kawalerya wówczas znajdowała się rozrzucona plutonami a najwięcej półszwadronami po wsiach, tak, że każdy oficer był zarazem i naczelnikiem swojej stacyi. To powiększało jego odpowiedzialność, ale i niezależność. Komunikowaliśmy się dużo z sobą, gdyż oficerowie tego samego pułku uważali się jako należący do tej samej rodziny i stosunek między nimi był zwykle bardzo serdeczny.

Po skończonych dziennych służbowych zatrudnieniach, prawie wszyscy oficerowie tego samego szwadronu zbierali się kolejno u jednego z kolegów, lub u obywateli z sąsiedztwa. Tam się cały wieczór mile spędzało, a wracało się dopiero w nocy lub nad ranem.

W ogóle nie trzymaliśmy koni powozowych, więc te wszystkie wycieczki robiliśmy zwykle konno. A jak przychodziło gdzie dalej jechać, najmowaliśmy czwórkę doskonałych koni, które w Węgrzech, w każdej wsi z łatwością dostać można.

Korpus oficerów z I-go pułku dragonów składał się z różnych narodowości; byli tam, prócz narodowości należących do państwa austriackiego, i Niemcy należący do rzeszy niemieckiej i An-

glicy i Francuzi, a te wszystkie najrozmaitsze elementa tworzyły wielką harmonijną jedność.

W r. 1847 postąpiłem na porucznika w tym samym pułku, a w późnej jesieni tego samego roku wziąłem urlop i udałem się do Wiednia, gdzie się mój ojczym z macochą znajdował. Tam mnie zastała rewolucya wiedeńska 1848 r.

II.

Kampania Węgierska 1848—1849.

Z wiosną 1848 r. iskra elektryczna przebiegła część Europy i wskrzesiła w sercach ludzkich silne poczucie narodowości, a we mnie zbudziła dotąd uśpiony patryotyzm, z którego przedtem nie zdawałem sobie sprawy. I choć mając lat dziewięć, opuściłem rodzinne strony (Galicyę) i wychowałem się w Prusiech i w Wiedniu w Akademii inżynierów pod wpływem dyscypliny wojskowej, choć od najmłodszych lat wszczepiano we mnie wygórowane pojęcia o obowiązkach i wierności sztandarowi, pod którym się służy, uczułem, że prócz oficerem austriackim jestem jeszcze i przede wszystkim Polakiem, że zbieg okoliczności może tak zrządzić, iż obowiązki Polaka nie dadzą się pogodzić z obowiązkami oficera austriackiego. (Ci zaś do 1848 r. zupełnie się polityką nie zajmowali. Czytali gazety li tylko dla tego, aby mieć wiadomości o dworze panującym, lub o tem, gdzie kto do jakiego miasta przyjechał).

Napisałem więc do mojego ojczyma, wyjaśniając obawy i prosząc, aby zezwolił mi podać się do dymisji póki jeszcze czas — bo według moich pojęć czułem, że raz wysłany z pułkiem moim do Węgier lub Włoch na linię bojową,

będę zmuszony dotrzymać złożonej przysięgi i sumiennie odpowiedzieć obowiązkom oficera austriackiego. Ojczym mój zrozumiał walkę, która się we mnie toczyła, i odpisał, że się na moje żądanie zgadza. Uradowany tą odpowiedzią, choć z drugiej strony żał mi było opuszczać karierę wojskową, do której miałem wielkie zamiłowanie i od dzieciństwa się przygotowywałem, podałem się natychmiast do dymisji, nie chcąc przedewszystkiem znaleźć się w położeniu, w któremby naraz dwa różne obowiązki zupełnie sobie przeciwne drogi wskazywały.

Raz uwolniony, czułem się spokojny i z siebie zadowolony. Udałem się do ojczyma na wieś do Łątki Górnej w Bocheńskim powiecie w Galicyi i tam czekałem na wypadki.

W Galicyi zastałem wielki szal patryotyczny: wszędzie gwardye narodowe w polskich mundurach, rady narodowe we wszystkich powiatowych miastach. W Bochni ojczym mój był prezesem tej rady, a p. Julian Topolnicki jej sekretarzem. Starszy mój brat Artur był członkiem gwardyi narodowej. Z nim i z moim ojczymem często do Bochni jeździłem i mocno krytykowany byłem, że kiedy inni manifestowali swój patryotyzm, ubierając się w najrozmaitsze narodowe stroje, ja nie przestałem chodzić w reitfraku i wysokim kapeluszu. Przeciskałem się skromnie przez tłumy osób, brzęczących pałaszami i ostrogami, spokojnie czekając, co z tego wyniknie, czy to będzie tylko chwilowa zabawka, czy też się w coś seryo zamieni.

Na początku jesieni tego samego roku zostałem wezwany przez komendę gwardyi narodowej bocheńskiej, która mi zaproponowała, abym się

zajął formowaniem gwardyi konnej, piesza bowiem już istniała, i bym przyjął jej dowództwo. Wiedząc jednak, że rząd coraz niechętniej na tę gwardyę patrzy i że różne szykany robi, co czyniło istnienie jej i formowanie nowych oddziałów niemożliwem prawie, odpowiedziałem, że nie czuję się zdolnym do przyjęcia stopnia i munduru, wystawionego na szykany policyi, lecz, że jestem gotów w ubiorze cywilnym oddziały konne uczyć jak już będą istnieć.

Odpowiedź moja wywołała oburzenie wśród młodzieży, która do tej konnicy należeć miała, jako płynąca niby z braku patryotyzmu—co widząc, oświadczyłem tym panom, że zawsze jestem gotów stawać w obronie ojczyzny, ale kiedy czas na to przyjdzie i coś na seryo zrobić będzie można. Równocześnie zamyśliłem udać się do Węgier, gdzie sprawa narodowa miała się rozstrzygnąć walką otwartą przeciw rządowi austriackiemu. Czekałem tylko, ażeby się rola, jaką generał Jellacicz w sprawie węgierskiej odgrywał, wyjaśniła.

To moje postanowienie z wielkim zapalem zostało przyjęte i kilkudziesięciu z młodzieży prosiło mnie, abym ich nazwiska zapisał i uprzedził, kiedy do Węgier iść będę.

W krótkce potem na początku jesieni 1848 r., kiedy się okazało, że generał Jellacicz służy jedynie sprawie austriackiej, zdecydowałem się iść i podług przyrzeczenia danego uwiadomiłem tych wszystkich, co tego pragnęli. Ale z kilkudziesięciu zapisanych, jeden tylko syn pocztmistrza z onych stron przyszedł i pod moimi rozkazami służył. Koledzy jego utrzymywali, że dał sobie słowo w tej wojnie nie zginąć, bo jak tylko kule zaczynały świstać, on zaraz pod różnemi pozorami w tyle zostawał.

Z Łąky Górnej wysłałem mego ordynansa (który już przy mnie był w I-ym pułku dragonów) z dwoma dobrymi wierzchowcami końmi do miasteczka (Starego Miasta), będącego na granicy Węgier. Sam zaś, wzięwszy na bryczkę cokolwiek bielizny i tylko tyle rzeczy, aby móżdż na owe dwa konie upakować, wyruszyłem też do Starego Miasta, z kądem odesławszy bryczkę, dalej już konno z moim ordynansem jechałem.

W domu zajezdnym, w którym mój ordynans z końmi stanął, znajdował się lancdragon tj. żandarm konny. Słyszając, że ordynans nazywa mnie „panem porucznikiem“, przyjął mnie wojskowym ukłonem i z uszanowaniem ze mną rozmawiał. Przyszło mi na myśl skorzystać z tej okoliczności i zaproponowałem żandarmowi, by mnie do bliskiej wioski nad samą granicą leżącą przeprowadził. Chciałem bowiem jeszcze tegoż dnia być u właściciela tej wioski, a noc już była zaszła.

Spodziewając się nagrody, żandarm przyjął moją propozycję i wyjechał ze mną i moim ordynansem na trakt, prowadzący do granicy węgierskiej. Przyjechawszy do miejsca, gdzie trzeba było z głównego traktu zjechać, by się do wioski przeziemnie oznaczonej dostać, wziąłem żandarma między siebie i ordynansa i wyciągnąwszy nabity pistolet powiedziałem mu, że ponieważ chcę granicę przejechać (która była kordonem wojskowym otoczona i licznymi patrolami pilnowana) i dostać się do Węgier, więc albo, jeżeli mnie bez napotkania wojska austriackiego na forpoczty węgierskie wyprowadzi, dostanie 25 fl., albo kulą w łeb, jeżeli odmówi, lub jakimkolwiek sposobem zdradzi. Żandarm ze spokojną rezygnacją przyjął moją propozycję i po krótkim czasie usłyszałem odzy-

wających się żołnierzy węgierskich, na forpócztach stojących, którzy mnie, dowiedziawszy się o moich zamiarach, z wielką uprzejmością przyjęli.

Rozmówiwszy się z oficerem węgierskim, do którego mnie przyprowadzono, udałem się tejże nocy do najbliższego miasteczka Eperies, gdzie w zajeżdżnym domu przenocowałem.

Nazajutrz rano, zaledwie się ubrałem, przyleciał do mnie wystraszony sługa hotelowy, który kłaniając się bardzo nisko, zawiadomił mnie, że przyszła deputacya z miasta i chce się ze mną widzieć. Zaraz domyśliłem się, że to jakaś omyłka. ale nie dano mi czasu objaśnić rzeczy, gdyż zaraz za sługą hotelowym weszła deputacya, złożona z kilkunastu osób w strojach narodowych węgierskich. Po wzajemnych ukłonach zaczęli pompacyjną mowę, widocznie już przez jednego z członków przygotowaną. Choć mało znałem język węgierski, zrozumiałem jednak na wstępie, że mnie biorą za Mierosławskiego i jego fetować chcą. Przerwałem więc mowę, zapewniając, że nie jestem Mierosławskim, lecz nie zważano na to i zmuszono mnie do wysłuchania do ostatka mowy, dla Mierosławskiego przygotowanej. Przy pożegnaniu poznałem z twarzy deputowanych, że mimo moich powtórzonych zaręczeń nie udało mi się ich z błędu wyprowadzić.

Spieszyłem do Pesztu, gdzie się legia polska pod dowództwem Wysockiego, pułkownika polskiego z 1831 r., formowała.

Chcąc uniknąć dalszych owacyj, które przez omyłkę mogły mnie jeszcze spotkać, pojechałem pocztą, a wierzchowe konie wysłałem do Pesztu z moim wiernym ordynansem.

W Peszcie zastałem już dużo młodzieży z gwardyi narodowej lwowskiej, kilku oficerów z dawnego wojska polskiego i kilku Polaków z armii austriackiej. Na czele tego wszystkiego stał Wysocki, który, po wielu układach z rządem węgierskim, uzyskał nakoniec upoważnienie do uformowania jednego batalionu piechoty, a Tchórznicki, także pułkownik z 1831 r., jednego szwadronu kawaleryi, który przybrał nazwę II. pułku ułanów, czyli „białych ułanów“, ponieważ mieli wyłogi i rabaty białe.

W tym czasie przybył generał Bem, a nienawiść stronnictw była tak wielką, że jeden z młodych ludzi, należących do batalionu Wysockiego strzelił do generała, chybiając go na szczęście. Ten smutny wypadek wywołał naturalnie wielką polemikę we wszystkich gazetach, dla Polaków nie bardzo pochlebną. Na obronę prosił mnie Wysocki o napisanie artykułów do niektórych gazet w Peszcie, bo dobrze język niemiecki znałem, objaśniających to zdarzenie, które wywołane było fanatyzmem młodego człowieka, a przez ogół potępione.

Wysocki, poznawszy mnie cokolwiek lepiej i wiedząc, że tylko co wyszedłem z wojska regularnego, że znam więc służbę i język niemiecki, w którym legion ze wszystkimi władzami korespondował, zaproponował mi, abym, przyjąwszy obowiązki adjutanta batalionu, przy nim pozostał. Nie bardzo mi się chciało wstąpić do piechoty, bo zawsze w kawaleryi służyłem, ale rozważywszy:

1^o że ten batalion wkrótce na linię bojową wyruszy;

2^o że jego dowódzca Wysocki, który mi się odrazu podobał, życzy sobie tego;

3^o że formowanie ułanów w Budzie (Ofen) pod Tchorznickim prawdopodobnie się przeciągnie, przyjąłem w październiku 1848 r. miejsce adjutanta batalionu, ze stopniem, w którym wystąpiłem z wojska austriackiego tj. porucznika.

Wysocki, jako dowódzca tego batalionu, miał nadany stopień majora przez rząd węgierski. Przyjął go, mimo że w wojsku polskim 1831 r. miał wyższą rangę, gdyż ufał, że podczas wojny nie tylko dopędzi dawny stopień, ale i przepędzi. Tak się też i stało, zdatność jego bowiem, połączona z zimną krwią i osobistą odwagą, doprowadziły go do stopnia generała i dowódcy dywizyi.

Był to człowiek wielkiego poświęcenia i bardzo szanowany, ale zapatrywał się zanadto demokratycznie na swoich podwładnych, których, nie wyłączając prostych żołnierzy, kolegami nazywał. Ten sposób obchodzenia się z legionistami, łagodny i wielce pobłażający, bardzo utrudniał wejście w karność, której dyscyplina wojskowa wymaga i która głównie różni wojsko od hordy uzbrojonej, a zwłaszcza, że była to młodzież niesforna i zarozumiała, z której każdy wierzył w swoją zdatność na oficera. Jako adjutant batalionu musiałem często swojej władzy nadużywać, i nic nie mówiąc Wysockiemu, karać żołnierzy, którzy na to zasługiwali. Gdy raz kilku za przekroczenie większe w kajdany okuć kazałem, zrobił mi Wysocki wielkie wyrzuty, a intelligencya burzliwa i rezonująca zarzuciła mi, że chcę ich po austriacku traktować.

Z Pesztu posłali nasz batalion w listopadzie do miasta Aradu. Stary Arad leży na prawym, a Nowy Arad i forteca na lewym brzegu rzeki Marosz. Stary i Nowy Arad zostawały w rękach

Węgrów, forteca wszakże zajęta była przez Austryaków.

Po porozumieniu się dwóch wodzów, pułkownika Maryaszy, Węgry, i Wysockiego, którzy stali pierwszy w Nowym, drugi w Starym Aradzie, zdecydowano się nocną wycieczkę zrobić i niespodzianie napaść na austryacką załogę. Naturalnie, że ten projekt, udzielony niektórym starszym oficerom legii, z entuzjazmem został przyjęty, a bliskość chrztu ogniowego wywołała wielką radość.

Wkrótce wszystkie przygotowania, jako drabiny, mosty i t. p. były gotowe, napad więc postanowiono wykonać 3 grudnia w nocy.

Noc była ciemna i tylko wewnątrz nas świeciła gwiazdka nadziei odznaczenia się i zasłużenia sobie na sławę, jakiej oddawna wojsko polskie używało. Ta pierwsza próba, na którą wystawieni byliśmy, nie była z najłatwiejszych, daleko bowiem trudniej jest być odważnym w nocy, która ciemną swą zasłoną pokrywa tak bojaźń jak i odwagę, niż w dzień na otwartem polu, gdzie się jest przez masę ocz widzianym. Mimo tej okoliczności nie mogę nie oddać sprawiedliwości batalionowi polskiemu, że się bił jak stary żołnierz, mógł więc sam z siebie być zadowolonym.

Batalion polski spotkał ten zaszczyt, że się pierwszy na mury fortecy po drabinach wdrapywał, ale w czasie tej czynności sam szelest, wywołany ruchem stojącego pod murami wojska, przykładaniem drabin i wyłazaniem po nich, obudził uwagę stojących za murami sztyldwachów. To też dochodząc do szczytu murów fortecznych nie tylko byliśmy przyjęci ogniem z karabinów, ale jeszcze żołnierze, którzy już się byli zbiegli, strącali i wywracali nasze drabiny z murów. Jako

adjutant batalionu pragnąc dać dobry przykład, pierwszy wdrapałem się na jedną z przystawionych drabin, ale zostałem zrzucony. Gdy raz pobudka była dana, nie zostawało nam nic innego do czynienia, jak się cofnąć pod gęstym ogniem karabinowym i armatnim. Chodziło tylko o to, żeby się ten odwrót w ucieczkę nie przemienił i złego wpływu na młodym żołnierzu nie wywarł. Po każdym więc większym ogniu z fortecy na nas danym, zatrzymywał się batalion, robiąc front ku fortecy i odstrzeliwał się, chociaż to było bez skutku, a strzały tamtej strony robiły nam szkodę, raniąc a nawet i zabijając zawsze pewną liczbę żołnierzy. Zajmowałem się przytem głównie, aby rannych z sobą zabierać i żadnego nie zostawić. Mimo tak krytycznego położenia liczba rannych i zabitych była wcale nie wielka.

Po powrocie do Nowego Aradu, tak z obowiązku mojej szarży, jak i z pragnienia wypróbowania samego siebie w różnych okolicznościach wojennych, assystowałem lekarzom przy amputacjach. Dopiero po ukończeniu tego wszystkiego i spełnieniu innych jeszcze obowiązków, uczułem pod wieczór wielki głód i konieczną potrzebę wzmocnienia się. Zdałem więc raport Wysockiemu i zasiadłem do jedzenia, które mi podać kazał. Wtedy dopiero spostrzegłem, że rękawy mojej koszuli okryte były zaschniętą krwią rannych, którym assystowałem; wcale mi to jednak jeść nie przeszkodziło, co dowodzi, że nieszczęście drugich, żywe zajęcia i zmęczenie, przytłumiają drażliwość naszych nerwów i wywołują pewną obojętność, która, w innych normalnych warunkach, zdawałaby się być brawadą lub nienaturalnością.

Jeszcze tego samego wieczora przeszliśmy rzekę Marosz i wrócili do Starego Aradu, któryśmy w wilię opuścili.

Pierwszy ogień, pierwsze spotkanie się młodego żołnierza z nieprzyjacielem, można porównać z pierwszym balem młodej panny. Oboje pragną mieć sukces, oboje czują pewną obawę, czy potrafią się znaleźć tak, jak od dawna o tem marzyli: czy zyskają dobrą opinię u ogółu i czy zasłużą na nią przed sobą? Wracając więc do Starego Aradu, przechodziłem myślą wszystkie szczegóły odbytej wycieczki i z zadowoleniem skonstatowałem, że ani razu zimnej krwi nie straciłem i że zawsze byłem panem mojej woli tj., że zawsze dusza panowała nad ciałem. Spostrzegłem także, że dobre wrażenie musiałem zrobić na moich podwładnych, gdyż odtąd cierpliwiej wymówki i kary odemnie przyjmowali i z większem uszanowaniem słuchali. Nad zasługi nawet mnie sędzono, bo Wysocki w dziennym rozkazie wydanym nazajutrz bardzo pochlebnie o mnie wspomniął, nadto 3 grudnia zostałem mianowany kapitanem.

Przybywszy do Starego Aradu, fizycznie i moralnie zmęczony, rzuciłem się ubrany na łóżko i twardo zasnąłem. Okno mego pokoju wyglądało na fortecę, z kąd nieprzyjaciel rzucał na miasto bomby i strzelał ze śmigownic, ustawionych na murach; ja jednak tak twardo zasnąłem, że kole-dzy z trudnością mnie zbudzili, aby pokazać, że kula z takiej śmigownicy przez okno wleciała i utkwiała w ścianie nad mojem łóżkiem, i żądać i prosić, bym się z tego pokoju wyniosł. Ale tak byłem zmęczony, a skutek tego i obojętny na wszystko, że przyjąwszy kolegów nie bardzo par-

lamentarnemi słowy, dalej na tem samem miejscu spałem.

Ponieważ Austriacy starali się wszelkiemi sposobami zaopatrzyć załogę w żywność i amunicję, zatem węgierska kawalerya ścierała się ciągle z ułanami. Składała się ona z gwardyi narodowej konnej, ale choć na bardzo dobrych własnych koniach, ci ojcowie rodzin nie uważali tych ciągłych igraszek z ułanami austriackimi za stosowne dla siebie. Dowódzca więc wojsk węgierskich (w Aradzie był pułkownik Maryaszy) zaproponował Wysockiemu sformowanie oddziału polskich ułanów. Wysocki przeznaczył mnie na dowódcę tego oddziału i powierzył jego sformowanie, upoważniając do wzięcia 50 żołnierzy z batalionu legii polskiej i pewną liczbę oficerów i podoficerów na ochotnika.

Naturalnie, że wybrałem takich żołnierzy, którzy już konno jeździć umieli, a oficerów i podoficerów, którzy dawniej w kawaleryi służyli. Dla szybszego tworzenia tego oddziału, ustanowionego 5 grudnia, podałem projekt: aby dowódzca wojsk węgierskich, do skompletowania jego, pozwolił mi wziąć z batalionu węgierskiego, będącego w Aradzie, żołnierzy, którzy już dawniej w huzarach służyli i nabyć koni od gwardyi narodowej, która swą służbę pełniła w Aradzie, rozpuszczając ludzi do domu.

Projekt mój został w całości przyjęty i tym sposobem otrzymałem ludzi i konie, którzy natychmiast służbę pełnić mogli, na jeden szwadron, który przybrał nazwę I-go szwadronu I-go pułku ułanów, czyli ułanów czerwonych.

Umontowanie jego też nie dużo czasu mi zajęło. Mundury, broń, siodła etc. wziąłem z maga-

zynów austriackich, gdzie wszystko to pozostawiali przedtem w Aradzie stojący ułani austriacy. Mundur naszych ułanów różnił się więc tylko tem od munduru austriackich, że nasi zatrzymali konfederatki czerwone legii pieszej, a także na lancach chorągiewki były kolorów węgierskich.

Dnia 14 grudnia 1848 r., całkowicie poubierani i zaopatrzeni we wszystkie przybory, z końmi osiodłanemi, stali przed magazynem, z którego wydawano broń w chwili, kiedy odebrałem wiadomość od komendanta Nowego Aradu, że kolumny austriackie zbliżają się ze strony fortecy, która jeszcze zawsze obsadzona była załogą austriacką. Wzywał mnie, abym koniecznie choć najmniejszy oddział moich ułanów wysłał na zrobienie rekoniesansu.

Rzeczywiście zbliżał się generał austriacki Leimingen, z trzema batalionami piechoty, pułkiem ułanów i dwunastu działami, aby zaopatrzyć twierdzę w żywność i amunicję.

Sformowałem więc jeden pluton z ludzi już uzbrojonych i na ich czele udałem się do Nowego Aradu ku nieprzyjacielowi. Przeprowadziwszy się przez barykady, za którymi stała artylerya i piechota węgierska załogi Nowego Aradu, wysłałem małe patrole w różnych kierunkach (resztę plutonu zostawiwszy jako rezerwę) a sam z dwoma ułanami na dobrych koniach udałem się ku nieprzyjacielowi najprostszą drogą.

W tym kierunku znajduje się linia pagórków. mniej więcej o jeden kilometr oddalonych od miasta. Tych jeszcze nieprzyjaciel nie był minął, więc z miasta nie można go było widzieć. Zbliżwszy się do tych pagórków, zostawiłem moich dwóch ułanów, a sam na szczyt najwyższego

pagórka wyjechałem. aby nieprzyjaciela zobaczyć i o jego siłach się przekonać. Zaledwie wyjechał, zobaczyłem rozwijające się wojsko nieprzyjacielskie w szyk bojowy; mogłem więc dokładnie siły jego obliczyć. Mieli wszystkie trzy bronie.

Chociaż byłem w mundurze ułańskim bardzo do austriackiego podobnym, poznali po chwili, że do ich strony nie należę i zaraz kilku ułanów za mną wysłali.

Przekonawszy się jak najdokładniej o ich siłach, zjechałem z pagórka, dając moim dwom ułanom umówiony znak, aby się przedemną cofali, sam zaś wstrzymywałem pędzących za mną ułanów, wymierzając od czasu do czasu do najbliższego z pistoletu. Tak zbliżyłem się do barykad, lecz nim zdążyłem do nich dojechać, nieprzyjaciel zrobił mi honor strzelania do mnie z armaty.

Przybywszy do barykad, umieszczonych przy wejściu do Aradu, znalazłem patrole już złączone z resztą plutonu, cofnęliśmy się więc razem za barykady.

Siły węgierskie były tak nieznaczne, żeśmy nie mogli bitwy na otwartem polu przyjąć; nie zostawało nam więc nic innego do czynienia, jak tylko: bronić się za przekopami i barykadami już przygotowanymi. Siły nieprzyjaciela, o dużo nasze przeważające, silnie i energicznie zaatakowały barykady, z których można było przystępu do forticy bronić.

Batalion legii, znajdujący się w Starym Aradzie, to jest po drugiej stronie rzeki Marosz, nie mógł brać udziału w potyczce, a wojsko węgierskie składało się z nowo uformowanych oddziałów.

Cofnąwszy mój pluton nad rzekę, na miejscu, gdzie się prom znajdował, sam zatrzymałem się

w miejscu, z kąd mogłem rezultat tej potyczki widzieć. Barykady, mocno rażone ogniem armatnim i karabinowym, nie mogły się utrzymać rzeczywiście, dla braku sił. Po krótkim czasie żołnierz nie udyscyplinowany, nie tylko, że zaczął uciekać, ale jeszcze nawet i jedną baterię armat opuścił bez żadnej obrony. Pod eskortą więc moich ułanów cofnąłem baterię porzuconą nad prom i natychmiast kazałem przeprowadzić na drugą stronę rzeki; sam zaś z moimi ułanami pozostałem na brzegu, do którego nieprzyjaciół coraz więcej się zbliżał. Widząc krytyczne położenie, pozwoliłem używać czołna, które na brzegu się znajdowało. Tym sposobem część mojego oddziału przeprowadziła się na drugi brzeg z końmi obok w pław puszczonych. Z resztą czekałem na prom, który nadszedł w ostatniej chwili; lecz nim nas Austriacy zdołali okrążyć. W tej okoliczności odznaczył się odwagą i zimną krwią podoficer Strzembosz, który obecnie jest jednym z najlepszych fotografów we Włoszech (Schemboche).

Wiadomość o niepomyślnym skutku obrony Nowego Aradu i późny mój powrót, przyczyniły się do rozniesienia wieści, że z częścią mojego oddziału zostałem wzięty w niewolę. Ta pogłoska bardzo zasmuciła moich pocziwych ułanów, to też radość z naszego powrotu była tak wielka, że się wszyscy ze swego żołdu złożyli na złoty pierścień dla mnie, na którym były dwa miecze i dwie lance krzyżujące się, z napisem: „I-szy pułk ułanów swemu dowódcy“. Ten pierścień naturalnie był dla mnie drogą pamiątką, ale, że był nie wygodny, bo lance i pałasze zaczepiały rękawiczkę przy naciąganiu lub ściąganiu, zdjąłem go i schowawszy go w torebkę, oddałem ją memu wier-

nemu służącemu Danielowi, dawnemu ordynansowi z I-go pułku austriackich dragonów, który ją zawsze na sobie przewieszoną nosił. Ponieważ jednak w końcu kampanii został w niewolę wzięty z moimi końmi (prócz dwóch, które zawsze ze sobą miałem) i wszystkimi rzeczami, więc i tak mi droga pamiątka przepadła.

Jednego dnia zostałem wysłany na drugą stronę rzeki Marosz, aby się z pułkownikiem Maryaszy'm rozmówić. Most na rzece znalazłem już w części pod wodą z powodu kry i szyldwach postawiony na wstępie uprzedził mnie o istnieniu niebezpieczeństwie przejścia mostu. Nie zważając na udzielone mi przestrogi, wjechałem nań. Koń mój nie chciał wejść na część mostu zalaną wodą, ja starałem się go do tego zmusić i gdy dęba stanął, spałem go ostrogami. On więc na tylnych nogach zwrócił się i przez baryerę do rzeki skoczył. Była to zimna niespodzianka. Woda od razu mnie z konia zniosła; chwyciłem się więc jedną ręką za grzywę, a drugą kierując koniem, szczęśliwie na drugą stronę przepłynąłem. Nim jednak do mieszkania pułkownika Maryaszy przyjechałem, podobny byłem do baby wielkanocej lukrowanej, gdyż cały okryty byłem warstwą lodu.

Mieszkańcy Aradu tak się już byli do tego ciągłego bombardowania przyzwyczaili, że nawet przekupki z rynku przed kulami się nie kryły i z wielką obojętnością patrzyły na zburzenia, jakie takowe robiły.

Wracając w jednym z tych trzech dni ze Starego Aradu do nowego oddziału zakwaterowanego za miastem, zobaczyłem batalion piechoty węgierskiej, w którym pewien ruch nieregularny

zdradzał obawę żołnierzy przed kulami padającymi w pobliżu na rynek. Zbliżywszy się do tego batalionu, spostrzegłem jednego żołnierza, który z szeregów się cofnął i uciekać zaczął w kierunku, w którym i ja jechać miałem. Uwaga przełożonych już od pewnego czasu na niego zwróconą była, posłano więc zaraz za nim patrolę, a ja, zaciekawiony tem, co żołnierz robi, jechałem w pewnej odległości za nim, nie spuszczając go z oka. Jak tylko na przedmieściu do pierwszego ogrodu dobiegł, przeskoczył parkan i powiesił się na drzewie. W pierwszej chwili zdziwiło mnie to bardzo, bo dlaczego uciekał, kiedy się śmierci nie bał? Lecz rozmyśliwszy się lepiej, wytłómaczyłem to sobie w ten sposób. Te ciągłe strzały i niepewność życia tak drażniły jego nerwy i taką przykrość mu sprawiały, że wolał śmierć.

Pod Nowym Aradem staliśmy około dwóch miesięcy, podczas których mój oddział ułanów ciągle był używany do nocnych i dziennych patroli, a ja zajęty byłem kompletowaniem i mustrowaniem swojego szwadronu, co mi się przed końcem stycznia udało dokonać.

Dnia 26 stycznia przybył z Banatu generał Damianicz ze swoją dywizją. Legion polski, tak pieszy jak konny, został do tego korpusu wcielony, i wy-maszerowaliśmy razem 4 lutego z Aradu do Szent-es dla obserwowania rzeki Cisy.

Dywizya generała Damianicza składała się: 1°. z batalionu legii polskiej, 2°. z 6 batalionów piechoty węgierskiej, 3°. z 4 szwadronów „Hannover-Huzarów“, 4°. z szwadronu „Ułanów polskich“, 5°. z 3 baterij artylerji, mających każda po 8 dział.

Dywizya znajdowała się już w Czibakhaza, gdy 31 marca zostałem zawołany do generała Da-

mianicza i odebrałem ustny rozkaz wzięcia komendy awangardy, która miała się składać: z mojego szwadronu, z jednego szwadronu huzarów i z batalionu strzelców pieszych (ochotników).

Instrukcja była następująca: wymaszerować wieczorem ku Szolnokowi, o 30 kilometrów od Czibakhasa odległego, i czekać na przybycie reszty dywizyi w wiosce, odległej o jakie 10 kilometrów od Szolnoka.

Noc była bardzo ciemna, a że dywizya miała dopiero w jakiś czas po mnie wyruszyć, uszedłszy kilka kilometrów, zacząłem nazad posyłać patrole, aby widzieć, co się z głównym korpusem dzieje.

Po ujechaniu kilkunastu kilometrów zatrzymałem się w małej wioseczce, nad drogą leżącą, dla doczekania się wiadomości o głównej sile naszej dywizyi. Po upływie godziny nie doczekawszy się powrotu patrol, przyszła mi myśl, że może inną drogą poszły, co w tak ciemnej nocy łatwo się zdarzyć mogło, zwłaszcza, że jak się od chłopów dowiedziałem, istniała druga droga z Czibakhaza prowadząca. Nie czekając więc dłużej, pomaszerowałem do wioski naznaczonej przez dowódcę.

Przybywszy tam, zatrzymałem się w miejscu, gdzie się obydwie drogi z Czibakhaza prowadzące schodziły, a między którymi znajdował się cmentarz.

Żaraz wysłałem patrol z oficerem w stronę nieprzyjaciela, ku Szolnokowi: piechocie kazałem broń w kozły złożyć, kawaleryi z koni poosiadać, a sam wszedłem do chaty, żeby się cokolwiek zagrześć. Usiadłszy na małym stołeczku przy ogniu, który dla mnie rozniecono, zdrzemnąłem się po chwili. W tem wpadł ułan do chaty, mówiąc,

że mnie jakiś głos z cmentarza woła. Zbliżywszy się do tego miejsca, poznałem oficera w chłopa przebranego, który mnie uprzedził, że dywizya z Czibakhaza nie wyruszyła i że jestem nieprzyjacielem otoczony. Równocześnie chłopci w koszułach przybiegli ze wsi. aby mnie uwiadomić, że nieprzyjaciel od Szolnoka się zbliża.

W pierwszej chwili nie mogłem się domyśleć przyczyny tych wszystkich złych wiadomości, ale kazałem natychmiast piechocie stanąć pod bronią. kawaleryi wsiąść na konie, a sam pojechałem z kilkoma ułanami przez wieś na drogę ku Szolnokowi. Chciałem się przekonać, w jakiej sile i czy w ogóle nieprzyjaciel nadciąga, bo już zaczynałem o tem wątpić. gdyż jeszcze patrol, przezemnie wysłany, żadnej mi o nim wiadomości nie przysłał. I w samej rzeczy, przekonałem się, że tym mniemanym nieprzyjacielem nie był nikt inny. tylko mój własny patrol, ale ponieważ moi ułani nosili austryackie białe płaszcze, chłopci wzięli ich za Austryaków. Wróciłem więc do mego oddziału i zciągnąwszy oficerski patrol, zacząłem się ze wszystkimi możliwemi ostrożnościami ku Czibakhaza cofać.

Przybyłem ku południowi 4 marca do Czibakhaza bez żadnej przeszkody i tam dopiero wszystko się wytłómaczyło. Oto moje patrole wysłane w nocy z 3 na 4 marca zbłądziły. Jęnerał Damianicz, otrzymawszy przez szpiegów wiadomość o nieprzyjacielu, odłożył atak na Szolnok i wysłał do mnie przebranego za chłopa oficera. aby mnie o tem uwiadomił i przywiózł rozkaz powrotu do Czibakhaza. Tymczasem ten oficer, jadąc przez wieś, w której się z moim oddziałem zatrzymałem, dowiedział się od mieszkańców, że

nocą przechodziło wojsko po niemiecku mówiące, a zatem austriackie. Okazało się, że to byli moi strzelcy, ochotnicy z Presburga, którzy między sobą po niemiecku rozmawiali.

I tak z wielkiej chmury był mały deszcz.

Zrana 5 marca odbył się atak na Szolnok. Jenerał Vecsey miał równocześnie stanąć ze swoim oddziałem w Török St. Miklosz. położonym na wzgórzach przed Szolnokiem, w taki sposób, aby nieprzyjacielowi jak najmniej sił pokazać, a jednak uwagę jego odciągnąć od głównego ataku, do którego miał jenerał Damianicz prowadzić.

Lewe skrzydło złożone było z kawaleryi pod dowództwem pułkownika Pikiet.

Działa z obu stron rozpoczęły gwałtowny ogień, lecz po krótkiej chwili nastąpiła cisza i raptem rozległ się w powietrzu ogień piechoty. Prawe skrzydło, pod rozkazami Wysockiego będące, gdzie się też i batalion legionu polskiego znajdował, rzuciło się do ataku i szturmem wzięło Szolnok. Nieprzyjaciel zaczął się w wielkim nieporządku cofać, pod osłoną ariergardy, złożonej z pułku „Franz-Joseph dragonów“, bateryi armat i batalionu strzelców pieszych. Bateria dawała ciągle ognia na naszą kawaleryę, która nieczynnie rozkazów czekała. W tej chwili usłyszałem między sobą mówiących ułanów: „Jakby to dobrze było szarżę zrobić na nieprzyjacielską ariergardę i armaty im zabrać“! Udałem się więc natychmiast do pułkownika Pikiet z prośbą, aby mi pozwolił moim szwadronem armaty nieprzyjacielskie zabrać, na co mi odpowiedział (dosłownie) „Wenn ihr nicht stehen bleiben wollt, so geht's in drei Teufels Namen“. („Jeśli nie chcecie stać, to idźcie do stu dyabłów“). Otrzymaawszy taką odpowiedź,

wróciłem do szwadronu i posłałem do kometanta naszej bateryi, która się nieprzyjacielskiej odstrzeliwała, ażeby ogień zatrzymał, poczem ruszyłem z szwadronem ułanów. Reszta kawaleryi przypatrywała się nam.

Jechaliśmy naprzód stępo, potem kłusem; całą uwagę zwróconą miałem na nieprzyjaciela, ażeby ruchy jego dostrzedz i z dobrej chwili skorzystać. Nieprzyjaciel widząc, że ja z szwadronem ułanów ku niemu idę, przestał strzelać z armat, swoje dwa szwadrony postawił przed baterią i zaczął się ku nam pomału zbliżać. Spostrzegłszy to, pomyślałem, że mają zamiar, gdy ja się dostatecznie zbliżę, szwadrony w prawo i w lewo rozwinąć i baterię odsłonić tak, ażeby mogła na nas kartaczami strzelać. Nie tracąc więc czasu, zakomenderowałem atak i z największym pędem szedłem na nieprzyjaciela. Jakież było moje zdziwienie, gdy, zamiast baterię odsłonić i mnie wpaść na skrzydła, dwa szwadrony austriackie także poszły ku mnie do ataku. Impet jednak z mojej strony był silniejszy, tak, że zmięszał szwadrony nieprzyjacielskie, choć one szły w wielkim porządku do szarży. Lanca, królowa „des armes blanches“, pokonała pałasz i zwycięztwo było tak wielkie, żeśmy przeszło 100 niewolników wzięli oprócz zabitych i rannych.

Sam podpułkownik dowódzca tych dwóch szwadronów został do niewoli wzięty i raniony. Widząc to, poskoczyłem do niego i dałem mu moją chustkę do przewiązania rany i kazałem go do najbliższego lekarza zaprowadzić. On widząc mnie, te słowa wyrzekł: „Das war nicht Courage, aber Wahnsinn“ („To nie była odwaga, ale szaleństwo“), na co mu przysłowiem niemieckiem

odpowiedziałem: „Probiren geht über Studiren“! („Lepiej próbować jak się namyślać“).

Podczas tego ataku byłem o kilkadziesiąt kroków naprzód od mego szwadronu i sam jeden w szeregi nieprzyjacielskie wpadłem, a mianowicie na skrzydło jednego z plutonów, na którego czele stał potężny wachmistrz, który swego konia cofnął i mnie przepuścił. Lecz, gdy tylko machając pałaszem, dwa szeregi przejechałem, on rzucił się na mnie z podniesionym pałaszem i z taką siłą uderzył w mój, którym sobie głowę zasłaniałem, że go zwichnął, a końcem swego mnie w prawe udo zranił. Korzystając z tej chwili, dałem mu takie cięcie w głowę pod samym hełmem, że z konia spadł.

To wszystko trwało krótką chwilę, bo jak tylko spostrzegłem, że reszta szwadronów nieprzyjacielskich uciekła, zaraz kazałem na ułanów trąbić i z pierwszymi kilkunastoma co się koło mnie zbrali — reszta zajęta była gonieniem dragonów — uderzyłem na armaty.

Zastałem kanonierów z zapalonemi lontami. Po największej części była to młodzież, świeżo ze szkoły artyleryi wzięta. Jak się tylko do nich z podniesionym pałaszem z ułanami zbliżyłem, rzucili się na kolana wołając: „Ich bitte, wir können ja nichts dafür“, czyli jednym słowem „Pardon“. Odpędziliśmy ich więc od armat i zabrali baterię. Batalion strzelców, który naprzód ognia na nas dał, też uciekł, tak, że oprócz armat, mogliśmy jeszcze pewną ilość wozów z bagażami i jeden z kasą zabrać.

Po wzięciu miasta Szolnoka i zupełnem rozbiciu sił nieprzyjacielskich, gdy jeszcze żołnierze zajęci byli braniem niewolników i wozów, ode-

brałem rozkaz udania się jak najspiesznieszego w kierunku Abony, z kąd brygada jazdy nieprzyjacielskiej nadciągała, spostrzegłszy jednak, że Austriacy całkowicie zostali pobici, cofnęła się po krótkiej demonstracyi.

Zwycięztwo było więc zupełne. Kawalerya rozbita straciła wielką ilość ludzi i koni w błotach, pięć dział i mnóstwo amunicyi i bagaży.

Mój szwadron także dość ucierpiał, bo oprócz porucznika Rzepeckiego (bardzo dobrego oficera), który zginął od kuli karabinowej, było jeszcze 30 kilku rannych od pałasza. Ja sam, prócz cięcia pałaszowego, rażony byłem kulą karabinową w kolano prawej nogi, mówię rażony, bo zdaje mi się, że to była martwa kula, ponieważ zrobiła wklęsnięcie nie uszkadzając kości.

Nazajutrz po bitwie, odwiedzając w lazarecie moich rannych, którzy leżeli razem z austriackimi, zobaczyłem twarz, której wyraz wydał mi się bardzo znajomym. Zapytałem więc tego rannego, do jakiegoby pułku należał? Na co mi z pewnem pomieszaniam odpowiedział, że jest podoficerem „Franz-Joseph dragonów“. Domyśliłem się zaraz, że to pewnie ten sam podoficer, z którym miałem rozprawę na pałasze wśród bitwy wczorajszej. I nie myliłem się, gdyż pokazując mi miejsce, gdzie został raniony, dodał, że to przez oficera polskich ułanów. Pochwaliłem go za to, że mimo ustąpienia w pierwszej chwili, zaraz tak natarczywie napadł na mnie; potem dając mu kilka guldenów, życzyłem prędkiego wyzdrowienia i rozstaliśmy się w najlepszej zgodzie.

W kilka dni po bitwie przybył prezydent rządu Kossuth, aby wojsko zwyciężkie obejrzyć i nagrody (ordery) rozdać. Byłem między tymi,

którzy dostali krzyż węgierski 3 klasy. Prócz tego gdy mój szwadron, tak samo jak inne przed prezydentem defilował, ten zdjął kapelusz na jego przywitanie. Zawołał mnie też do siebie i oświadczył, że życzy sobie bardzo, aby ten oddział walecznych jak najprędzej był powiększony i cały pułk mógł utworzyć.

Wskutek tego wysłałem zaraz rotmistrza Toczyskiego (później majora) do Sobosto, gdzie bardzo skutecznie zajął się organizacją drugiego szwadronu.

Ponieważ opisywanie wojny węgierskiej nie jest moim zamiarem, chcę się ograniczyć na opowiadaniu zdarzeń, w których brałem udział i które mi w pamięci pozostały; widzę jednak, że już poprzednio zanadto szeroko się rozpisałem, będę więc w przyszłości starał się moje opowiadanie skrócić o tyle, o ile związek z całością na to pozwoli.

Wyruszywszy z pod Szolnoka, po licznych i w części mozolnych marszach, korpus jen. Damianicza, do którego legia polska należała, połączył się z korpusem 9-ym Klapki 4 kwietnia 1849 r. pod Tapo-Bicske, gdzie stoczyli bitwę z korpusem austriackimi generała Jelaczicza. Bitwa ta zwycięstwem z naszej strony się zakończyła: czynny udział w niej brała dywizya kawaleryi pod dowództwem jen. Nagy Sandor.

Przy końcu tej bitwy udało mi się zabrać nieprzyjacielowi kilkadziesiąt furgonów z amunicją i rozmaitemi bagażami, będących pod eskortą oddziału I-go pułku dragonów arcyksięcia Jana, złożonego z Polaków. W tym to pułku służyłem od r. 1843 do r. 1848. Jak mnie tylko żołnierze zobaczyli, wykrzyknęli: „To nasz pan Oberlieutenant!“

i bardzo skwapliwie zaczęli się dopytywać, jaki ich los spotka, mówiono im bowiem, że Węgrzy więźniów swoich albo rozstrzeliwają albo wieszają.

Austriacy cofnęli się z Tapo-Bicske do Szaszeg, gdzieśmy ich dopędzili i nową bitwę stoczyli.

Zawsze mieliśmy ten sam korpus jenerała Jellaczicza przed sobą, ale podczas bitwy przyszedł im w pomoc jen. Schlick ze swoim korpusem. Bitwa ta była z obu stron bardzo zacięta. Wojska węgierskie dwa razy brały szturm Szaszeg i dwa razy zostały wyparte, aż dopiero wieczorem, po przybyciu korpusu jen. Aulich'a, trzeci szturm przechylił ostatecznie zwycięstwo na stronę węgierską.

Z Szaszeg pomaszerował nasz korpus pod Waitzen, gdzie połączony z siłami jen. Klapki i jen. Gaspary, zaatakował 10 kwietnia siły austriackie pod rozkazami jenerała Feliksa ks. Jabłonowskiego zostające.

Tu jeden raz więcej odznaczyła się piechota legionu polskiego, pierwsza wpadając do miasta, które zostało szturmem wzięte. Ułani zaś moi pierwsi z kawaleryi do miasta weszli, co taki zapal dla Polaków wzbudziło, że mieszkańcy Waitzen okryli nas literalnie kwiatami, a kobiety prawie pod nogi memu koniowi się rzucały, chcąc mi nogi całować. Chyba nie ma na świecie tak zimnego i obojętnego człowieka, któryby w chwilach takiego szczerego i prawdziwego uniesienia nie dał się wzruszeniu ogarnąć.

Nowo mianowany wódz armii austriackiej (w miejsce marszałka Windischgrätza) skoncentrował swe wojska w mieście Nagy Szarlo, dokąd i jen. ks. Jabłonowski z pod Waitzen się cofnął.

Dnia 19 kwietnia wojska nasze wzięły szturmem miasto Nagy Szarlo, pobiły nieprzyjaciela, dużo więźniów i mnóstwo broni zabrały.

Zadaniem kawaleryi, pod rozkazami jen. Sándor będącej, było obejście prawego skrzydła nieprzyjaciela, co też i wykonała.

Po bitwie pod Nagy Szarlo armia węgierska ruszyła pod twierdzę Komorn, gdzie 22 kwietnia w nocy przybyła, po bardzo męczących marszach, bo ziemia, wskutek wielkich deszczów rozmięknięta, utrudniała pochód wojsku.

Twierdza Komorn była w węgierskich rękach pod dowództwem jen. Török. Oblężona była już od kilku tygodni. Wybudowanie zaś mostu na Dunaju, aby połączyć twierdzę, leżącą na lewym brzegu, z szancami na prawym trwało do 26 kwietnia i tegoż dnia rozpoczęła się bitwa z oblegającymi, którymi dowodził jen. Czörich.

W tej bitwie, także przez Węgrów wygranej, szarżowałem z dobrym skutkiem na kirasyerów austriackich. Przed wieczorem, gdy z moimi ułanami stałem dla osłonięcia w razie potrzeby artylerii, zdarzył mi się następujący wypadek.

Stojąc o kilkadziesiąt kroków przed frontem i obserwując kule armatnie nieprzyjacielskie, rikuszetujące po ziemi, aby ułanów uprzedzić, kiedy i gdzie się przed niemi mają ustąpić, przełożyłem prawą nogę na lewą stronę konia i siedziałem po damsku, dla odpoczynku po całodziennem zmęczeniu. W tem, w jednej chwili koń mój, który się nic a nic huku armat nie bał, zrobił dość wielki skok na prawo, tak, że gdybym się nie był za grzywę schwycił, byłbym niezawodnie z niego spadł. Wszystkich wodzów ogarnęło zdziwienie; ale jakżeż się ono powiększyło, gdy kula armatnia

padła w sam środek znaków od czterech nóg mego konia, zostawionych na miejscu, z którego tak raptownie skoczył. Może to był instynkt konia, ale w każdym razie widać, że śmierć mi jeszcze przeznaczoną nie była.

W ogóle zdaniem mojem jest, że człowiek, wypełniający swój obowiązek, nie powinien się nigdy żadnego pozornego niebezpieczeństwa obawiać, gdyż niebezpieczeństwo może być dla nas właśnie tam, gdzie się go najmniej spodziewamy, a trudno przecież na każdym kroku zabezpieczać się od możliwego wypadku. Dlatego też, gdy jeden z żołnierzy mego pułku, prosił mnie o lepszego konia, pomimo że kapitan mu go odmówił, i kiedy zapytany o przyczynę tej prośby, którą ze łzami w oczach powtarzał, przyznał się nareszcie, że trzech z nich chce nad mojem życiem czuwać, a jego koń mego dogonić nie może, choć mnie ten dowód przywiązania ich do mnie prawdziwie rozczulił, uspokoiłem go, mówiąc, że niebezpieczeństwo jest wszędzie i nigdzie, i że wszystko od woli Pana Boga zależy.

Dnia 1 maja zostałem mianowany majorem i komendantem I-go pułku „Ułanów polskich“.

Po bitwie pod Komorn, zdarzył się wypadek, który nasz korpus ogromnie zasmucił; nasz, bardzo kochany jen. Damianicz złamał nogę, wyskakując z powozu, który konie poniosły. Po nim objął komendę jen. Knezics.

Cała główna armia pod dowództwem jen. Goer-goey'a poszła z pod Komorn do Budy, twierdzy, leżącej nad Dunajem, naprzeciwko Pesztu, a będącej jeszcze w rękach austriackich, i stanęła tam 5 maja.

Dnia 20 maja zrobiono wyłom i cytadela została wzięta.

Po zdobyciu cytadeli oddziały legionu polskiego, przy głównej armii będące, odebrały, równie jak i inne oddziały polskie, rozkaz pomaszerowania do Miskolcza, gdzie się wszystkie skoncentrować miały, aby utworzyć jedną dywizję polską!

W drugiej połowie czerwca Moskale wkroczyli do Węgier i Siedmiogrodu, a część zbliżała się do Eperies czyli Preszowa.

W tym czasie odebrałem rozkaz udania się z moimi ułanami z Miskolcza do Preszowa, marszami forsownymi, gdyż tam dawał się czuć brak kawaleryi.

Przybyłem jednak w chwili, kiedy wojska węgierskie zaczęły się cofać ku Koszycom, przed zbliżającymi się siłami rosyjskimi. Zaledwie przybył, a już kazano mi robić ariergardę cofającemu się wojsku. Pozostałem więc na rynku, czekając aż wszystkie oddziały miasto przejdą i skorzystałem z tego czasu, aby konie popaść i ludzi nakarmić tem, co się na prędcie znaleźć dało. Pierwszy raz w tej kampanii widziałem smutny obraz płaczących i desperujących mieszkańców, obawiających się lada chwila wkroczenia wojsk rosyjskich.

Ledwieśmy nad ranem do Lemieszan dotarli, a po przebyciu rzeczki, która tam płynie, i wioski stanęli obozem z korpusem jen. Wysockiego i Desseffy'ego, którzy już tam się znajdowali, odebrałem rozkaz, zrobienia natychmiast rekonesansu w stroonie nieprzyjaciela. Ale, że konie i ludzie mocno byli znużeni po forsownych marszach i robieniu ariergardy od Preszowa, wziąłem z sobą tylko mego adjutanta pułkowego, porucznika Kossaka

(brata Juliusza, malarza), dwóch zwykłych ordynansów i trębacza. Tu nastąpiła śmieszna scena. którą chwilowo bardzo zawstydzony byłem.

Jechaliśmy drogą ku nieprzyjacielowi; słońce rozgrzewając, tak na nasze znużenie podziało, że anim się spostrzegł, kiedy zasnąłem i wkrótce zbudziłem się w polu, zasianem owsem. Pierwszą myślą moją było, że się przed moimi podwładnymi skompromitowałem, ale obejrawszy się spostrzegłem, że i oni wszyscy spali, a konie ich, tak jak i mój, się pały. Wyjechałem więc czemp prędzej drogą i stamtąd zawołałem moją eskortę, nie zdradzając się naturalnie, że chwilę przedtem w owsie razem z nimi się znajdowałem. Dopiero po skończonej wojnie, spytałem Kossaka, czy widzieli, że i ja wtedy zasnąłem? Zapewniał, że nie. Widać musieli oni przedemną usnąć, a konie ich dopiero za moim na pole zeszyły.

Na tym rekonesansie nie mogłem się o siłach nieprzyjaciela wywiedzieć, bo na wszystkich górach, które przed nami były, Kozacy krążyli.

Wróciłem więc do obozu, do którego coraz natarczywiej Kozacy się zbliżali. Wskutek tej natarczywości i coraz większej ich liczby, zdecydowano ku wieczorowi, wysłać mnie z silniejszym rekonesansem, abym się dokładnie o siłach nieprzyjaciela dowiedział. Wziąłem więc ze sobą na ochotnika: 2. plutony ułanów, do których dodano mi 1. szwadron huzarów, wraz z dwoma kozłami raketników.

Z tym oddziałem przeszedłem most i wieś Lemieszany.

Kozacy odrazu bez najmniejszego oporu zaczęli się na wzgórze cofać, tak, że bez żadnej przeszkody postępować mogłem. Umieściłem w dolinie

zbożem zamaskowanej rakietników. kawaleryi także kazałem stanąć w pozycyi, gdzie dość ukrytą była, i tylko mały oddział na Kozaków puściłem z rozkazem, aby, jak tylko Kozacy na nich się puszcza, cofali się w stronę rakietników.

W samej rzeczy, chimara Kozaków rzuciła się za oddziałem huzarów. ale przyjęta strzałami rakietników uciekać zaczęła. Posłałem więc za nimi w pogon resztę kawaleryi; wtedy to ze wzgórza zniknęli Kozacy, odstrzeliwując się z janczarek, a na ich miejscu pokazał się pułk „Olgi huzarów“ i artylerya, która na nas strzelać zaczęła.

Przekonawszy się więc, że za Kozakami znajdują się większe siły moskiewskie, cofnąłem się z moim oddziałem ku wsi Lemieszany. Tam zastałem, przysłane z obozu, z którego całą przeprawę widziano, batalion piechoty i parę dział, przyprowadzonych przez pułkownika Bułharyna, które, ustawione w końcu wsi ku nieprzyjacielowi, przez niego widziane nie były.

Wysłałem więc cały oddział kawaleryi na nowo ku Moskałom. z wyraźnym rozkazem, aby uporczywością wywołał szarżę nieprzyjacielskiej kawaleryi i cofnął się wtedy ku wsi.

Rzeczywiście po krótkiej chwili, pułk „Olgi huzarów“ poszedł do ataku, a widząc uciekającą kawaleryę węgierską, zapędził się za nią aż pod samą wieś, gdzie przypuszczony na strzał karabinowy, przyjęty został ogniem artyleryi i strzelców.

W tej potyczce pułk „Olgi“ poniósł dość wielkie straty, tem bardziej, że pod naszymi strzałami w nieporządku się cofnął.

W skutek odkrycia sił moskiewskich, po moim powrocie do obozu wydano rozkaz opuszczenia go w nocy z 23-go na 24 czerwca.

Tego jeszcze dnia zostałem awansowany na podpułkownika, pozostając zawsze dowódcą I-go pułku ułanów.

Korpus nasz cofał się po gościńcu ku Miskolczowi i Abony.

W tym czasie mianowano jen. Mesarosza naczelnym wodzem, a jen. Henryka Dembińskiego jego szefem sztabu. Ale właściwie ten ostatni wszystkiem kierował; również przyłączono korpus Wysockiego i Desseffyego do jen. Pereel'a i jemu oddano dowództwo.

Jen. Pereel z całemi połączonemi siłami udał się do Tal-Almasz, gdzie zostawiwszy jen. Wysockiego z piechotą, sam wyruszył z jen. Mesaroszem, Dembińskim i Desseffym i z całą kawaleryą na rekonesans. Składała się ona: z 2400 koni, z których 1800 huzarów, a 600 ułanów polskich.

Dnia 20 lipca pod Turo nastąpiło spotkanie z jazdą moskiewską, wynoszącą mniej więcej 3000 koni i z artyleryą z 18 dział złożoną. Spotkanie nasze zaczęło się pomyślnie, ale atak został odparty przeważnie przez artyleryę nieprzyjacielską, która szybko i celnie strzelała.

Ułani polscy mieli znaczną liczbę zabitych i rannych od ognia działowego, Moskale zaś stali nieporuszenie na miejscu.

Po tym nieudanym ataku, kawalerya nasza cofnęła się, a ja z ułanami przeznaczony zostałem do tworzenia ariergardy.

Widząc, że tylko Kozacy szli za nami, kazałem ułanom zsiąść z koni i pokłaść się na ziemi jak do odpoczynku. Było to w celu przyciągnięcia Kozaków bliżej i uderzenia wtenczas na nich. Lecz oni tak byli przezorni i niedowierzający, że się za najmniejszym ruchem ułanów cofali natych-

miast, a jednak ciągle w pewnej odległości za nami szli. Nadaremnie używałem wszelkich sposobów do przywabienia ich bliżej. Między innemi schowałem nieznacznie, między budynkami wsi, którąśmy przechodzili, mały oddział ułanów, a reszcie kazałem konie poić; ale i z tej sposobności korzystać nie chcieli. Nareszcie, przechodząc przez wieś z ostatnim oddziałem ariergardy, zatrzymałem się u właściciela jej, który z żoną i córkami przy gościńcu mieszkał i mnie bardzo gościnnie do siebie zapraszał. Byłem zmęczony i głodny, dałem się więc chętnie namówić. Majorowi Sewerynowi Korzelińskiemu (waleczny to był oficer i sympatyczny typ szlachcica polskiego), dałem rozkaz zatrzymania jednego szwadronu za wsią i czekania z takowym na mnie. a sam, z adiutantem pułkowym Kossakiem, z dwoma ordynansami i trębaczem wjechałem do domu obywatelskiego.

Trwało to tylko krótką chwilę, bośmy zsiadłszy z koni, naprędce tylko po kawałku chleba z serem i zimnem mięsem zjedli i wina się napili, ale wystarczyło małej liczbie Kozaków, dostać się niezawodnie do wsi ogrodami; bo wyjechawszy z podwórza i galopując gościńcem, aby się złączyć z czekającym na mnie szwadronem, słyszałem chłopów ostrzegających mnie o niebezpieczeństwie. I rzeczywiście niebawem spostrzegłem Kozaków, wypadających z różnych stron z chłopskich ogrodów i dziedzińców. Lecz gdy tylko zobaczyli stojący szwadron, wstrzymali swój zapęd.

Kozacy jest to bardzo użyteczna kawaleria, ale posiadają więcej cywilnej, niż wojskowej odwagi. Ufają swojej przezorności i instynktowi,

którym przeczuwają niebezpieczeństwo, ale nie dają się łatwo do boju zachęcić.

Po potyczce pod Turo, tak kawalerya jak i piechota, cofnęły się ku Abony i Kecskemeth, a stamtąd do Szegedyna, gdzie przybyły w końcu lipca.

Dnia 1 sierpnia, armia z Szegedynu przeszła Cisę i stanęła w Nowym Szegedynie, przedmieściu na lewym brzegu Cisy. Zrana 4 sierpnia Austriacy pod zasłoną ognia most postawili, a przed wieczorem zobaczyliśmy znaczne siły nieprzyjaciela już na lewym brzegu Cisy. Dnia 5 sierpnia zrana, huk dział z obu stron się rozległ; w południe wojsko nieprzyjacielskie ruszyło się wzdłuż Cisy, w kierunku naszego lewego skrzydła, będącego pod komendą jen. Desseffy'ego, złożonego z kawaleryi. Około 5-ej ku wieczorowi, piechota nasza zaczęła się cofać, a kawalerya i część artyleryi pozostawały w ariergardzie.

Widząc, że w skutek, nie pamiętam już jakiej, przyczyny, huzary w wielkim nieporządku szybko się cofać zaczęli, posunąłem ułanów jeszcze więcej na lewo ku Austryakom, którzy widocznie tamtędy nas obejść chcieli.

Austriacy mieli dość liczną kawaleryę, składającą się głównie z ułanów, posłałem więc do jen. Desseffy'ego z prośbą, aby mnie kilkoma szwadronami huzarów wzmocnił, lecz zamiast nich, przysłał mi swego adjutanta, podpułkownika ks. Woronieckiego (odważnego oficera), aby zobaczył, jakie jest nasze rzeczywiste położenie, ale ponieważ nieprzyjacielska kawalerya była dość zamaskowana krzakami, pojechał dalej, zamieniwszy ze mną kilka słów, aby się lepiej o siłach nieprzyjacielskich przekonać i już więcej nie wró-

cił. Później słyszałem, że został do niewoli wzięty i na śmierć skazany. Jen. Dembiński raniony został w prawe ramię, a świeżo do Węgier przybyły pułkownik, hr. Władysław Zamoyski, brał także udział w tej bitwie.

Nie wiedząc, co się z Woronieckim stało (miał mi bowiem o siłach nieprzyjaciela donieść), ale widząc, że coraz większa ilość kawaleryi z krzaków się wysuwa i do mnie się zbliża, dałem walecznemu kapitanowi artyleryi Bentkowskiemu, będącemu pod moimi rozkazami, rozporządzenie, aby się jak najwięcej do Austryaków zbliżył i jak największy ogień szybkimi strzałami rozpoczął, sam zaś, kazawszy trąbić do ataku, posunąłem się stępem naprzód. Na ten widok kawalerya austriacka się zatrzymała, mniemali bowiem, jak się później o tem dowiedziałem, że opieranie się tak małych sił zasadzkę zdradza. Ja jednak, widząc zatrzymanie się nieprzyjaciela, rozkazałem Bentkowskiemu, który już kilka dział miał zdemontowanych przez artyleryę austriacką, cofać się, co też i sam uczyniłem echelonami, zatrzymując się za każdym razem, co Austriacy naprzód postępowali, i gotując się niby do szarży. Cofając się tym sposobem polami, zasianymi kukurudzą, co utrudniało szybkie ruchy, i faworyzowany zachodzącą nocą, przeszkodziłem kawaleryi nieprzyjacielskiej szkodzić wojsku naszemu, cofającemu się ku Temeszwarowi.

Dopiero nazajutrz o 6-ej rano, przybyłem z ułanami i półbaterią Bentkowskiego do wsi Kis-Ternie, gdzie Jen. Dembińskiego z huzarami i artyleryą zastałem, a piechota i wszystkie bagaże wprost do Banat-Komlós poszły.



PODPUŁKOWNIK WŁADYSŁAW Hr. PONINSKI,
MAJOR SEWERYN KORZELIŃSKI i JAN ALEKSANDER Hr. FREDRO
w czasie kampanii węgierskiej r. 1849.

Akwarella Jana Aleksandra hr. Fredry, w posiadaniu Rodziny.

Jen. Dembiński przywitał mnie z widocznem zadowoleniem. „Myślałem już, że cię Austriacy zjedli“, rzekł. — „Byliby i mogli“, odpowiedziałem. „gdyby mieli lepszy apetyt“!

Nie długo zostaliśmy w Kis-Ternie, bo jeszcze tego samego dnia nieprzyjacieli z większymi siłami się ukazał. Jen. Dembiński przeznaczył mnie z ułanami na tylną straż: byliśmy więc w potyczkach 6, 7, 8 sierpnia najwięcej narażeni. Pamiętam, że jednego z tych dni przyjechał do mnie pułkownik Bystrzanowski, późniejszy generał w służbie tureckiej i *attache militaire* przy ambasadzie w Paryżu, od jen. Dembińskiego z rozkazem, bym się cofnął i dodał: „Dlaczego chcesz być lepszym Węgrem, niż sami Węgrzy!“

Dnia 9 sierpnia pod Temeszwarem przybył jen. Bem, objął naczelne dowództwo i wbrew zamiarom jen. Dembińskiego przyjął bitwę.

Drugi pułk ułanów, sformowany, jak o tem wyżej wspomniałem, przez pułkownika Tchórznickiego, a ku końcu kampanii złączony z resztą legii polskiej, w bitwie pod Temeszwarem był pod mojami rozkazami, bo, o ile pamiętam, Tchórznicki z powodu zdrowia nie mógł być obecnym. W tym pułku służył porucznik Jan Aleksander Fredo (syn) waleczny i dobry oficer, z którym się później w Paryżu bardzo zaprzyjaźniłem. Miał wielki talent do rysunku, malowania, a głównie do pisania rzeczy charakterystycznych i humorystycznych, jak to później w dziełach swoich okazał.

Staliśmy w pobliżu St. Andrasz, zakryci wzgórzem, u podnóża którego mostek rzucony był przez potok, a który pułk austriackich ułanów „Schwarzenberga“ przeszedł.

Ze wzgórza, na które wyjechałem, zobaczyłem, że oni nas nie widzą; kazałem więc moim ułanom posuwać się naprzód w ten sposób, aby ich jak najpóźniej nieprzyjaciel zobaczył, to jest dopiero w chwili, gdy szarżować będą. Udało mi się to doskonale, bo nieprzyjaciel tak się zdziwił naszym raptownem ukazaniem się i szarżą, że ledwie sam zdołał się puścić do ataku.

O kilkadziesiąt kroków przed frontem moich ułanów, wpadłem w szeregi nieprzyjacielskie i chwilę sam zostałem, póki żołnierze nie dotarli. Choć literalnie obskoczony byłem ułanami „Schwarzenberga“, oni jednak tak byli pod wrażeniem spotkania się z polskimi ułanami, że nie bardzo na mnie nacierali. Odbijając ich lance pałaszem, mogłem im krótkimi, lecz energicznymi słowy wyrazić moje zdumienie i zganić ich za to, że Polacy chcą się bić przeciw Polakom. Naturalnie trwało to wszystko krótko, bo moi ułani nadlecieli i mnie od tego dokuczliwego towarzystwa uwolnili.

Ułani „Schwarzenberga“ zostali naszą szarżą odparci a na ich miejsce przeszli mostek austriacy kirasyerzy i rozwinięci frontem do boju się przygotowywali, lecz naprzód nie postępowali.

W tym ataku zginął bardzo dobry oficer, rotmistrz I-go pułku ułanów Krobicki, a że między nami było pewne podobieństwo, rozgłoszono, podobno nawet w gazetach austriackich, że to ja zginąłem, tymczasem, wprawdzie dziwnym sposobem, bo moja ułanka, na lewem ramieniu przewieszona, w kilku miejscach lancami podziurawioną była, zupełnie w całości z tej szarży wyszedłem.

Bitwa, która do południa pomyślną dla Węgrów była, popołudniu przeciwny obrót wzięła wskutek wzmocnienia sił nieprzyjacielskich przybyciem dywizyi rosyjskiej. O godzinie 5-ej po południu wojsko węgierskie ustępować zaczęło, a coraz liczniejsza artylerya nieprzyjacielska, coraz dotkliwiej rażąca cofające się i już po większej części zdemoralizowane, zmęczone i zgłodniałe wojsko, do zupełnej ucieczki i rozpierzchnięcia doprowadziła.

Jen. Bem, który w tej bitwie dowodził całym wojskiem, spadł z konia i wybił sobie obojczyk. Ten wypadek i zapadająca noc, spowodowały jeszcze większe zamieszanie; nikt rozkazów w najkrytyczniejszych chwilach nie odbierał i nie wiedział dokąd się ma cofać. W lesie też za Temeszwarem tak się wszystkie pułki i oddziały pomieszały, że, obawiając się dla moich ułanów tej roznoszącej fali, skorzystałem z małej dróżki, aby ich od uciekającego wojska odosobnić.

Nie wiedziałem, dokąd ona nas doprowadzi, ale przed podwładnymi nadrabiałem miną i udawałem, że doskonale wiem, gdzie ich wiodę. Ta dróżka wprowadziła nas do małej wioseczki, leżącej niedaleko od traktu, prowadzącego z Temeszwaru do Lugosz. W tej wiosce zastałem oficerów i żołnierzy z różnych broni. Ponieważ pomaszerowałem w porządku z moimi ułanami, na których żadnego przestachu widać nie było, węgierscy oficerowie i żołnierze skupili się zaraz koło mnie, prosząc, abym ich pod swoją komendę wziął i wraz z moim oddziałem dalej prowadził.

Nie mogłem im tego odmówić, choć sam jeszcze nie wiedziałem, dokąd wojsko węgierskie się cofa; wziąłem tylko przewodnika i z wszel-

kiemi ostrożnościami zbliżyłem się do traktu, z którego w ciszy nocnej gwar i turkot armat aż do nas dochodził. Po chwili mogłem rozpoznać, że to nasze wojsko cofa się tym traktem w największym nieporządku. Wszedłem więc nań z moim oddziałem i już razem cofaliśmy się do Lugosz.

Przybywszy w nocy do pierwszej wsi, zobaczyłem ładny pałac oświecony, stojący w środku parku. Była to chwila, w której każdy o sobie pamiętać musiał, zaprowadziłem więc moich ułanów do parku i zsiadłszy z konia poszedłem do pałacu, ażeby żywność dla ludzi i koni znaleźć. Jakież nie miłe było moje zdziwienie, gdy zamiast gościnnych gospodarzy, zastałem szpital, w którym złożono rannych z pod Temeszwaru! Między innemi był tam pułkownik Gall, który stracił nogę od kuli armatniej.

Mimowoli cały się omacałem, szukając, czy wszystko w dobrym jest stanie i dziękowałem Bogu, że się między tymi biedakami rannymi nie znajdowałem.

Po krótkim odpoczynku ciągnęliśmy dalej, ku Lugosz.

Smutny widok przedstawiali żołnierze węgierscy, pomieszani z różnych broni, cofający się w największym nieporządku. Próżno jen. Bem używał wszelkich środków, aby wszystko do porządku doprowadzić; gdy doszły wiadomości, że jen. Goergey przed Moskalami bronił, a prezydent Kossuth z Aradu wyjechał, wszyscy ostatecznie na duchu upadli i nieporządek jeszcze się powiększył.

Jen. Dembiński, cierpiący wskutek odniesionej rany, z jen. Mesarosz i kilku oficerami udał się ku

granicy tureckiej, poleciwszy wszystkich Polaków opiece pułkownika Zamoyskiego.

Zamoyski, wraz z pułkownikiem Bystrzanowskim i Michałem Czajkowskim, który jako agent ks. Adama Czartoryskiego mieszkał w Konstantynopolu i dobrze był ze swoich działań w Serbii i w Turcyi znany, mieli wielkie poważanie w tamtych stronach.

Pułkownik Zamoyski, w niebytności jen. Bema, poczynił starania, aby otrzymać od jen. Gijon'a, szefa sztabu, rozkaz dla legionu polskiego i włoskiego, udania się do Karanszetesz. Stamtąd mieliśmy obserwować drogi i rozmaite przejścia pomiędzy tem miastem a Orszawą. Otrzymaawszy ten rozkaz, Zamoyski udzielił go zaraz jen. Wysockiemu i 12 sierpnia wyruszyły te dwa legiony do Orszawy, gdzie 16 tegoż miesiąca przybyły.

Nieszczęśliwie skończyła się dla Węgrów kampania, tak dobrze z początku rokująca. Naród niczego nie szczędził, żołnierz bił się walecznie, z największem zaparciem znosząc trudy i niedostatki; ale niezgoda wodzów i słabość rządu doprowadziły do tego wyniku. Węgrzy jednak, mimo tak wielkiej klęski, potrafili później, dobrze zrozumianym patryotyzmem i wytrwałością otrzymać dla swego kraju autonomię, która pozwala mu rozwijać się pod każdym względem.

Za bitwy pod Szegedynem i Temeszwarem i za zasłanianie armii w tylnej straży od Szegedynu do Temeszwaru, otrzymałem krzyż węgierski II-ej klasy, który tylko za oddanie ważnej przysługi armii dostać można.

Przyznam się, że w tej kampanii nie byłbym swojego stanowiska choćby na najwyższe zmienił. Mając 26 lat, stałem na czele walecznego pułku;

mieliśmy do siebie największe zaufanie, i nie wiem, czy to zawdzięczam szczęściu, czy waleczności moich podwładnych, dość, żeśmy ze wszystkich, tak licznych potyczek, z kawaleryą zawsze zwyciężko wychodzili.

Mojem zdaniem, nie można niepomyślnego końca tej kampanii, zdradzie jen. Goergoeya przypisać, jak to ogólnie mówią. Niezawodnie przyczynił on się mocno do upadku Węgier, ale przekupionym nie był. Według mnie, upadek Węgier przypisać trzeba słabości charakteru Kossutha i niepohamowanej ambicyi jen. Goergoeya, który chciał dyktaturę dla siebie otrzymać. To wywołało partye w wojsku, niesforność i nieposłuszeństwo generałów wobec słabego rządu, a z tego wynikły wszystkie inne konsekwencye.

III.

Emigracya po kampanii węgierskiej 1848—1849 r.

Pułkownik Bystrzanowski, będąc znanym w Serbii, zajął się traktowaniem o pozwolenie dla legionu polskiego i włoskiego przejścia przez Serbię.

Po złożeniu broni na lewym brzegu Dunaju — tylko wszyscy oficerowie ją wedle układu zatrzymali — przeprawiliśmy się na statkach serbskich do wsi Theke, gdzie gwardya narodowa tegoż kraju dość gościnnie nas przyjęła, ale przy sposobności i okradła. Mnie n. p. wzięto dwie pary doskonałych pistoletów, jedną parę Kuchenreiterów, które po ojcu miałem, druga para pochodziła od arcyksięcia Szczepana.

Po dwudniowym spoczynku, odmaszerowały wszystkie oddziały pod eskortą Serbów do granicy tureckiej.

W Widdynie zostaliśmy życzliwie przyjęci przez gubernatora. Na życie przeznaczono nam rację żywności i owies dla koni, co dla oficerów zredukowano na pieniądze podług stopni. Dostarczono nam także namiotów, pod którymi obozem stanęliśmy.

Wielka bieda nam tu dokuczała. Po większej części przybyliśmy do Widdynia o tem tylko,

cośmy na sobie mieli, a banknoty węgierskie, które nam zostały, żadnej wartości już nie miały.

Byłem i ja w tem położeniu, bo nieprzyjacieli wziął mi wraz z bagażami, wiernego służącego Daniela, przy którym znajdowały się moje pieniądze, i kilka wierzchowych koni. Zostałem więc tylko z tem, co na sobie miałem i z dwoma końmi. Najgorzej było w początku z bielizną, gdyż nie można było gotowej w Widdynie dostać.

Stosownie do rozkazu, odebranego od rządu tureckiego, legion polski opuścił Widdyn ku końcu września i udał się do Szumli, a legia włoska do Gallipoli, skąd później przewieziona została do Sardynii. Wtedy Polaków było już tylko 800, po większej części oficerów; reszta powróciła do Austrii, albo rozeszła się w różne strony; w Szumli umieszczono wszystkie oddziały i większą część oficerów w koszarach, resztę zaś wyższej rangi rozkwaterowano po domach w mieście.

Mieszkałem na pierwszym piętrze drewnianego domu, w którym, jak w letniem mieszkaniu, nie tylko że ściany były bardzo cienkie, ale jeszcze dwie z nich składały się z okien, tak, że to pierwsze piętro wyglądało jak latarnia, a zimno tem więcej nam dokuczało, że, jak Turcy utrzymywali, ta zima z r. 1849 na 1850 wyjątkowo ostrą była. Widać już przeznaczeniem mojem było, całe życie w wyjątkowej temperaturze przepędzić, bo, w jakimkolwiek kraju byłem, zawsze według zdania mieszkańców, na wyjątkowe upały lub zimna natrafiałem.

Na ogrzewanie tych mieszkań nie mieliśmy nic innego, jak tak nazwane „mangały“, to jest rodzaj wielkich ryniek metalowych, które się wypalonemi węglami napełniało i popiołem przykry-



WŁADYSŁAW Hr. PONIŃSKI

na czele pułku ułanów polskich w kampanii węgierskiej r. 1849.

Akwarella Juliuszu Kossaka, w posiadaniu Rodziny.

wało. Często węgle te nie dobrze były wypalone i czad, który z nich wychodził, był nadzwyczaj przykrym.

Dnie schodziły na małych schadzkach i pogadankach, a wieczorem major Korzeliński z II-go pułku ułanów i ja chodziliśmy do jen. Dembińskiego i Mesarosza, którzy razem mieszkali, na wista. Przy tych partyach często zdarzały się nader zajmujące pogadanki tak z jednym jak z drugim generałem, ale zwyczajnie jen. Dembiński, żywego i energicznego usposobienia, kierował rozmową, którą czasem i wesołością przeplatał.

Pułkownik Władysław hr. Zamoyski nie tylko czynny udział brał w przeprowadzeniu legionu polskiego do Turcyi, ale otoczył go staraniem i opieką. Pomocnym w tem był mu Michał Czajkowski, agent ks. Adama Czartoryskiego w Konstantynopolu. Robili oni różne przedstawienia Porcie, aby los emigrantów polepszyć i jeśli można nadal zabezpieczyć. W tym celu założył Zamoyski kompletne biuro, w którym mu pułkownik Bystrzanowski i Władysław Kościelski (później Sefer Pasza) pomagali. Ten ostatni przybył z Księstwa Poznańskiego już po skończonej kampanii węgierskiej, i mając regularny paszport, często wysyłany był w interesach emigracyjnych do Konstantynopola.

Z początku Austria i Moskwa żądały od rządu tureckiego wydania niektórych osób, mianowicie oficerów wyższej rangi. W pierwszej chwili, przestraszona tem żądaniem Turcyja, radziła nam przechodzenie na islamizm, ale tej rady bardzo mała tylko liczba Polaków usłuchała. Ja byłem zupełnie przygotowany na wydanie Austrii i żyłem z tą myślą z dnia na dzień. Kiedy

później rzeczy inny obrót wzięły, uczułem pewien ambaras, że trzeba będzie o swojej przyszłości pomyśleć.

Rząd turecki, po niejakiem czasie potrafił się oprzeć żądaniu Austryi i Rosyi, które musiały na internowaniu niektórych osób poprzestać.

Skutkiem tej decyzyi, przybył komisarz Porty, Achmet Effendi do Szumli w celu podzielenia emigracyi na różne kategorye. Mnie zaprosił do siebie i oświadczył, że ponieważ Porta ma zamiar utworzyć pewną liczbę pułków jazdy chrześcijańskiej, poleciła mu zaproponować mi zajęcie się tem.

Łatwo można było przewidzieć, że ani rząd austriacki, ani rosyjski na tworzenie pułków chrześcijańskich nie zezwoli, ale korzystając z dobrej dyspozycyi Porty dla mnie, odpowiedziałem, że ponieważ nie jestem panem swojej woli, nie mogę zatem żadnej decyzyi powziąć, dopóki mi nie udzielią paszportu do Konstantynopola i dopiero w takim razie zobowiązałem się pod słowem honoru, przedstawić się ministrowi wojny i jemu moje warunki przedłożyć. Achmet Effendi odpowiedział mi, że na to niema upoważnienia od swego rządu, ale obiecał przedstawić moje żądania Porcie i zakomunikować mi jej odpowiedź. W samej rzeczy, zawezwał mnie później, mówiąc, że otrzymał upoważnienie od swego rządu wręczenia mi paszportu tureckiego.

W lutym 1850 r. wyjechałem pocztą konną z Szumli do Warny, wzięwszy z sobą młodego Kabata z Galicyi, który ze mną jako służący pojechał. W tym samym czasie zaczęły się internacye różnych kategoryj i pierwsza wyruszyła do Kulałhyi. Pułkownicy Zamoyski i Bystrzanowski w skutek nalegań Rosyi i Austryi musieli się

do Francyi udać, zostawiając emigrantów pod opieką Władysława Kościelskiego.

Podróż moja z Szumli do Warny przez stepy bez żadnych dróg, galopując ciągle od poczty do poczty, była dość oryginalną, a nawet zabawną, gdyby brak żywności w drodze nie dokuczał.

W Warnie zajechałem wprost do konsula angielskiego pułkownika Nels, dla którego miałem list od Zamoyskiego. Z największą gościnnością zostaliśmy przyjęci i po tylu i tak długich niewygodach z wielką przyjemnością używaliśmy obydwa angielskiego komfortu, którym nas konsul i jego żona starali się otoczyć.

Czekając na jakiś statek parowy, któryby nas mógł do Konstantynopola przewieźć, przesiedzieliśmy w Warnie przeszło dwa tygodnie, po upływie których nadjechał statek, ale austriacki. Nie chcąc dłużej nadużywać gościnności naszych gospodarzy, mimo najusilniejszych próśb konsula, który przedstawiał mi niebezpieczeństwa, na jakie się narażałem, zdecydowałem się i tym statkiem wyjechać.

Pocziwy pułkownik Nels odprowadził nas aż na parowiec, gdzieśmy już konsulów, austriackiego i rosyjskiego zastali, a którzy z nami w kabinie I-ej klasy do obiadu siedli. Po obiedzie konsul austriacki napisał list do swego ambasadora w Konstantynopolu. Zwrócił mi na to uwagę konsul angielski, dodając, że pewnie tam coś o mnie pisze. Wskazał mi też szpiega rosyjskiego i polecił, bym się go wystrzegał.

Byłem jedynym pasażerem I-ej klasy, nie wychodziłem więc zupełnie z kabiny, i tym sposobem unikałem zetknięcia z innymi pasażerami. Tylko kapitan okrętu, młody i przyjemny Słowianin, czę-

sto do mnie przychodził. Okazywał mi dużo sympatyi, był zawsze bardzo uprzejmym i z wielką delikatnością dopytywał się o różne szczegóły z kampanii węgierskiej. Odpowiadałem mu, że o ile z gazet wiem, to zdaje mi się, że to tak lub owak było. Widziałem jednak, że się domyśla, kim jestem.

Wpłynęliśmy do zatoki Bosfor. Tu roztoczył się przed naszymi oczami widok najpiękniejszy, jaki sobie wystawić można. Na mnie jednak nie wywarł tak wielkiego wrażenia, bo zanadto byłem zajęty myślą i chęcią jak najprędzszego wydostania się ze statku, który ziemię austriacką przedstawiał.

Po zatrzymaniu się okrętu, zaraz przypłynął do niego urzędnik z ambasady austriackiej, który odebrawszy wszystkie papiery od kapitana, znowu odpłynął. Tymczasem mnóstwo członów zebrało się około statku, a pasażerowie, którym nie wolno było wysiadać przed otrzymaniem na to upoważnienia od ambasady austriackiej, czekali na pokładzie, ja zaś starałem się być jaknajbliżej wyjścia.

Wkrótce wrócił urzędnik ambasady i przemówił kilka słów do kapitana, który zbliżając się do mnie, szepnął, bym jak najprędzej umykał, bo chcą mnie aresztować; równocześnie dał znak majtkom, którzy przy wejściu stali, żeby mnie przepuścili. Na pokładzie był dość liczny tłum i gwar z powodu nieukontentowania pasażerów, że im jeszcze nie pozwolono statku opuścić. To ułatwiło pocziwemu kapitanowi nieznacznie manipulację dokonać. Spuściwszy się więc małemi schodkami i przeskakując z łódki na łódkę, dosta-

łem się nakoniec do dosyć oddalonej, którą, nie zwracając na siebie uwagi, odpłynąć mogłem.

Później słyszałem, że zamiast mnie, zaaresztowano podobno jakiegoś kucharza, Galicyanina. Ale ta pomyłka musiała się wkrótce wyjaśnić.

Tu muszę się w mojem opowiadaniu trochę cofnąć. Gdy nam jeszcze groziło, a osobliwie wyższym oficerom, wydanie Austrii i Rosyi przez rząd turecki, ambasador francuzki jen. dywizyi Aupic, za pośrednictwem pułkownika Zamoyskiego, wydał nam w listopadzie 1849 r. paszporty francuzkie. Gdy już potem o dalszym swoim losie trzeba było myśleć, napisałem jeszcze z Szumli do mego stryja ś. p. Krzysztofa Ponińskiego, który był prezydentem rządu pruskiego w Wrocławiu, prosząc, aby otrzymał od tegoż rządu upoważnienie dla mnie przyjechania do Prus i aby mi przez ambasadę w Konstantynopolu pieniędzy i paszportu udzielił.

Przybyłem więc do Konstantynopola opatrzonny francuzkim paszportem, wydanym wprawdzie tylko na podróż z Szumli do Konstantynopola, ale na mocy którego mogłem w najgorszym razie otrzymać inny do Francyi. Wolałbym był jednak zastać w ambasadzie pruskiej rozporządzenie od rządu wydania mi paszportu i pieniędzy.

Udałem się więc tam zaraz nazajutrz po przybyciu do Konstantynopola.

Moja łódka spotkała w pół drogi łódkę ambasady z flagą czarną i białą, skierowałem więc moją ku niej, dając znaki chustką, żeby się ku nam zbliżyła. Kiedy się łodzie zetknęły, zaprezentowałem się ambasadorowi hr. Pourtales i oświadczyłem, że mam do niego interes. Zaprosił mnie zaraz do siebie, i gdy się przesiadł, kazał do

swojego mieszkania wrócić. Po krótkiej rozmowie dowiedziałem się, że jeszcze żadne rozporządzenie dotyczące się mojej osoby nie przyszło, ale zarazem okazało się, że moi krewni, mieszkający w Prusiech, dobrze hr. Pourtalès byli znani, i że mamy dużo wspólnych przyjaciół i znajomych.

Przybywszy do swego mieszkania, zaproponował mi konny spacer, a potem powiedział, że pragnie mnie mieć u siebie na obiedzie; zauważyłem przytem, że obserwuje moje ubranie, które się składało z marynarskiej czapki, takiegoż granatowego paltocika i dawnych szarych rajtuzów, od których tylko czerwone lampasy odprułem, odpowiedziałem mu więc: „Widzę, że hrabia patrzy na moje ubranie? Nie posiadam innego; jeżeli więc chcesz mnie mieć na obiedzie, trzeba żebyś mnie upoważnił przyjść tak ubranym, jak teraz jestem“. Na to roześmiał się ambasador i rzekł: „W takim razie zostań pan zaraz dzisiaj na obiedzie“. Przyjąłem zaproszenie i kiedy hr. Pourtalès poszedł się przebrać, ja dałem się jak najlepiej oczyścić z błota, którem się w czasie konnej jazdy obryzgałem.

Żona ambasadora, miła i ładna osoba, której brata dobrze znałem, zapewne przez męża o mojem zaproszeniu uprzedzona, przyjęła mnie nadzwyczaj uprzejmie i po krótkiej rozmowie bardzo dobry stosunek między nami zapanował.

Była to niedziela, w którą cała ambasada do swego naczelnika zaproszoną bywa na obiad. Wkrótce przybyli wszyscy w czarnych frakach i białych krawatach i zaraz poszliśmy do obiadu. Hrabina Pourtalès podała mi rękę. Widziałem, że moja osoba, a szczególnie moje ubranie w niemałe zdziwienie tych panów wprawiało, to też przyglą-

dali mi się z wielką ciekawością przez wierzch swoich okularów, i z pełnem uszanowania pochyleniem głów odpowiadali, gdym się czasem do rozmowy wmięszał. Brali mnie widocznie za jakiegoś udzielnego księcia, będącego incognito. Dopiero po obiedzie, gdy prezentacja wzajemna nastąpiła, wszystko się wyjaśniło.

Dotrzymując słowa, danego Achmet Effendiemu przy wyjeździe z Szumli, udałem się do tureckiego ministra wojny, aby z nim o projekcie formowania pułków jazdy chrześcijańskiej pomówić i podać warunki, pod jakimi gotów byłem się tą organizacją zająć. Lecz zobaczyłem, że są to jeszcze nie dobrze określone i na daleką przyszłość projektu. Zaproponowałem więc ministrowi, aby taka ugoda między nami stanęła: „Ja wyjadę do Paryża i tam przez sześć miesięcy będę gotów przybyć do Konstantynopola na każde wezwanie Porty. Jeśli zaś po upływie tego czasu wezwania nie odbiorę, to mam prawo uważać się za zwolnionego od wszelkich zobowiązań“.

Minister wojny, który albo był przekonany, że organizacja pułków rozpocznie się przed upływem 6 miesięcy, albo udawał, że nim jest, przystał na moją propozycję. Poszedłem więc prosto od niego do ambasadora francuzkiego jen. Aupic i przedstawiając mu paszport, na przejazd z Szumli do Konstantynopola przez niego mi dany, prosiłem o drugi do Paryża.

Żadnych trudności nie robiono mi w tym względzie i kazano stawić się nazajutrz, aby paszport odebrać. Zwróciłem jednak uwagę jen. Aupic na to, że w moim paszporcie było wymienione, iż jestem pułkownikiem i emigrantem po kampanii węgierskiej, w skutek czego mogła mi policja

w Paryżu dokuczać. Ambasador jednak zapewnił mnie, że pod tym względem mogę być zupełnie spokojny, gdyż aby mi usunąć wszelkie trudności, jakiebym mógł mieć, napisał do Marsylii i do Paryża.

Mając więc paszport i trochę pieniędzy, które mi na podróż wystarczyć mogły, wołałem się już w świat cywilizowany do Paryża dostać, gdzie między tylu rodakami łatwiej było sobie poradzić, jak w Konstantynopolu dłużej bez celu siedzieć. Udaliśmy się więc z Kabatem do agencji francuzkich statków parowych, które między Marsylią a Konstantynopolem kursowały, żeby na przyszły przejazd do Marsylii bilety kupić.

Dzień i godzina wyjazdu były naznaczone, ale towarzysz mój tak marudził, żeśmy się spóźnili i dopływali do statku w chwili, kiedy ten już odjeżdżał. Trzeba się nam więc było do Pery wrócić, i żeby już zapłaconych pieniędzy nie traścić, na wyjazd drugiego statku tej samej kompanii czekać, a który miał dopiero za dwa tygodnie nastąpić. To spóźnienie jednak na dobre mi wyszło.

W życiu prawie zawsze tak się dzieje, że to co się nam w pierwszej chwili bardzo złem wydaje, później na nasze dobro wychodzi, bo Pan Bóg lepiej od nas wie, co nam potrzebne. Tak też się i tym razem stało.

Aby z tych dwóch tygodni skorzystać, stałem się choć mimowolnie turystą. W kilka dni później, przechodząc przed ambasadą pruską, usłyszałem, że ktoś za mną biegnie i woła. Zatrzymałem się więc: był to urzędnik z ambasady, którego, jak mnie przypadkiem przez okno zobaczono, posłano, aby mi oznajmił, że odebrano z Prus upoważnie-

nie udzielenia mi paszportu i potrzebnych pieniędzy.

Ucieszony tą nowiną, poszedłem nazajutrz do jen. Aupic, aby mu podziękować za paszport i zwrócić go, wolałem bowiem udać się do Paryża z pruskim, w którym byłem jako zwykły podróżnik przedstawiony, i otrzymawszy od ambasady pruskiej paszport i pieniądze, wyjechałem do Marsylii sam, bo towarzysz mój w Konstantynopolu został.

Przybywającym do Marsylii odbierano paszporty przy opuszczaniu statku, i aby go odebrać, musiał się każdy do policyi zgłosić.

Ja dopiero po kilku dniach poszedłem po mój paszport, stanąwszy bowiem w dobrym hotelu, chciałem przedewszystkiem dobrze wypocząć. Zauważyłem jednak, że zamiast mi go zaraz oddać, urzędnik wahał się z odpowiedzią, a wreszcie, po wielu naradach z innymi urzędnikami, kazał mi się nazajutrz stawić. Kiedym przyszedł, oddano mi paszport, ale z następującą wizą: „Pułkownik taki a taki — emigrant etc. powinien zaprezentować się w prefekturze policyi w Paryżu, aby otrzymać pozwolenie pobytu“. W pierwszej chwili nie mogłem zrozumieć, zkąd oni to wszystko wyciągneli, kiedy przecież na moim paszporcie byłem jako zwykły podróżnik wymieniony, i zirytowany taką wizą, wypowiedziałem urzędnikom w wyrazach dość energicznych i nie bardzo miłych moje zdanie o takim bezprawiu i oświadczyłem, że takiej wizy nie przyjmuję. Chciałem się także z tem zaraz do prefekta udać, ale że nie mogłem mnie przyjąć, bo prezydował jakiemuś posiedzeniu, poszedłem do konsula pruskiego. Przedstawiłem mu, że tu chodzi o godność

Prus, bo o nieuszanowanie paszportu tegoż rządu. Był to młody człowiek. Widocznie rozdrażniony mojem przedstawieniem, zaproponował, żebyśmy zaraz do prefekta poszli, ale wytłómaczyłem mu, że ponieważ prefekt znajduje się na zebraniu i zapewne nas nie przyjmie, lepiej może będzie, jeżeli on mi da list otwarty do prefekta, w którymby w najenergiczniejszych wyrazach żądał uszanowania pruskich paszportów. Tak też i zrobił. A ja z tym listem wróciłem do prefektury i posłałem go prefektowi. List wywołał pożądany skutek, bo prefekt, mimo zebrania, na którym się znajdował, kazał mnie do siebie zaprosić.

Był to dawny żołnierz z Napoleońskich wojen, o jednej nodze i powierzchowności bardzo poważnej. Dowiedziawszy się z listu konsula pruskiego o co chodzi, kazał sobie jakieś papiery przynieść. Przeglądając je, kiwał głową z zakłopotaniem. Śledząc wyraz twarzy jego i tych co z nim papiery przeglądali, domyśliłem się, że muszą się w nich rekomendacje jen. Aupic i moje kwalifikacje znajdować. Zwróciłem się więc do prefekta, mówiąc, że zapewne ma w ręku list rekomendacyjny jen. Aupic, który tenże napisał w celu usunięcia wszelkich trudności, jakieby mi policja stawiać mogła, ale nie na to, bym dostał wizę, której przyjąć nie mogę. Na to prefekt odpowiedział: że tak rzeczywiście jest, ale dlatego właśnie musi wymienić kwalifikacje, które mnie do kategorii emigrantów przyłączają.

Widziałem, że sprawa przegrana będzie, jeżeli jej silnym argumentem nie poprę. I właśnie w tej chwili stanęło mi na myśli przekonywujące porównanie, do którego się uśmiechnąłem. Ciekawy, jak wszyscy Francuzi, prefekt zapytał mnie na-

tychmiast, dlaczego się uśmiecham? Odpowiedziałem, że przyszło mi na myśl porównanie, z którego najoczywściej wynika, że władze policyjne w Marsylii nadużycia robią i wyrządzają mi krzywdę. Jeszcze więcej moją odpowiedzią zadowolony, prosił, bym zechciał to porównanie i jemu przedstawić. Na co przemówiłem w następujący sposób do obecnych panów:

„Wystawcie sobie, żeby ktoś dla politycznego przekroczenia sądzony w Bordeaux, na śmierć skazany, lecz potem ułaskawiony, znajdując się w Marsylii spotkał jednego ze swych sędziów, któryby zaczął głośno wykrzykiwać do publiczności znajdującej się na ulicy: Łapcie tego człowieka i wieszajcie, gdyż ja jestem świadkiem, że był na śmierć skazany! Pytam się panów, czy ten sędzia miał prawo tak postąpić? — Jednogłośnie odpowiedzieli, że „Nie“! — „A przecież — dodałem — to jest moje położenie. Gdy jen. Aupic dawał mi paszport francuzki i pisał list rekomendacyjny, byłem jeszcze emigrantem, ale od czasu, kiedy mi rząd pruski wydał paszport i pozwolił do Prus wrócić, przestałem nim być i rząd francuzki nie ma prawa znowu gwałtem mnie emigrantem robić“! Wszyscy przyznali mi słuszność, a prefekt wydarł z książeczki mojej kartkę, na której była wiza i dał rozkaz, aby mi dano inną, jak zwyczajnemu podróżnemu.

Wróciłem z tryumfem do biura, gdzie wszystkich zastałem tak dalece dla mnie ugrzecznionych, że moja rekomendacja wystarczyła na usunięcie trudności, jakie robiono pułkownikowi węgierskiemu w wydaniu wizy na podróż do Paryża.

Załatwiwszy w ten sposób pomyślnie mój interes, udałem się zaraz do biura dyblizansów

idących z Marsylii do Paryża i jeszcze tego dnia wzięwszy bilet do coupé, wyjechałem. Dyliżans ogromny i wysoki ciągniony był przez sześć perszeronów, które się mniej więcej co 20 kilometrów zmieniały i więcej galopem jak kłusem leciały. W coupé znajdowały się 3 osoby: konduktor, młody Gaskończyk i ja, a wewnątrz karety liczna rodzina angielska.

Ledwośmy z miasta wyjechali, koła zaczęły się po ślizkiej drodze luzować, co tak przestraszyło młodego Gaskończyka, który widocznie nie był obdarzony silnemi nerwami, że przy każdym zatoczeniu się dyliżansa, szczypał mnie bez ceremonii po nogach. Zniecierpliwiony tem niezbyt przyjemnem zachowaniem się mego sąsiada, poprosiłem go dość żywo, by zechciał przestać mnie szczypać i chcąc go uspokoić, zapytałem konduktora, jak dawno ostatni raz dyliżans się wywrócił? mniemałem bowiem, że taki wypadek bardzo rzadko się zdarza, a tymczasem dowiedziałem się, że dyliżans z powodu ślizkich dróg wywrócił w ostatnich dwóch tygodniach. Wtedy żałowałem, że zapytanie postawiłem, bo ta odpowiedź naturalnie wręcz przeciwny skutek, niż ten, któremu się spodziewałem, na moim sąsiedzie wywarła.

Z tej całej podróży przytoczę tylko jeden epizod, który raz więcej udowodni, że tylko spokój i zimna krew mogą od wypadku uchronić, kiedy przez bojaźń tylko głowę się traci i niebezpieczeństwo powiększa.

Mój towarzysz był ciągle równie nerwowym, aż tu, kiedyśmy galopem, wedle zwyczaju, z dość wysokiej góry zjeżdżali, z której droga zygzakiem schodziła, oderwała się na jednym skręcie sztelwaga przednich koni. Dyszłowe, pchane ciężkim

dyliżansem, nie miały siły skrócić, tak, że mimo wszelkich usiłowań pocztyliona, aby temu zapobiedz, lecieliśmy prosto w przepaść. Zrozumiałem, że tu trzeba natychmiast działać. Schwyciłem się więc jedną ręką za koziół, spuściłem się na dyszlowego konia a z tamtąd na ziemię i uchwyciwszy cugiel blisko pyska końskiego, skierowałem konia na kupę kamieni, na których się dyliżans zatrzymał.

Mój towarzysz był nawpół żywym ze strachu, ale mimo to tak mało miałem dla niego litości, że z tej okoliczności skorzystał, aby go dobrze za tchórzostwo wyburczeć i przekonać, że ono tylko szkodliwym być może. Cała zaś rodzina angielska z płaczem wysypała się z dyliżansu, a jakaś stara Lady o mało mi się na szyję z wdzięczności nie rzuciła.

Przybywszy do Paryża, stanąłem na 4-em czy na 5-em piętrze ówczesnego hotelu „Rouen“ Place du Havre, gdzie mi towarzyszył pułkownik węgierski, spotkany w Marsylii. Miał on z sobą służącego starego huzara, który i mnie się nieraz przydał.

W Paryżu zastałem także Jana Aleksandra Fredrę (syna). Mieszkał u rodziców, którzy mnie z otwartymi rękoma przyjęli, tak, że wkrótce czułem się u nich jak w domu i z wielką przyjemnością spędzałem całe godziny w towarzystwie hr. Fredry (ojca), człowieka rozumnego, dowcipnego i bardzo przyjemnego.

Był także w Paryżu Henryk Rodakowski, znakomity malarz, szczególnie portrecista, którego znałem z bardzo młodych lat, kiedyśmy się równocześnie kształcili w Wiedniu, on w Theresianum a ja w Akademii inżynierów. I tak pomału znajomości moje się powiększały, a kolonia pol-

ska była wówczas dość znaczna i emigracya z 1831 r. dość liczna,

Z jedną z pierwszych wizyt wybrałem się do księstwa Adamów Czartoryskich, którzy mnie nie tylko z wielką łaskawością przyjęli, ale jeszcze taką życzliwość okazywali, że z wielką przyjemnością uczęszczałem do Hotelu Lambert i wkrótce dobrze się zapoznałem z dwoma synami Księcia: Witoldem i Władysławem, a szczególnie z pierwszym, z którym mnie połączyły węzły przyjaźni.

Książę Witold był to prawdziwy szlachcic polski, ze wszystkimi zaletami, ale też i z niektórymi wadami, lecz tak pocziwy i szlachetny, że nie można było go nie kochać. On zaś posuwał swoją pocziwość tak daleko, że można było do niego najzupełniej to przysłowie zastosować: „Dał się cygan powiesić dla kompanii“.

Książę Władysław miał charakter więcej zamknięty, przypominał już w swoich młodych latach hr. Władysława Zamoyskiego.

Księżna Adamowa była prawdziwą wielką panią i matroną polską; z uprzejmością i taktem łączyła wszystkie różnorodne elementa swego salonu, bo do Hotelu Lambert nie tylko się całe towarzystwo kolonii polskiej i przybywający z kraju schodzili, ale i Francuzi i inni cudzoziemcy. Tam też porobiłem dużo znajomości, które mi bardzo pobyt w Paryżu uprzyjemniły.

Byłbym wielkim niewdzięcznikiem, gdybym nie wyraził swego wielkiego szacunku i wdzięczności dla ks. Adama, od którego tyle dowodów życzliwości doznałem. Był to typ dawnego wielkiego pana, pełen rozumu, taktu, serca, życzliwości dla wszystkich, a wyrozumiałości dla każdego, a przytem powierzchowności tak poważnej i uj-

mującej, że mimowolnie do siebie przyciągał i najwyższy podziw i szacunek wzbudzał.

Nie wiem, czemu przypisać nadzwyczajną łaskę, jaką mnie stary Książe okazywał, chyba temu, że widział, iż jego starszy syn dużo dla mnie miał przyjaźni.

Mimo tego wszystkiego nie byłem zadowolony, bo nietylko środki materialne nie pozwalały mi dłużej takiego życia prowadzić, ale zacząłem tęsknić za pracą i za celem w życiu.

Na wiosnę 1850 r. wyjechałem do Londynu w towarzystwie Jana Aleksandra Fredry (syna). Tam przepędziliśmy razem kilka tygodni. Wielkość tej stolicy i całe mrowie ludzi, które się w niej porusza, są imponujące, ale nie powiem, żeby pierwsze wrażenie było dobre. Prawie wszyscy mężczyźni, których się na ulicy spotykało, byli do siebie podobni (gdyż wąsów i bród nie nosili), wszyscy równie zaaferowani, a ulice monotonne. Kto wąsy tak jak ja nosił, narażał się na to, że ulicznicy za nim biegli i palcem wskazując „Frenchman“ wołali. Nie pozwalano także palić cygara ani w sklepach, ani w domach, tylko w przeznaczonych na to pokojach, a palenie na ulicy uważano nawet za brak wychowania.

Chociaż ta moja pierwsza wycieczka do Londynu bardzo dla mnie zajmującą była, kontent jednak byłem, że wracam i że się znowu „dans la petite (w porównaniu z Londynem) mais sympathique ville de Paris“ — znajduję.

W jesieni tego samego roku (1850) udałem się na granicę Austrii, gdzie mnie macocha i stryjeczna siostra Krystyna (późniejsza Ksawerowa Milieska) odwiedziły. Ztamtąd udałem się do Berlina, aby się z blizkimi krewnymi tam mieszkają-

cymi zobaczyć, a potem na zimę pojechałem do Księstwa Poznańskiego. Tam, liczna rodzina Ponińskich. z których najstarszy Edward we Wrześni mieszkał, przyjęła mnie z otwartemi rękoma, jak gdybym był ich najbliższym krewnym — choć zdaje mi się, że między nami tylko bardzo dalekie pokrewieństwo istnieje. Zresztą i wszyscy obywatele, z którymi poznałem się, bardzo uprzejmi i serdeczni dla mnie byli, tak, że tam przebyty karnawał z 1851 r. bardzo mi miłe wspomnienia zostawił.

Wkrótce po moim przyjeździe do Poznania, obywatele dali dla mnie obiad w Bazarze, na którym dużo szampana pili. A że ja nie lubię dużo pić a osobliwie szampańskiego wina, więc jeden dość poważny obywatel, zwracając się do sąsiada, rzekł: „Mówią, że ten pułkownik Poniński dobry żołnierz, ale co mi to za hułan, kiedy pić nie umie!“ Wolałem jednak przyznać się do tej wady, niż zasłużyć u mego sąsiada na imię prawdziwego „hułana“.

Nie chcę nikogo z tego czasu wymieniać, ażeby nie okazać niewdzięczności tym, którychbym mógł opuścić, wspomnę tylko o dwóch przyjaciółach: Wincentym Kalksteinie i Wincentym Tyszkiewicz, którzy, lubo dużo odemnie starsi, zaszczytili mnie swoją przyjaźnią.

Kalkstein, obywatel Księstwa Poznańskiego, był teściem Stanisława Ponińskiego, emigranta z 1831 r., mieszkającego zwykle w Paryżu. Tyszkiewicz zaś, wychodźca z 1831 r., już jako wdowiec ożenił się z panną Grabowską i w Poznaniu zamieszkał.

Po karnawale wyjechałem na dłuższy czas do Wrześni, gdzie mnie Edwardowie Ponińscy

bardzo mile przyjęli. Cierpiałem na reumatyzmy, których mnie kampania z 1848 na 1849 r. nabawiła, bo całą tę zimę z rzadkimi wyjątkami pod gołym niebem spędziłem. Lekarze wysyłali mnie do wód, a potem nad morza; spędziłem więc jedną część roku między Wrześnią a Poznaniem, a drugą u różnych wód, które kończyłem zwyczajnie morskimi kąpielami w Ostendzie.

Tak zwiedziłem: Kreuznach, Schwalbach, Wiesbaden, Homburg, Kissingen i Ems.

W Poznańskim czas mi dosyć przyjemnie schodził, nie było bowiem polowania, lub innej zabawy na wsi, na którąby mnie nie proszono. Prócz tego brałem udział w wyścigach konnych, które się co roku w Poznaniu odbywały. Często jeździłem na koniach ks. Augusta Sułkowskiego, czasem zaś na moich i nie wiem, czy to zręczność czy szczęście, ale zawsze mi się powodziło.

Podczas mego pobytu w Poznańskim związało się towarzystwo myśliwskie z meutą angielską, na gruntach, ofiarowanych na ten cel przez ks. Sułkowskiego.

Przyłączyłem się i ja, jako członek, do tego towarzystwa, do którego nie tylko młodzież poznańska, ale nawet kilku obywateli ze Szląska należało. Towarzystwo zbierało się w Lesznie, gdzie miało swój klub.

Często, szczególnie w dnie, kiedy się nie polowało, jeździliśmy do pobliskiej Rydzyny, gdzie nas ks. August i ks. Marya z hr. Mycielskich Sułkowscy najgościnniej przyjmowali. Wieczór zakończył się prawie zawsze tańcami.

Rydzyna była to wspaniała rezydencya, urządzona na wielką skalę; nie brakowało w niej niczego, coby pobyt na wsi uprzyjemnić mogło. Po-

lowania kończyły się zwykle wyścigami i Steeple-chase'ami, wolne zaś chwile wypełnialiśmy strzelaniem z pistoletu.

Doszedłem w tym sporcie do pewnej doskonałości, ale tak w strzelaniu jak i w wyścigach znalazłem zręcznego przeciwnika w osobie hr. Götzen, wielkiego sportsmana z Wrocławia, który także był członkiem naszego towarzystwa i z którym w bardzo dobrych stosunkach żyłem, co jednak nie przeszkadzało, żeśmy się w strzelaniu zacięcie ścierali, ale partye tak się równoważyły, że trudno było rozsądzić, który z nas lepiej strzela. Zdecydowano więc ułożyć partyę ze stu strzałów, z warunkiem, że ten, co przegra, drugiemu pierwszeństwo przyzna. Zgodziliśmy się na to.

Oznaczono dzień, w którym ten moralny pojedynek między hr. Götzen a mną miał się odbyć w Rydzynie, aby panie, które sobie tego życzyły, w nim udział wziąć mogły. Dwóch ludzi nabijało pistolety, a myśmyciągle strzelali, w przytomności liczного towarzystwa.

Nigdybym nie uwierzył, że sto strzałów, jednym ciągiem zrobionych. tak zmęczyć i zdenerwować może, a jednak tak jest, bośmy w końcu obydwaj źle strzelali.

Partyę tę wygrałem ja, a przytomny temu pojedynekowi baron Hochwächter w następujący sposób do nas przemówił: „Gdyby mnie hr. Götzen na pojedynek wyzwiał, tobym się w żelazną koszulę ubrał, ale gdyby hr. Poniński, tobym się zaraz otruił!“

Baron Willamowitz i hr. Götzen byli najlepszymi ówczesnymi sportsmanami w Prusiech, ale baron, nie będąc już bardzo młodym, nie brał

udziału w wyścigach i Steeple-chase'ach. tylko zadawał się polowaniem par force.

W dzień św. Huberta, jeleni, którego goniono, idąc obok szosy, przeskoczył dość szeroki kanał. Naturalnie, że na tym kanale na szosie wybudowany był most, z którego, ponieważ kanał był trudny do przeskoczenia, wszyscy skorzystali, a nawet hr. Götzen swego konia tam skierował. Baron Willamowitz, który koło mnie jechał, zwrócił mi na to uwagę i zaproponował, żebyśmy nie korzystając z mostu kanał przeskoczyli.

Ja siedziałem na małej klaczy czystej krwi „Little Flee“, a on na koniu, który już wiele Steeple-chase'ów wygrał. Moja klacz jak szalona szła na przeszkody, nie można było jej nawet w biegu wstrzymać, bo ryzykowało się bokiem do przeszkody zbliżyć. Willamowitz, który o tem wiedział, rzekł mi: „Jedź pan naprzód, gdyż pańska klacz nigdy skoku nie odmawia, a ja pojedę za panem i będziemy potem z hr. Götzen żartowali. „Puściłem się więc wprost na kanał, ale hr. Götzen, widząc to, zjechał z szosy i skośnie do kanału się zbliżał; ale ponieważ kanał nie był napełniony wodą, chciał zjechać częścią suchą i przeskoczyć tylko część napełnioną wodą, zmniejszając tym sposobem szerokość kanału. W chwili jednak. w której się do kanału zbliżyłem, hr. Götzen. spuszcżając swego konia do rowu, zajechał mi drogę; nie było już czasu klaczy zatrzymać, więc zachęcając ją jeszcze głosem. skoczyłem między uszami spuszcżającego się konia a nosem hr. Götzen, który wołał na mnie „brawo“, gdym jeszcze był w powietrzu. Potem przez cały czas polowania jeździł za mną, żądając, abym mu słowem honoru zaręczył. że dobrowolnie ten skok uczynił.

W czasie tych polowań w Lesznie wygrałem także Steeple-chase na klaczy „Marie-Anne“ hr. Ignacego Bnińskiego, przeciw hr. Götzen i innym sportsmanom, których nazwisk nie pamiętam.

Po tym Steeple-chasie, kupił „Marie-Anne“ hr. Kazimierz Kwilecki. Dowiedziawszy się o tem, hr. Götzen zaproponował powtórzyć ten sam Steeple-chase, ale tym razem „Marie-Anne“, na której sam właściciel jeździł, przegrała.

W Poznaniu wygrałem także wyścig na cztero letniej klaczy ks. Augusta Sułkowskiego „Revolution“ zwanej, po skończeniu którego zbliżył się do mnie generał komenderujący w Poznaniu „mówiąc“: Hrabia na Rewolucyi wygrywasz! — „Już dość na niej przegrałem, aby teraz móżdż wygrać!“ odparłem.

Także w Poznaniu wygrałem wyścig na własnym koniu „Kladderdatsch“ (nazwa humorystycznego dziennika w Berlinie). Zwycięzcy damy z Poznańskiego ofiarowały puchar srebrny, który dotychczas posiadam.

Nazwa konia, jakoteż i okoliczności, w jakich go kupilem, były dość oryginalne.

Przejeżdżając przez Berlin, spotkałem się w tem mieście z obywatelem Ks. Poznańskiego, p. Taczanowskim, który mnie prosił, abym z nim do handlarza koni poszedł i w wyborze pary karossyerów dopomógł. W jednej z tych stajen spostrzegłem w kącie prawie ciemnym konia gniadego, niewielkiego, ale bardzo rasowego. Był on w dość złym stanie, bo nawet miał znaki od skaleczenia. Spytałem się właściciela, co to za koń? „To szelma koń“ — odpowiedział mi — „on już przez wszystkie pułki gwardyi przechodził i nareszcie

do mnie się dostał, bym go choć za kawałek chleba sprzedał“.

Ponieważ zdaniem mojem, dobry koń nie jest dla wszystkich, a zuchwałość jego i walki, które z jeźdźcem stacza, polegają zwyczajnie na poczuciu własnej siły, ciekawy byłem, jak ten koń pod siodłem chodzi. Wjechał więc na nim bereiter do otwartego maneżu, który się na dziedzińcu stajennym znajdował. Nie mogłem jednak dużo zobaczyć, bo po kilku krokach koń z jeźdźcem przeskoczył baryerę i do stajni wrócił. Próba ta była dostateczną dla mnie, aby osądzić zdatność konia. wdaliśmy się więc w targ i kupiłem go za 100 talarów. Nie wiedząc jednak, co mi się uda z niego zrobić, nazwałem go „Kladderdatsch“, pod którą to nazwą wszystko ująć może.

Po kilku walkach, z których zwycięzko wyszedłem, ułaskawiłem konia, który się stał tak dobrym i posłusznym, że mój głos wystarczał, aby położyć koniec chęci nieposłuchania, która mu czasem wracała. Odbywałem na nim dalekie wycieczki w sąsiedztwo, mając za siodłem mały tłumoczek z rzeczami do przebrania; gdy ich więcej potrzebowałem, to sprowadzałem pocztą lub jakim innym sposobem.

Razu jednego, przyjechawszy na „Kladderdatschu“ do Kwilcza do hr. Arsenów Kwileckich na zjazd kilkodniowy, na którym polowano w dzień a tańczono wieczorem, wspomniałem nazajutrz przy śniadaniu o mym koniu, mówiąc, że muszę go trochę przejechać, gdyż poprzedniego dnia wielki kurs odbył. Na to odezwał się gospodarz, że bereiter może go przejechać, a widząc moją powątpiewającą minę, dodał: „Wszak on wszystkie moje młode konie ujeżdża“. Nie chcąc się więcej

gospodarzowi sprzeciwić, poszedłem z nim do stajni, dokąd nam kilka osób, ciekawych tego konia widzieć, towarzyszyło.

Osiodłano więc „Kladderdatscha“ i p. bereiter, zachowując wszelkie reguły ekwitacyi, siadł na niego. Ale zaledwie kilkanaście kroków ujechał, koń się zatrzymał, a w odpowiedzi na małą zachętę do postępowania naprzód, spał się, stanął dęba, zwrócił i kilkoma skokami przy drzwiach stajni się znalazł. Ta próba powtórzyła się trzykrotnie z równym rezultatem, a bereiter wolał dalszych prób zaniechać. Wtenczas, tak jak stałem, bez czapki i bez rękawiczek siadłem na „Kladderdatscha“ i samym tylko głosem nakłoniłem go do posłuszeństwa, a raczej nie potrzebowałem wcale nakłaniać, bo odrazu wykonał to, czego od niego żądałem.

Jak sobie wystawić można, wypadek ten dał powód do różnych żartów i pogadanek w gronie liczego towarzystwa, jakie w Kwilczu zebrane było, a skończyło się tem, że Bolesław Potocki i inni młodzi ludzie w Kwilczu będący, zaproponowali mi na wyścigach poznańskich przeciw nim na „Kladderdatschu“ biegać, a panie obiecały srebrny puchar dać zwycięzcy.

Wprawdzie nieznana mi jeszcze była szybkość biegu „Kladderdatscha“, ale, licząc na swoją zręczność i umiejętność w trenowaniu konia, przyjąłem propozycję pod warunkiem, że każdy swego konia sam do tego wyścigu, który miał się za trzy miesiące odbyć, przygotowuje.

Przez te trzy miesiące ćwiczyłem mego konia codziennie podług pewnych prawideł z Bolesławem Łackim, u którego na ten czas na wsi zamieszkałem. Rezultat był dobry, gdyż prócz konia trenowałem

siebie samego, tak, że gdy przybyłem na wyścigi do Poznania, Anglicy, którzy tam byli, nie tylko, że konia chwalili, ale jeszcze mnie za nogi i ramiona chwyтали, podziwiając muszkuły. W takich warunkach zwycięstwo nie było trudne.

Wieczór po wyścigach urządzono bal w Bazarze, na którym panie ofiarowały mi ów puchar. Napełniłem go szampanem i wychyliłem na ich zdrowie.

Mógłbym jeszcze o wielu innych wyścigach przezemnie wygranych wspomnieć, ale zdaje mi się, że już dosyć o takowych mówiłem.

Czas w Księstwie schodził mi dosyć prędko i przyjemnie, bo w zimie tańczyłem i polowałem, na wiosnę brałem udział w wyścigach, latem jeździłem do wód, a jesienią polowałem par force w Lesznie.

Ale i te ciągłe zabawy nie zadawałniały mnie, czułem bowiem zanadto dobrze nicość tego wszystkiego i gryzłem się tem, że moje młode lata tak marnie schodzą.

Do gospodarstwa wziąć się nie mogłem, gdyż żadnego kapitału nie miałem, a zanadto dobrze były mi znane ówczesne przesady polskie, dotyczące się innych zajęć, abym chciał na nie nie zważać. Nie pozostawało mi więc nic innego do czynienia, jak czekać na jaką wojnę dla dobrej sprawy rozpoczętą, abym znowu mógł pałasz z pochwy wyjąć.

Czekanie to jednak nie długo trwało, bo w końcu 1855 r. odebrałem od gen. Władysława Zamoyskiego, któremu rząd angielski powierzył tworzenie dywizyi polsko-angielskiej w Turcyi, list, w którym mi dowództwo pułku kawaleryi ofiarowywał.

W tej legii była brygada kawaleryi. składająca się z pułku chasserów, którymi dowodził pułkownik Kamiński, oficer 1831 r. i z 5-go pułku ułanów, a dlatego 5-go, bo taki sam mundur nosili w wojsku polskiem ułani tegoż pułku. mianowicie amarantowy kołnierz i wyłogi z białemi wypustkami.

Tę propozycję przyjąłem z radością i zaraz udałem się do Drezna, gdzie ojczym mój z macochą wtedy mieszkali. Zatrzymałem się tam cokolwiek, a potem wprost udałem się do Paryża, gdzie tylko tyle czasu spędziłem, ile potrzebowałem na umundurowanie się i opatrzenie we wszystko, coby mi się w czasie kampanii w takim kraju jak Turcyja przydać mogło.

Kampania ta miała się w korzystnych dla nas warunkach toczyć, bo razem z wojskiem angielskiem i francuskim, które nie mogło dobrego przykładu nie dać nowo formującej się legii.

Miedzy temi dwoma armiami była tylko ta różnica, że wojsko francuskie szło do bitwy jak do tańca, a wojsko angielskie jak do kościoła. Ja wolałem ten ostatni poważny sposób i często sprzeczałem się z oficerami francuskimi, utrzymując, że w ich wojsku niema dostatecznej dyscypliny, na wypadek, gdyby nieprzyjaciel w początkach nad nimi zwycięztwo odniósł.

Nie przewidywałem wtenczas, że francusko-niemiecka kampania z 1870 r. tak smutnie moje zdanie potwierdzi.

Pogłoski, jakie się rozchodziły w Paryżu o prawdopodobnem i niedalekiem zawarciu pokoju między walczącemi stronami w Krymie. ostudzały mój zapał, ale zarazem powiększały chęć jak najprędszego dostania się do Warny. w pobliżu

której stały w barakach obydwu pułki kompletującej się kawalerii.

Wyjechałem więc koleją do Marsylii i udałem się do Konstantynopola statkiem angielskim. Był on przepełniony angielskimi oficerami, z którymi wkrótce tak się dobrze zaprzyjaźniłem, że niektórzy z nich słowo honoru mi dali, że gdybym ich kiedykolwiek dla sprawy polskiej wezwał, to się natychmiast do walki stawia.

Zawsze miałem wielki pociąg do Anglików, bo są to ludzie poważni, na których liczyć można i chociaż w pierwszej chwili są zimni i na pozór niedostępni, po bliższem poznaniu stają się bardzo przyjacielscy a nawet serdeczni. Francuzi zaś znajomość zawierają łatwo, są nawet często natrętni, narzucający się, ale zwyczajnie stosunek zostaje na tej samej stopie, na jakiej w pierwszej chwili stanął.

Te dwa narody, angielski i francuski, takie na mnie wrażenie robią. Naród angielski egoistyczny i przeważnie kupiecki, nie wzbudza we mnie wielkiej sympatii, ale za to między pojedynczymi Anglikami znalazłem wielu ludzi szlachetnych, których bardzo polubiłem. Naród zaś francuski ma en masse szlachetne i piękne porywy i mimowolnie ku sobie pociąga, ale pojedyncze indywidua rozczarowują i ogólnie nie są sympatyczne, przy najmniej dla mnie.

Od tego czasu naród francuski ogromnie podupadł moralnie. Mojem zdaniem przyczyniło się do tego głównie jego zamiłowanie do bogactwa, które posiada. Dla Francuza największe znaczenie ma „la pièce de 5 francs“, a reszta mało ich obchodzi. Także i rząd republikański więcej się do upadku, niż do podźwignięcia narodu przyczynia.

W teoryi rząd republikański jest najlepszy, ale w praktyce tylko wtenczas może być dobrym, jeżeli większość narodu jest republikańską, do czego Francyi jeszcze bardzo daleko!

Prawie każdy z tych terażniejszych republikańców jest małym despota i myśli tylko o tem, jakby władzę, którą posiada, obrócić na korzyść swojej partyi lub osobistości.

IV.

Pobyt w Turcyi podczas wojny Krymskiej r. 1856 i emigracya do 1859 r.

Przyjechawszy do Konstantynopola w lutym 1856 r., stanąłem na Pera w jednym z europejskich hoteli, który prawie wyłącznie zapełniony był oficerami angielskimi.

Zaraz po odbyciu obowiązkowych wizyt: u jen. Storcks, komendanta sił angielskich na Bosforze, u Zamoyskiego, dowódcy dywizyi legionu anglo-polskiego, u jen. Breanskiego, dowódcy brygady piechoty w legionie, u pułkownika angielskiego szefa sztabu dywizyi anglo-polskiej etc., udałem się do Warny. Głównych dowódców legionu jużem wymienił, dodam więc tylko jeszcze, że pułkownikowi Kamińskiemu prócz dowództwa nad pułkiem chasserów powierzona była także i brygada. Baterią artyleryi dowodził kapitan Ordon, o którym tak pięknie Mickiewicz pisał. Kasyerem i rachmistrzem dywizyi był kapitan Żaba, z dawnej emigracyi, który przybył z Anglii.

W brygadzie jazdy, a szczególnie w 5-ym pułku ułanów, którego dowództwo objąłem, zastałem między oficerami wielu dawnych moich podkomendnych z kampanii węgierskiej. Żołnierze

składali się zaś po większej części z niewolników Polaków, wziętych podczas kampanii krymskiej w armii rosyjskiej, albo z młodzieży przybyłej z emigracyi i z kraju. Niełatwo było wśród tak różnorodnego elementu posłuszeństwo utrzymać i natchnąć poczuciem obowiązku, ale pracowało się gorliwie, aby jak najprędzej ten skutek otrzymać, w nadziei rychłego znalezienia się przed nieprzyjacielem. Mieliśmy konie dosyć dobre i w dostatecznej ilości, a zatem ciągle odbywały się ćwiczenia konne i piesze — nie tyle właściwie dla nauczania musztry, którą już większość żołnierzy znała, jak dla przyzwyczajania ich do polskiej komendy. Trzeba także było szukać rozmaitych środków, aby żołnierze przełożonych a przełożeni podwładnych prędko poznali, bo tylko w ten sposób można zaufanie jednych dla drugich wzbudzić; to też, wszelką zmianę dowódców w wilię kampanii uważam za szkodliwą i niestosowną. Wszystko szło dosyć dobrze, gdyż łatwo Polaków wykierować na dobrych żołnierzy, aby tylko ostrą dyscyplinę zaprowadzić. Ale w legionach jest to trudniej, niż się zdawać może, bo część inteligentna nie tylko sama rezonuje i w politykę się bawi, ale jeszcze drugim, którzy o tem nie myślą, głowę zawraca. Utrudniał nam jeszcze nasze zadanie, mieszając zawsze politykę w mowach swoich do żołnierzy, generał Zamoycki, który był więcej dyplomata niż żołnierzem i który podczas emigracyi zatrudniał się polityką przy ks. Adamie Czartoryskim. Dodać także trzeba, że coraz głośniejsze były pogłoski o zawarciu pokoju, a ztąd i rokowania o przyszłości legionu coraz bardziej utrudniały utrzymanie karności i posłuszeństwa, szczególnie tych,

k którzy się wdlawać chcieli w t łómaczenia i ga-
wędki ze swoimi podwładnymi. Największą skłón-
ność do tego mieli ci, co oddawna służbę woj-
skową opuścili i polityką się zajmowali.

Po zawarciu pokoju, brygada jazdy została
przeniesioną z okolic Warny na drugą stronę
Bałkanów do Bujuk-Czekmedze. Ten marsz odby-
waliśmy w maju, każdy pułk z osobna pod do-
wództwem swojego pułkownika. Przyznam się,
że była to podróż ze wszystkich, jakie w życiu
odbywałem, najciekawsza, bo nie tylko, że się co
chwila krajobrazy zmieniały, ale dziką pięknnością
swoją zachwycaly oko; zetknięcie się zaś z pół
dzikimi mieszkańcami tych okolic, dało nam spo-
sobność poznania choć trochę ich obyczajów.
Z początku bali się nas bardzo. Jakeśmy się tylko
do jakiej wsi przybliżali, ludność opuszczała ją
zwyczajnie i z bydłem w góry uciekała. Dopiero
po solennych zaręczeniach, że żadnego nadużycia
się nie dopuścimy i że za wszystko, czego potrze-
bować będziemy, złotem angielskiem zapłacimy,
dawali się do powrotu nakłonić. Przebywałem
z moim pułkiem tę samą drogę, co niegdys Dy-
bicz-Zabałkański, i jako dowódzca byłem prawie
zawsze w tych samych co on domach zakwate-
rowany.

Najbogatsi i najstarsi mieszkańcy, zwyczajnie
zaraz składali mi uszanowanie swoje i chociaż roz-
mowa z nimi nie bywała bardzo ożywiona, obja-
śniała jednakże stosunki i zwyczaje miejscowe. Lu-
dność tych okolic, gdy raz kogoś w dom przyjmą,
jest nadzwyczaj gościnną, czasem aż zanadto,
a niektóre szczegóły tej nieograniczonej gościn-
ności zdziwiły mnie nawet mocno.

Marsz ten, mimo, że był dość uciążliwym, odbył się szczęśliwie i bez żadnego wypadku. Przybyliśmy do Bujuk-Czekmedze, gdzie cała brygada została rozkwaterowana. Tu rozpoczęły się wielkie upały i dopiero wtedy zrozumieliśmy praktyczność Turków w noszeniu turbanów i opasывaniu żołądka długim pasem, bo tak nas słońce w głowy piekło, a raptowna zmiana temperatury po zachodzie słońca tak się naszym żołądkom we znaki dała, żeśmy kaszkiety pozakrywali białymi welonami, które nam aż na plecy spadały, i opasali się szerokimi wełnianymi pasami. Ale zwykle: mądry Polak po szkodzie, tak i my uczyniliśmy to dopiero, gdy dyssenterya między nami panować zaczęła.

Dla skrócenia czasu oficerowie angielscy różnych broni, urządzali „Paper-Hunt“ (naśladowanie polowania par force) i wyścigi, lecz prawie wyłącznie na wschodnich koniach, które bardzo polubili, jako pewnego rodzaju nowość; ja zaś, który zawsze byłem zwolennikiem koni angielskich. nawet i w Turcyi koni tej rasy używałem.

Okolice Bujuk-Czekmedze sprzyjała wszelkim wyścigom; to też oficerowie angielscy, wracając z wycieczek, zaczęli mnie pytać, dlaczego ja udziału w nich brać nie chcę — odpowiedziałem im, że konia arabskiego nie mam, a na angielskim nie wypada mi przeciwko nim występować. Oni jednak wzięli to tylko za pretekst z mojej strony i coraz natarczywiej zachęcali do zmierzenia się z nimi; zgodziłem się więc na ich żądanie, ale pod następującymi warunkami:

1) że tylko te konie arabskie biegać będą, które już poprzednio wyścigi wygrały.

2) że wyścigi odbędą się dopiero za dwa tygodnie, bo koń mój nie był w stanie zaraz biegać.

3) że meta będzie na 3 mile angielskie. Ten warunek postawiłem dlatego, że więcej musiałem liczyć na wytrwałość, niż na szybkość mego konia, który nie był wytrenowany.

Posiadałem wtedy konia kasztana, którego Władysław Kościelski (Sefer Pasza) odstąpił mi. Jeśli nie był czystej krwi anglik, to mało co mu do tego brakowało, pochodził ze stajni lorda Raglan i był dużo wyższy od koni arabskich; kształty miał do nich podobne: piękną głowę, kark załamany i dobrą odsadę ogona, co się rzadko u koni angielskich znajduje. Był on zwyczajnie dość łagodnego charakteru, ale czasami, szczególnie gdy był sam, stawiał raptownie bez pozornej przyczyny uporczywy i niebezpieczny opór swemu jeźdźcowi; zazwyczaj zaczynał tem, że się wpatrywał w coś dalekiego i uszy nastawiał, jak gdyby był tem czemś zdziwiony, a po krótszej lub dłuższej chwili odrazu się na miejscu zatrzymywał. Mimo wszelkich usiłowań trudno było, prawie niemożliwie, do dalszego kroku go zdecydować. Najlepiej wtedy było spokojnie na miejscu poczekać, dopóki znowu sam się zdecydował ruszyć. Nigdy nie odkryłem przyczyny tego narowu, zdawało mi się tylko, że musiała leżeć w jego oczach.

Wyjeżdżając z Paryża, wziąłem z sobą grooma Anglika, aby się ćwiczyć w angielskim języku i zarazem, aby mi usługiwał, gotował jeść i stajni doglądał. Poleciałem więc jemu, aby codzień z rana (gdyż ja na to czasu nie miałem) na koniu tym galopował przez pewną przestrzeń, powiększając ją tak, aby po dwóch tygodniach doszedł do trzech

mil angielskich. Ten wyścig wzbudził wielką ciekawość, nie tylko między wojskowymi, ale także i wśród mieszkańców, gdyż walka między końmi wschodnimi i angielskimi prawie za walkę narodową się uważała. A w tem najdziwniejsze to było, że oficerowie angielscy na arabskich koniach Turcyę przedstawiali, a ja, będąc ich przeciwnikiem, broniłem sławy koni angielskich. W dzień naznaczony zebrała się na placu wyścigowym znaczna ilość wojskowych i dużo osób różnych klas i narodowości. Chorągiewki zatknięte owalnie wyznaczały drogę, którąśmy przebyć mieli. Ponieważ to były improwizowane wyścigi dla zabawki, nie było więc mowy ani o wyrównaniu wagi, ani o innych prawidłach, jakie się na prawdziwych kursach zachowuje. Nie pamiętam już ściśle, ile było koni arabskich, ale zdaje mi się, że od 5-ciu do 10-ciu, które odrazu cwałem poszły i mnie dość daleko za sobą zostawiły, lecz ja się tem bynajmniej nie niepokoiłem, gdyż wiedziałem, że mamy aż trzy mile angielskie do przebiegnięcia.

W samej rzeczy, już na pół mety, mój koń znacznie się do tamtych zbliżył, a w $\frac{3}{4}$ zrównał się i z wielką łatwością wyprzedził, co wzbudziło w mieszkańcach niezadowolenie, a w oficerach angielskich zdziwienie, bo przeceniali zdolność koni wschodnich.

Pewnie, że gdybym miał na jednym i tym samym koniu odbywać kampanię, w której jest wystawiony koń na różne niewygody, tobym dał pierwszeństwo koniom arabskim, ale gdy można koniowi angielskiemu udzielać wszystkich wygod i dawać mu dobrą i dostateczną żywność, to on

zawsze przewyższy wytrwałością i szybkością konie orientalne.

Nareszcie i na mnie przyszła kolej uledeż klimatycznym wpływom, które wśród nas dysenterję wywoływały. Przyczyniała się do tego także kuchnia mego Anglika, który tak Nielitościwie wszystko pieprzył, że z czasem już sam taki pokarm mógł zapalenie żołądka wywołać. Choroba ta schwyciła mnie raptownie i tak codziennie więcej osłabiała, że po dwóch tygodniach na nogach utrzymać się nie mogłem. Lekarz oświadczył jen. Zamoyskiemu, że żadnej nadziei wyratowania mnie już niema i prosił tylko, aby zarząd szpitalny przeznaczył do pilnowania i służenia mi kobietę ze szpitala i zalecił, by mnie zostawiono w zupełnym spokoju, żadnemi służbowemi pracami nie trując.

Przydano mi tedy starą kobietę z krzyżem polskim, która jeszcze w 1831 r. była przy szpitalach i w tym samym celu przybyła do Konstantynopola podczas wojny Krymskiej. Odwiedził mnie także jen. Zamoyski; dał mi on jak najdelikatniej do zrozumienia, iż lekarz wyratowania mnie nie ma nadziei. Staruszka, moja *garde-malade*, siedząca w pobliżu mego tapczana pokrytego gutaperkowym materacem napełnionym powietrzem (co mi za łóżko służyło), usłyszała wszystko, co mi generał powiedział, a gdy wyszedł, tak się odezwała do mnie: „Słyszał pan pułkownik, że doktor mówi, iż już niema nadziei? to głupstwo, w które nie trzeba wierzyć, proszę mi pozwolić, a ja spróbuję pana pułkownika moim sposobem wyleczyć“. — „A cóż pani zrobisz?“ zapytałem. — „Poszukam ziele, które znam, zgotuję w czerwonym winie, i z tego będę kataplazmy przykładac“. Chę-

tnie się na to zgodziłem, ponieważ wiedziałem, iż takie lekarstwo w żadnym razie zaszkodzić mi nie może, a to samo staje się już wielką zaletą dla każdego lekarstwa.

Staruszka, nie namysławiając się długo, wyszła szukać swego ziela, zgotowała je i zaczęła robić ciepłe okłady. Rzeczywiście te kompresy zdawały się uśmierzać rewolucye, jakie się w moim żołądku odbywały. Ale niestety! mój nowy lekarz nie zdołał skutków swojej kuracyi otrzymać, gdyż wypowiedziałem mu wszelkie posłuszeństwo i mimo jego protestacyi kazałem się ubrać i na nogi stanąłem, przyczyną zaś tego były następujące wypadki. Od czasu zawarcia pokoju i prawdopodobnego rozwiązania legionu, rozpoczęły się, szczególnie między podoficerami (wskutek wielkiego nieukontentowania, które między nimi panowało) różne schadzki i narady. W czasie mojej choroby nabrało to charakteru pewnej konspiracyi przeciw władzom i zamiarom ich, stosującym się do przyszłości legionistów.

Właśnie na drugi dzień po rozpoczęciu owej kataplazmowej kuracyi, na ulicy, przy której mieszkałem, jakiś niezwyczajny ruch i szcęk pałaszy dał się słyszeć. Ponieważ (z powodu mojej choroby) z żadnemi raportami do mnie nie chodzili, posłałem po kapitana służbowego mojego pułku i zażądałem, aby mi ten niezwykle ruch wytłómaczył. Dowiedziałem się, że te schadzki, po większej części podoficerów obydwóch pułków, odbywają się u pułkownika Kamińskiego, gdzie i w tej chwili są zebrani. Oprócz tego doszło do mojej wiadomości, że podobno jakaś jawna manifestacya przeciwko dowódcy legionu ma się tej nocy odbyć. Ponieważ żyłem jeszcze, pierw-

szym przeto obowiązkiem moim było wszelkich sposobów użyć, by temu przeszkodzić i nie dopuścić, aby polscy żołnierze w oczach tylu cudzoziemców taką się hańbą okryli i nowy dali dowód, że Polacy cudzoziemców tylko słuchają, swoim zaś rodakom dołki kopać umieją.

Ubrawszy się powoli z pomocą mego służącego i pocziwej staruszki, która mnie pilnowała, kazałem dwom żołnierzom, którzy mnie z każdej strony pod ramię podtrzymywali, zaprowadzić się do mieszkania pułkownika Kamińskiego. Musiał mnie ktoś z okna spostrzedz, gdym się przybliżał do domu Kamińskiego, bo widziałem umykających z niego na wszystkie strony i przybywszy nareszcie z niemałym wytężeniem i trudnością, zastałem już tylko jego samego mocno zmieszanego.

Ponieważ owa przechadzka tak mnie zmęczyła, że aż zadyszki dostałem, potrzebowałem przeto usiadłszy odetchnąć chwilkę, zanim mówić zacząłem. Żołnierzy, którzy mnie przyprowadzili, odesłałem. Kamiński pierwszy do mnie w tych słowach przemówił: „Nie powinienes tak zdrowia swojego narażać, gdyż ojczyzna potrzebować Cię jeszcze może“. Na to odpowiedziałem: „Wiem, co się dzieje, i gdybym nie potrafił temu zapobiedz, niewart byłbym ojczyźnie służyć. Wiesz, w jakim stanie zdrowia obecnie się znajduję, wiesz więc i to, że tu nie przyszedł żartować. Tylko chciałem Cię uprzedzić, że gdyby to było rzeczywiście prawdą, co mówią: iż dziś w nocy część nieukontentowanych pod twojem przewodnictwem ma na koni siąść — ja, na czele tych, którzy będą porządek i karność utrzymywać, równocześnie na koni siądę i pierwszy strzał mego rewolweru

do Ciebie pułkowniku wymierzonym będzie. Nabij więc i swój, byś się mógł bronić“!

Ten niespodziewany obrót rzeczy i to jasne wyjawienie położenia, przyczyniły się może do tego, iż Kamiński zrozumiał, że w bardzo niewłaściwym położeniu się postawił i nie wiedział nawet, jak zeń wyjść. Po krótkiej rozmowie, zaproponowałem mu, ażeby natychmiast wyjechał do Konstantynopola, biorąc na siebie obowiązek przywrócenia wszystkiego do porządku i karności. Zdecydował się na to Kamiński i w kilka godzin po mojej bytności u niego, wyjechał z Bujuk-Czekmedze do Konstantynopola. Był to najszlachetniejszy i najpoczcziwszy człowiek, ale miał słaby charakter i głowę przewróconą trochę Towiańszczyzną, do której należał.

Gdy przybył do Konstantynopola, został zaraz malkontentami otoczony. Ci, podburzyli go na mnie i wmówili w niego, że to wszystko był *guet-apens* z mojej strony. Ktoś nawet z chwilowych przyjaciół Kamińskiego a mnie nie życzliwy napisał broszurkę, w której to samo dawał do poznania. Wróciwszy od Kamińskiego, zwołałem do siebie kapitanów służbowych z obydwóch pułków i nakazałem im, żeby zaraz po zatrąbieniu odwrotu, rozesłali liczne patrole po mieście, aresztując wszystkich podoficerów i żołnierzy, którzyby się w swoich kwaterach nie znajdowali i nie mogli się wytłómaczyć potrzebą służbową. Zaraz się rozniosła wiadomość o tym rozkazie i tak umysły uspokoiła, że prawie nikogo patrole nie zaaresztowały.

Nazajutrz rano kazałem obydwom pułkom jazdy wystąpić piechotą i czworobok uformować. Przemówiłem do nich krótko ale energicznie, na-

pominając ich do najściślejszej karności i ostrzegając o skutkach, któreby dla nich wyniknąć mogły, gdyby w ostatniej nawet chwili przed rozwiązaniem legionu, pozwolili sobie w czemkolwiek przekroczyć dyscyplinę wojskową. Po tej przemowie, pułki stanęły na jednej linii w dwóch szeregach, i zająłem się przelustrowaniem rzeczy, które żołnierze z sobą przynieśli. Byłem więcej wymagający i ostrzejszy, niż kiedykolwiek, karając za najmniejsze przekroczenie przepisów.

Ta lustracja skończyła się defiladą szwadronów przedemną. Gdy wróciły na swoje kwatery, wydałem zaraz na piśmie przygotowany już rozkaz, aby wszystkie szwadrony pojedynczo po wsiach okolicznych rozkwaterować, i jeszcze tego samego dnia kazałem im wyruszyć do miejsc dla nich przeznaczonych.

Nazajutrz po rozkwaterowaniu szwadronów, przybył do Bujuk-Czekmedze jen. angielski Storks, komendant wojsk nad Bosforem, z jen. Zamoy-skim, ażeby się przekonać, co zaszło w brygadzie kawaleryi, gdyż w Konstantynopolu rozniosły się już były pogłoski o wybuchu jakiegoś buntu wśród jazdy. Oczywiście jen. Zamoyskiemu zdałem w krótkości raport o wszystkim, co zaszło, ale jen. Storksa zapewniłem, że są to zupełnie błędne pogłoski, o których ja nic nie wiem, i że z powodu choroby, która się pomiędzy końmi pokazała, zmuszony byłem rozkwaterować szwadrony po wsiach (co stało się dopiero dniem pierwszej).

Na to z niedowierzającą twarzą jen. Storks zapytał mnie, w jakim czasie będę mógł zaprezentować mu obydwie pułki zebrane? Prosiłem o kilka godzin, ażeby módz wszystkie szwadrony za-

wiadomić i z różnych zakwaterowań do centrum sprowadzić. Wówczas dopiero uwierzył, gdy obydwa pułki w należyтым porządku przed oczyma jego zaprezentowały się; kazał kilka ruchów zrobić i przed sobą szwadronom defilować. Wyjechał niemal zupełnie przekonany, iż pogłoski o wybuchłych nieporządkach fałszywemi były.

W końcu lipca 1856 r. legia anglo-polska została rozwiązana. Rząd angielski udzielił wszystkim, według stopnia, pewną gratyfikację jednorazową. Po rozwiązaniu legii, musiałem jeszcze parę tygodni w Stambule pozostać, gdyż skutki mojej choroby dawały mi się jeszcze we znaki. Miałem uczucie, jak gdyby kula ołowiana ciążyła mi w żołądku, któraby mi brzuch przerwała, gdybym mocno nogą tupnął. Nie mogłem prawie żadnego pokarmu strawić, szczególnie tłuszców; kazano mi więc żywić się wyłącznie przepiórkami w wodzie zgotowanemi i tylko osolonemi, bez wszelkiej okraszy. Jednakże w dość krótkim czasie, wielka dyeta i odpoczynek powróciły mi zdrowie.

Ponieważ było dużo młodzieży, tak w stopniach oficerskich jak i pomiędzy podoficerami i żołnierzami, któraby chętnie pozostała na Wschodzie, byleby ją do służby wojskowej przyjęto bez zobowiązania do zmiany religii, przeto zrobiłem plan pojechania do Egiptu i udania się do Saïd Paszy, który wówczas był tam wice-królem i dość faworyzował cudzoziemców. Wybrałem się z Wiktozem Unrugiem z Księstwa Poznańskiego, porucznikiem w 5-ym pułku ułanów, którego już dawniej w Księstwie poznałem jako dzielnego pod wszelkimi względami młodzieńca.

Od dowódcy wojsk egipskich otrzymałem dla siebie i Unruga pozwolenie przeprawienia się do Alexandryi na jednym ze statków, na których wracało wojsko egipskie.

Pasza, znajdujący się na tym statku, przyjął nas bardzo gościnnie i zaprosił raz na zawsze do swojego stołu. Dano nam osobną kajutę i wszelkie względy okazywano, podróż więc tę do Alexandryi odbyliśmy dość wygodnie. Podziękowawszy za gościnność, udaliśmy się do głównego hotelu, utrzymywanego wówczas przez Francuzów, gdzie znaleźliśmy wygodę i stół wcale niezły.

W Alexandryi zapoznałem się z konsulem angielskim. Przez jego pośrednictwo telegrafowałem do wice-króla w Kairze, prosząc go o naznaczenie mi dnia, w którym mógłbym mieć u niego audyencyę. W wigilię naznaczonego dnia wyjechałem do Kairu.

Tym samym pociągiem jechało dużo rodzin angielskich, tak oficerów jak i urzędników, którzy udawali się do Indyj. Na jednej z większych stacyj kolei między Alexandryą i Kairem odczepiono wszystkie nasze bagaże od pociągu, a natomiast przydano wagony z końmi przeznaczonemi dla wice-króla. Oczywiście z tego wypadło, że gdyśmy do Kairu przybyli, wszystkie rodziny angielskie (które nazajutrz miały odpłynąć statkiem) pozbawione były swoich rzeczy — ztąd powstał wielki płacz i lament kobiet, które nie wiedziały, co począć. Widząc to, przyszło mi na myśl nastraszyć szefa stacyi i tem go doprowadzić, aby w nocy jeszcze wysłał umyślny pociąg dla sprowadzenia bagażu, pozostałego w drodze. Poszedłem więc do niego, pokazałem mu telegram, który mnie uwiadamtiał, iż nazajutrz rano czeka mnie nieod-

miennie przyjęcie u wice-króla i w tych słowach przemówilem: „Ponieważ mundur mój galowy pozostał w drodze z innemi bagażami, zmuszony będę uwiadomić wice-króla o nieporządku, jaki zaszedł na kolei i zarazem powiedzieć mu, w jakim niefortunnym położeniu znalazły się z tego powodu rodziny angielskie“. Szef stacyi przestraszony, gdyż bardzo się bano Saïd-Paszy, natychmiast, tejże samej nocy jeszcze, sprowadził wszystkie bagaże, bylebym tylko żadnej skargi nie zanosił. Rzeczywiście bagaże przyszły w nocy, za co otrzymałem najgorętsze podziękowanie od osób interesowanych.

Saïd-Pasza, jak bardzo wielu Egipcyanów, był o jednym oku; jakkolwiek przyjął mnie bardzo grzecznie, domyśliłem się jednak zaraz z jego rozmowy, że nie trafiłem na korzystną chwilę, by mój zamiar doprowadzić do skutku. Przekonałem się o tem jeszcze więcej, mówiąc z niektórymi wysoko stojącemi osobami w Kairze. Gdy wice-królowi mówiłem o waleczności jego wojska, które wróciło z wojny Krymskiej, zauważyłem, że on do tegoż wojska żadnej wartości nie przywiązywał, traktując je tylko jako *chaire à canon*, całą zaś swoją dumę i nadzieję pokładał w gwardyi, którą zachęcił mnie do przelustrowania. Gwardya ta składała się z samych młodych chłopców z przepychem umundurowanych, każdy miał zegarek. Najpiękniejszy był szwadron jazdy na wyborowych czarnych koniach, ludzie okryci siatką żelazną.

Chociaż w nadziei mojej umieszczenia pewnej części młodzieży legionu polskiego w służbie Khedywa doznałem zawodu, jednakże tak byłem

zachwycony Egiptem, cudownym jego klimatem i nawet ludnością, że nie tylko byłem bardzo zadowolony z mojej podróży, ale wyjeżdżając szczerze pragnąłem jeszcze raz w życiu powrócić do tego kraju.

Charakter tego narodu bardzo się różni od charakteru Turków: ci są spokojni, małomówni, cierpliwi i apatyczni — tamci żywi, ruchliwi i dość krzykliwi. Kobiety odznaczają się piękną i radosowością. Co z kobiet francuzkich zrobiła wielką cywilizacja i sztuka, do tego doszły Egipcjanki prawie własnym instynktem. Niektóre są płci oliwkowej, inne alabastrowej białości, ale w ogóle odznaczają się wszystkie wielkimi pięknymi oczami, jakoteż obfitemi włosami i zręcznością ruchów. Droga żelazna z Alexandryi do Kairu równała się, pod względem komfortu i porządku, kolejom europejskim; wówczas wszyscy urzędnicy tej kolei byli Anglicy.

Nader dziwne wrażenie robiła z jednej strony jazda tą cywilizowaną drogą, z drugiej widok na prawo i na lewo niej największej dziczy. Był to kontrast, który miał swój urok: ci ludzie na pół nadzy wylazający z domów podziemnych.

Z Kairu robiłem różne wycieczki w okolicy, a naturalnie i do Piramid. Tam Arabowie, gdzieś w piaskach pochowani, jak grzyby z ziemi wyrastają na zbliżenie się turysty i okrążając go, w łamanym języku włoskim, francuskim, angielskim, ofiarowują się na przewodników. Nakupiłem rozmaitych drobiazgów starożytnych, które ludzie ci sprzedawali jako z ziemi wydobyte. Lecz wielkie było moje rozczarowanie, gdy się od konsula angielskiego dowiedziałem, że w Kairze jest fabryka takich starożytności.

Nie mogę pominąć śmiesznej sceny, której byłem świadkiem w Kairze. Podczas mego tamże pobytu, rodziny angielskich oficerów i urzędników wracały z Indyj do Anglii. Upředzono mnie, że warto jest widzieć ich debarkowanie. W samej rzeczy było to tragiczno-komiczne: masa ludzi z osiołkami zebrała się na ich przyjęcie i gdy tylko kto nogę na ląd postawił, zaraz porywano go, na osiołka sadzano i do hotelu (niepytając jakiego odwożono). Hotel zaś każdemu z nich, za każdą osobę w ten sposób dostawioną, płacił. Anglicy widocznie już upředzeni byli o tem, gdyż bronili się jak mogli, ale mimo tego, że mężczyźni lasek swoich nie szczędzili, członków jednej i tej samej rodziny do różnych hotelów zawożono i dopiero nazajutrz mogli jedni drugich poodnajdywać. W Alexandryi, z okna hotelu mojego widziałem pogrzeb. Osoby idące za trumną, przeraźliwie krzycząc i płacząc, wyrzywały sobie włosy z głowy i suknie na sobie darły. Przerażony tym widokiem, zapytałem służącego hotelowego, „czy to rodzina zmarłego tak rozpacza“! Ale on mi na to z uśmiechem odpowiedział „To pogrzeb bogatego mieszkańca miasta, a te rozpaczające osoby są najęte i dobrze płatne“. Co kraj to obyczaj, jednak ten jest dziwny: płakać za innych!

Z Kairu wróciłem do Marsylii, a ztamtąd wyjechałem do Paryża, gdzie przybyłem w jesieni r. 1856. Pod datą, w której słowa te piszę, jestem ostatni żyjący, który w legionach polskich pułkiem i brygadą dowodził.

W Paryżu zastałem moich dawnych znajomych i przyjaciół, do których należeli głównie:

książę Witold Czartoryski, hr. Jan Aleksander Fredro (syn) i Henryk Rodakowski.

Kolonia polska była dość liczna, bawiono się wesoło, jak za dobrych czasów, gdyż rzeczywiście materyalnie przynajmniej nie źle się działo tym, którzy na zimę do Paryża przyjechali. Zostałem przedstawiony w domu księcia Eustachego Czetwertyńskiego, żona jego była Jaroszyńska z domu. Mieli dwóch synów: Janusza i Augusta, i trzy córki: Olgę, Annę i Michalinę. Najstarsza Olga była przystojna, żywa, doskonale konno jeździła i równie dobrze tańczyła, przymioty, które mnie przy jej odważnym i stanowczym charakterze bardzo do niej pociągały. Spotykaliśmy się wszędzie: na kuligach polskich i na konnych spacerach. Chociaż między nami nic umówionego nie było, bylibyśmy się jednak oboje zdziwili, gdyby które z nas z kim innym I-go mazura było tańczyło. To porozumienie milczące coraz większem się stawało, tak, że już moi przyjaciele zaczęli mnie prześladować księżniczką Olgą. W tym samym czasie Aleksander Fredro kochał się w paninie Celinie Karwickiej, a jako dobrzy przyjaciele zwierzaliśmy się sobie wzajemnie z naszych złych i dobrych wrażeń.

Prawie po każdym balu, na którym spotykaliśmy te panny, Fredro przychodził do mnie na-
zajutrz i rysował steeple-chase, który nas oby-
dwóch przedstawiał, jak przeszkody bierzemy i do
mety dochodzimy. W tych rysunkach wszystkie
prawie panny z towarzystwa polskiego były w kary-
katurach, oprócz naturalnie panien Olgi i Celinie,
które najkorzystniej zostały przedstawione. Prócz
tych dwóch panien, było jeszcze kilka Polek, które
odznaczały się w tym czasie pięknnością i zaleta-

mi. Wspomnę tu tylko o księżniczce Helenie Sanguszkównie, o paniach Adamowej i Alfredowej Potockich, które pięknnością i dystynkcyą w każdym salonie na siebie uwagę zwracały.

Księżę Adam Czartoryski i księżna Adamowa byli dla mnie coraz łaskawszy, a przyjaźń moja z ich synami, szczególnie z ks. Witoldem, coraz więcej wzrastała — często też bywałem w Hotelu Lambert. Żona Witolda, księżna Marya, z domu Grocholska, miła, wesoła i ładna osoba, bardzo się w swoich gustach zgadzała z księżniczką Olgą Czetwertyńską. W skutek tego prędko się zaprzyjaźniły i razem wszystkie ekskursye piesze i konne odbywały. Starłem się oczywiście pozyskać względy księżnej Maryi, by być przez nią lub jej męża uprzedzonym o wspólnych projektach. Żona księcia Władysława, księżna Amparo, była córką ex-królowej hiszpańskiej Krystyny. Nie można o niej powiedzieć, że była pięknnością, ale swoją wrodzoną dystynkcyą i elegancyą stawiała się zachwycającą. Ponieważ była wielkiej nieśmiałości, dużo osób mniemało, że jest dumną i nie przystępną — co zupełnie mylnie mniemano, gdyż przeciwnie, była nadzwyczaj uprzejmą i dobrą: często to bywa, że osoby nieśmiałe uchodzą za dumne. Korzystając z dobrych stosunków, w jakich byłem z temi paniami i ich mężami, wiedziałem prawie zawsze, kiedy księżniczka Olga miała być w Hotelu Lambert lub też kiedy jaka wycieczka konna przez te panie uprojektowaną została.

Tak mijał miesiąc za miesiącem. Ale chociaż coraz wyraźniej okazywałem, że staram się o łaski księżniczki i choć pochlebiałem sobie, iż nie uchodzę za natrętnego, gdyż ks. Olga nie tylko nie okazywała mi nigdy żadnej niechęci, ale nawet bar-

dzo łaskawie przyjmowała moje attencye, jednakże tak zręcznie zawsze umiała unikać wszelkich wyraźniejszych dyskursów, że do żadnego rezultatu dojść nie mogłem. Ta niepewność zaczęła mnie, jak każdego zresztą zakochanego, męczyć i tak coraz więcej dręczyła, że postanowiłem na wiosnę 1857 r. obcesowo kwestyę tę zaatakować i nie ustąpić, dopóki się czegoś stanowczego nie dowiem. Wówczas dopiero dowiedziałem się, że ks. Olga była po słowie ze swoim stryjem, ks. Augustem Czetwertyńskim. młodszym bratem ojca. Była to miłość z dziecinnych lat, której się rodzice jej (tak z powodu bliskiego pokrewieństwa, jakoteż i wielkiej różnicy wieku) bardzo sprzeciwiali. W takich warunkach dłuższe staranie się byłoby było prawdziwem natręctwem, tem więcej, że znając stanowczość charakteru panny Olgi, wiedziałem, że raz danego słowa już nie cofnie.

Zacząłem się więc powoli usuwać, jakkolwiek dobre moje stosunki z domem księstwa Eustachostwa w niczem nie zostały zmienione. Od początku mojej znajomości z tą rodziną, czułem wielką sympatyę dla ks. Eustachego. Był on jednym z tych ostatnich ludzi, który zachowywał powierchowność dawnych panów polskich. Przyciągał serca ludzkie uprzejmością swoją, prawością i szlachetnością charakteru. Księżna Julia z domu Jaroszyńska była prawdziwie rzadką kobietą, lecz od męża trudniejszą do poznania i do ocenienia. Na pozór nawet skąpa, obojętna, zamknięta w sobie, była rzeczywiście jedną z tych kobiet, które nie dla siebie, ale dla drugih tylko żyją. Jeśli była oszczędna, prawie do skąpstwa, to dla tego tylko, ażeby innym potrzebującym więcej módz udzielić. Była także na pozór obojętna, gdyż nie lubiła

uczuć swoich okazywać, a zamknięta w sobie. bo nie chciała chwalić się tem, co dla innych robiła, jednym słowem, była to osoba, która pobożność w prawdziwym znaczeniu pojmowała, bo religię praktykowała we wszystkich czynach swego codziennego życia. Dopiero po jej śmierci dowiedzieliśmy się, ile ona dobrego robiła, gdyż za życia nie pozwalała, aby o tem mówiono. Była to matrona cnotliwa i rozumna. Osoba prawdziwie cnotliwa, może nie być uczoną, ale musi być koniecznie rozumną. W samej rzeczy, księżniczka Olga wyszła za swego stryja ks. Augusta w 1857 r. i wyjechała na Wołyn do jego majątku Majkowa. w powiecie ostrogskim położonego, gdzie zamieszkali.

I tak czasowo, przerwało się moje staranie o waszą matkę i wtenczas nikt przewidzieć nie mógł, co przyszłość nam gotowała.

Ponieważ potrzebowałem widzieć się z jenerałem Storksem w Londynie, skorzystałem z tej okoliczności i wyjechałem tam na kilka tygodni.

Zaproszony potem przez ks. Witostwo Czar-toryskich na część lata do nich na wieś, pojechałem do Changy, dokąd równocześnie przybył i Stefan Zamoyski, który swe nauki skończył był w Anglii. Dla tego sympatycznego młodego człowieka tem żywszą uczułem przyjaźń, że miał ułożenie spokojne dobrze wychowanego Anglika i doskonale konno jeździł.

W Changy znajdowały się podówczas dwa konie wierzchowe, z których jedna była to bardzo dobra klacz angielska (hunter) pół krwi, a drugi koń, sprowadzony ze stada pietniczańskieg Grocholskich. Ponieważ obydwaj woleliśmy jeździć

na klaczy, gdyż była silniejszą i pewniej brała przeszkody, przeto ułożyliśmy się między sobą, iż jednego dnia jeden, a drugiego dnia drugi będzie na niej jeździł, miejsce spacerów i przeszkody do skakania wybierał — ten zaś, który na koniu z Pietniczan jechał, obowiązany był zastosować się do tego, co mu wskazaniem zostanie przez przewodniczącego. Tym sposobem możemy się lepiej bawili, niż gdybyśmy byli mieli obydwaj równie dobre konie; muszę jednak przyznać dla honoru stada pietniczańskiego, że się ten koń, z wielką chwałą dla siebie, z trudnych czasami zadań wywiązywał, do czego mu obydwaj jeźdźcy równie zręcznie dopomagali.

Czas nam w Changy bardzo mile schodził, do czego nie mało się przyczyniały staropolska gościnność obojga gospodarstwa i wesołości ks. Maryi.

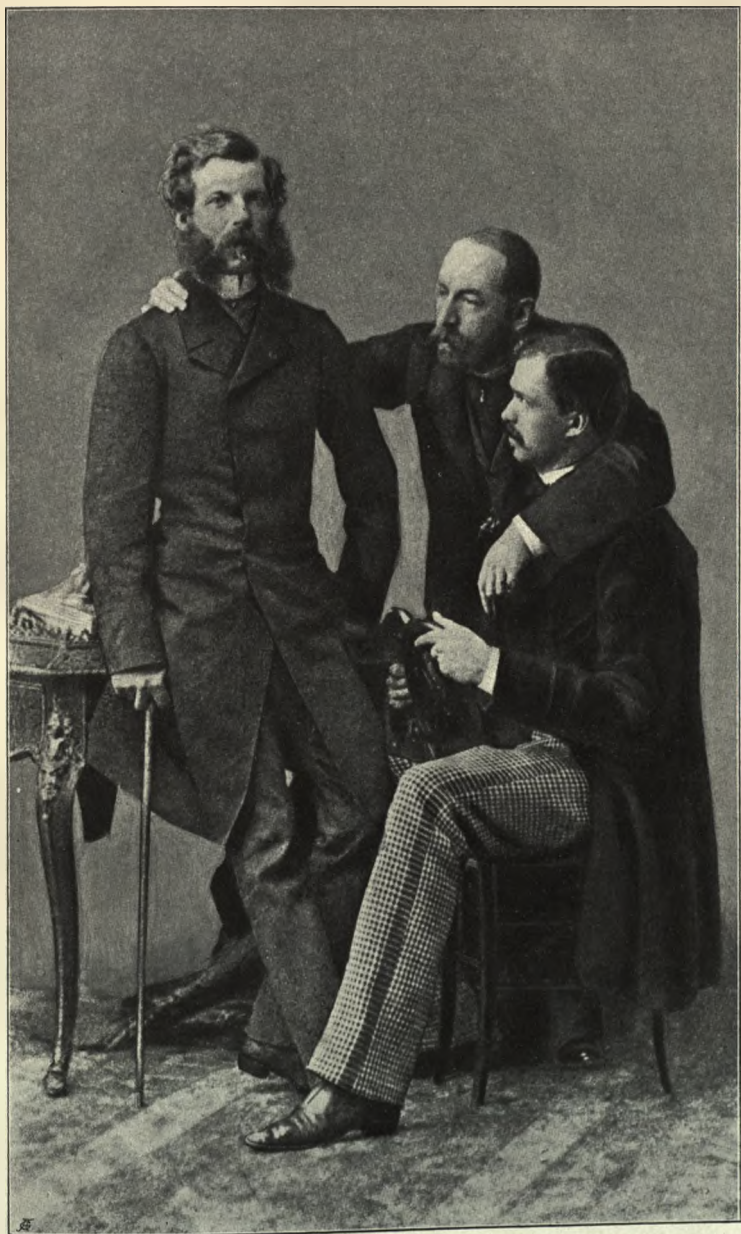
Odwiedzaliśmy sąsiedztwo, robiliśmy rozmaite wycieczki w okolicę, czasem nawet po obiedzie, gdy noc była jasna, siodłano konie i jechaliśmy z ks. Maryą na probostwo sąsiednie. Tam wywoływaliśmy proboszcza, który otwierał okno i w szlafmocy się pokazywał, mówiliśmy mu dobranoc i ze śmiechem znowu galopem wracaliśmy do domu.

Pewnie wtenczas nie byłbym przypuszczał, że tę wesołą, tak lubiącą się bawić księżnę Maryę będę kiedyś odwiedzał w klasztorze Karmelitanek w Krakowie.

Zamoyski wyjechał. W jesieni, książę Adam, ojciec gospodarza domu, zapowiedział swój przyjazd. Nie chciano więc puścić mnie z Changy, przypuszczając, że moje towarzystwo przyjemnem jemu być może. Na pozostanie w Changy nie

trzeba było długo mnie namawiać, gdyż prócz wdzięczności. miałem jeszcze i dużo uwielbienia dla księcia Adama i wiedziałem, iż pod wszelkimi względami korzystnem dla mnie będzie towarzystwo tak rozumnego i zacnego człowieka. Zająłem się tedy ułożeniem konia pietniczańskiego dla księcia, gdyż miał on ruchy mniej silne i lepiej się do spacerów konnych dla takiego poważnego starca nadawał. Wielkie było moje zdziwienie, gdy na pierwszym spacerze księżę Adam prawie ciągle galopem po polach uganiał, tak, że nieomal ja się zmęczyłem. Moje zdziwienie i zarazem uwielbienie dla tego czcigodnego starca bardziej jeszcze się wzmogło, gdy nazajutrz przyznał mi się (kiedy znowu go na konny spacer namawiałem), że na wczorajszej przejażdżce zanadto się zmęczył. W odpowiedzi na moje zapytanie: „Dlaczego tak uganiał“? rzekł: „Dlatego, że myślałem, iż to cię znudzi pomału jechać“. Jest to śliczny przykład delikatności i względów dla drugich, które ten poważny starzec okazał dla tak młodego człowieka, jakim ja wówczas byłem. Niechby sobie terażniejsza młodzież tak nie lubiąca dla starszych się krępować, z tego przykład wzięła.

W jesieni odbywały się w okolicach Changy polowania par force na dziki, w których brali udział niektórzy obywatele i oficerowie stojącego w tej okolicy pułku huzarów francuzkich. Na jednym z tych polowań, do którego także należałem, ponieważ księżę Witold Czartoryski swoją doskonałą angielską klacz mnie na to ofiarował, zaczęliśmy dzika forsować około 10-ej godz. zrana. Sforsowaliśmy go dopiero o 4-ej popołudniu, ale przy hallali nie było już więcej jak tylko trzech jeźdźców z kilkunastu, którzy to polowanie roz-



WŁADYSŁAW Hr. PONIŃSKI, JAN Hr. TARNOWSKI Z DZIKOWA
i HENRYK RODAKOWSKI
w Paryżu w zimie r. 1859.

poczęli. Byli to: Huntsman, piker i ja, reszta koni i jeźdźców na drodze ustała. Znalazłem się w okolicy zupełnie dla mnie nieznaomej, a gdy dopytałem się drogi do Changy, dowiedziałem się, że jestem oddalony od tej wsi o 40 kilometrów. Dawszy więc cokolwiek odpocząć mojej zmęczonej klaczy, puściłem się dalej w drogę, jadąc po kilka kilometrów małym kłusikiem i znowu na przemian idąc piechotą. Ponieważ koń nie był moim, tembardziej zatem bałem się, by mu to wielkie zmęczenie nie zaszkodziło. Wróciwszy do Changy, zobaczyłem z przyjemnością, że klacz nie okazywała żadnych oznak nadzwyczajnego zmęczenia i nazajutrz była tak wesołą, jakby o przeprawie poprzedniego dnia już była zapomniiała.

W późnej jesieni wróciłem, jak też i gospodarze Changy do Paryża, gdzie zimę spędziłem mniej więcej tak, jak poprzedniego roku, z tą jednak różnicą, że ks. Olgi już nie było, a więc mniej interesowały mnie bale i zebrania. Zwyczajnie przesiadywałem u siebie na Cite d'Antin, mniej więcej do 4-ej po południu, czytając dzieła wojskowe i ćwicząc się w języku angielskim, którego lekcye dawała mi stara Angielka.

Ojczym mój i macocha życzyli sobie, bym wziął amnestyę i wrócił do Galicyi i bardzo o to nalegali. Ale ja instynktowo przeczuwając, że inna przyszłość jest mi przeznaczoną i będąc tego zdania, że jak się *a* i *b* wypowie, to trzeba także mieć odwagę *c*, *d* i tam dalej wypowiedzieć, ociągałem się bardzo z wyjazdem. Mimo to jednak rodzice moi porobili kroki w Wiedniu i na wiosnę 1859 r. otrzymali dla mnie od rządu austriackiego żadaną amnestyę.

Szczęściem, że pierwiej jej nie uzyskali, gdyż byłbym może ją przyjął, by ich zadowolić, ale ponieważ wiosna 1859 r. rokowała nową walkę o narodowość włoską, nie zgłosiłem się przeto do ambasady austriackiej. Przez nią zostałem uwiadomiony, że moja amnestya przyszła, ale że, żeby ją dostać, muszę się zgłosić do ambasady i tam podpisać warunki, pod któremi będzie mi amnestya wydana.

Wkrótce potem rzeczy się wyjaśniły i wojna włosko-austriacka, w której także i Francya udział brała, zdeklarowała się. Moja tedy przyszłość była przedemną jasno wytkniętą, to było moje *c, d, e*, i ani chwili się nie zawahałem amnestyi nie przyjąć, a do Włoch się udać, aby się bić za niepodległość włoskiej narodowości.

Księżę Adam Czartoryski pochwalił także to moje postanowienie i obiecał dać mi listy do Cavoura, Lamarmory i innych wpływowych osób włoskich i francuzkich — a generał Bystrzanowski dał mi list do swego przyjaciela jen. Montebello, adjutanta cesarza Napoleona III.

V.

Służba wojskowa we Włoszech od r. 1859 do r. 1881.

Opatrzony listami, o których w poprzednim rozdziale wspomniałem, wkrótce po wyjściu armii francuskiej udałem się do Włoch wprost do Turynu. Tam się dowiedziałem, że król Wiktor Emmanuel wraz z głównymi figurami rządowymi znajduje się w twierdzy Aleksandryi razem z cesarzem Napoleonem.

Nie tracąc czasu wyjechałem nie zwlekając do Aleksandryi. Nie mogę tu ominąć ważnego z tej podróży zdarzenia: na jednej stacyi kolejowej, jadąc w jednym wagonie z oficerami włoskimi i francuskimi, usłyszeliśmy wielkie wykrzykniki od sprzedających gazety — ogłaszali oni exkomunikę papieską na króla i całą włoską armię.

Nie taję, że w pierwszej chwili nader przykre wrażenie to na mnie zrobiło; oczywiście rzuciliśmy się wszyscy na sprzedających, aby kupić tekst tej exkomuniki. Czytał ją zaraz na głos w wagonie jeden z oficerów włoskich, a ja śledziłem twarze wszystkich, aby odgadnąć wrażenie, jakie na ogóle wywrze akt tak ważny i srogi. I byłem nie tylko zdziwiony, ale niemal zgorszony, widząc, że taki akt srogości papieskiej był ogólnie z uśmie-

chem przyjęty. Rozważywszy jednak lepiej, zrozumiałem, że taka srogość władzy duchownej innego skutku nie mogła wywrzeć. Bo jakżeż można ekskomunikować armię, która swojej ojczyzny broni? tembardziej, że żołnierz ten nie z własnej chęci staje pod bronią, lecz jest do tego prawami krajowemi zmuszony — i jakżeż ekskomunikować króla, który kraj swój kocha i gotów jest dla niego wszystko poświęcić? Ubolewałem więc nad tym niedyplomatycznym krokiem Piusa IX, przewidując, że innego skutku to nie wywoła, jak osłabienie we Włoszech Jego władzy duchownej.

Przyjechawszy do Aleksandryi, udałem się zaraz (w moim mundurze ex-pułkownika 5 pułku ułanów Legii anglo-polskiej podczas kampanii Krymskiej) do prezydenta ministrów hr. Cavour i do generała Lamarmora, ówczesnego ministra wojny. Obydwaj oświadczyli mi, że ponieważ odmówili służby w armii piemonckiej wszystkim oficerom zagranicznym. więc i dla mnie nie mogą zrobić wyjątku. Nie zraziłem się jednak tą odpowiedzią i zaraz udałem się do głównej kwatery cesarza Napoleona III, gdzie adjutantowi cesarskiemu hr. Montebello wręczyłem list jen. Bystrzanowskiego. Zarazem oświadczyłem moją chęć wzięcia udziału czynnego w tej kampanii.

Po krótkiej konferencji Montebella z cesarzem, hr. Montebello wręczył mi list od cesarza do księcia Napoleona, który był wylądował ze swoim korpusem w Livorno, i polecił mi udać się do niego. Wyjechałem więc niezwłocznie do Livorna i z tym listem przedstawiłem się ks. Napoleonowi. Książę przyjął mnie bardzo uprzejmie i tegoż dnia jeszcze na obiad zaprosił. Po

obiedzie kazał mi usiąść przy sobie i w dość poufnej i długiej rozmowie starał się, o ile mi się przynajmniej zdaje, zbadać, z kim też ma do czynienia.

Egzamin ten musiał być dla mnie widocznie korzystnym, kiedy tego samego wieczora ksiązę oświadczył mi, że chętnie ofiarowaną przezemnie służbę przyjmuje: w samej rzeczy, nazajutrz po przybyciu jen. Ulna, naczelnego wodza armii toskańskiej, ksiązę kazał mnie do siebie przywołać i przedstawiając temuż generałowi, powiedział, bym się udał do Florencyi, gdzie przez rząd prowizoryczny mianowanym będę „Commendant Supérieur de la Cavallerie Toscane“.

Wyjechałem tedy z jen. Ulna do Florencyi, gdzie w tym samym stanąłem co on hotelu *Hôtel dell' Arno na Lung'Arno*. Generał Ulna bardzo mi przypominał, tak fizycznie jak moralnie, jen. Wysockiego z kampanii węgierskiej: był to człowiek nauki, poczciwy, lecz słabego charakteru i był tak, jak jen. Wysocki, znużony długą emigracją.

Któregoś dnia wszedłszy do jego pokoju, spostrzegłem, że jest w niezwykłym podrażnieniu; chodził szybkim krokiem od okna do okna, patrząc na deszcz, który lał obficie. Na zapytanie moje o przyczynę jego niepokoju, odpowiedział mi z wyrazem wielkiego niezadowolenia: „Kazałem dnia dzisiejszego zmienić garnizon kilku batalionom, a deszcz tych biednych żołnierzy zmoczy“. Mimowolnie rozśmiałem się i starałem się go uspokoić, zapewniając, że owszem to przygotowuje młodego żołnierza do przyszłych trudów kampanii, na które wkrótce narażonym będzie.

Książę Napoleon przybył wkrótce także do Florencyi ze swoim korpusem, który po większej części w „Cascinach“ (spacer publiczny) obozował.

Książę oświadczył mi, że obejmę dowództwo kawaleryi tokańskiej dopóki nie wkroczymy do Modeny, a wtedy zabiorę ztamtąd także wszystko, co się znajdzie jazdy, na kampanię. Wkrótce otrzymałem moją nominację na stopień pułkownika i „Commendante Superiore della Cavalleria Toscana“ składającej się wtenczas z dwóch szwadronów, do których, z rozkazu księcia, przyłączyłem szwadron karabinierów (żandarmów) konnych. Miałem więc na początek 3 szwadrony pod swojemi rozkazami. Nie było to łatwe dla mnie zadanie. Nie tylko, że słowa po włosku nie umiałem, lecz jeszcze intrygi zazdrosnego i niechętnego mi podpułkownika, dowódcy dwóch szwadronów kawaleryi tokańskiej, bardzo mi, przy słabym charakterze jen. Ulna, utrudniały moje zadanie.

W tym samym czasie przybył hr. Ksawery Branicki, dobrze mi znany z Paryża, ażeby, jako pułkownik gwardyi narodowej paryskiej, w świącie ks. Napoleona kampanię odbyć. Stał w Hotelu dell' Arno, czem jeszcze więcej zbliżyliśmy się do siebie; tam zawiązał się początek naszej późniejszej przyjaźni, która była powodem oddania mi następnie różnych przyjacielskich usług.

Rząd dał mi jednego konia, ale to nie było dosyć, więc zacząłem szukać drugiego nie bardzo drogiego. Dowiedziawszy się, że sprzedają konie po księciu Toskańskim, poszedłem do p. Pitti, który, jako dawny koniuszy, miał to polecone. Spróbowałem kilka koni, nie znalazłem żadnego, któryby mi przypadł do gustu. P. Pitti, przypatrując się mojej jeździe, oświadczył mi wtedy, że

jest koń dla mnie, wprawdzie bardzo trudny, ale i bardzo dobry. Dodał, że takowy był poprzedniego dnia już kupiony przez kapitana kawaleryi, ale ponieważ on, Pitti, wątpi, czy ów kapitan z nim da sobie radę, więc myśli, że ja go prędeż czy później będę mógł nabyć. Udałem się więc zaraz do owego kapitana, lecz ten, chcąc zarobić na koniu, tak drogo za niego zażądał, że musiałem odstąpić od mojego zamiaru kupienia takowego. W kilka dni później przyszedł do mnie zrana ów kapitan, którego nazwiska już nie pamiętam, i sam mi zaproponował odkupienie tego konia od niego. Nie ukrywał przedemną, że już go ten koń kilka razy zrzucił i że sobie z nim rady dać nie może. Kupiłem więc konia za tę samą cenę, za którą mu go p. Pitti sprzedał; tym sposobem nabyłem za małe pieniądze, wprawdzie trudnego, lecz doskonałego konia.

Pierwsze moje oficjalne wystąpienie na koniu we Florencyi było w świetle ks. Napoleona, gdy robił przegląd wojska na łąkach Cascińskich. Jechałem na nowo nabytym koniu, z którym, jak się wyrażał p. Pitti, nie miałem już wrócić do miasta. W istocie, był on trudniejszy niż go sobie wyobrażałem i tak dziwnymi i nieregularnymi skokami swój chód przeplatał, że gdy po skończonej rewii z niego zsiadłem, uczułem wielkie zmęczenie. Dnia 25 maja 1859 r. odbyła się moja nominacja przez rząd prowizoryczny, w którym komisarzem królewskim był Boncompagni, a prezydentem ministrów baron Ricasoli; po nominacyi wymaszerowałem z Florencyi z korpusem francuskim. Miałem przy sobie adjutanta hr. Marocchi z Florencyi i podoficera Toskańczyka Guigliani, który pierwiej służył w legii zagranicznej francuskiej

w Algierze, a zatem znał równie dobrze język francuski jak włoski, wszystkie więc rozkazy jemu dyktowałem po francusku, a on je na język włoski przetłómaczał. O kilka marszów od Florencyi przybył nowo mianowany podoficer w szwadronie karabinierów, hr. Ludwik Foschi, z listem rekomendacyjnym do mnie. Był to człowiek, mający około lat 40-tu, który już w 1848 r. był kapitanem w ochotnikach rzymskich przeciwko Austrii i który od tego czasu jako emigrant mieszkał we Francyi i w Belgii. Przybył świeżo z zagranicy, aby w tak ważnej chwili służyć swemu krajowi. Hr. Foschi przyjął pierwszy lepszy stopień, jaki mu ofiarowano we Florencyi, byleby się tylko jak najprędzej do czynnej armii dostać.

Po pierwszej z nim rozmowie poznałem, że był to człowiek najlepszego towarzystwa i że przy pozornej skromności ukrywał cnoty, a przytem posiadał wiadomości niepospolite. Przyłączyłem go do mego sztabu i od tego czasu zawiązał się między nami stosunek, który z czasem zamienił się w największą i najszczerzą przyjaźń. Wkrótce hr. Foschi pozyskał całą moją sympatyę i zaufanie i bardzo był mi pożytecznym. Podczas marszów uczył mnie gramatyki włoskiej i w tym języku nazywał wszystko, cośmy w drodze spotykali, a ja jak papuga wszystko powtarzałem po nim i tym sposobem nałamywałem sobie język i ucho do tego pięknego języka. Nie będę w szczegóły tego marszu wchodził, powiem tylko, że wkrótce potem jakeśmy doszli do linii bojowej, najpierw zawieszenie broni a potem pokój w Villafranca zawartym został.

Ten niespodziewaay obrót rzeczy zasmucił nas nie mało, i z nosami na kwintę spuszczone-

mi rozpoczęliśmy marsze powrotne do Toskanii. Jak najgorliwiej korzystałem z tych marszów, aby się ćwiczyć w języku włoskim i w samej rzeczy, gdy przybyłem do Florencyi, już zaczynałem kleić rozmaite frazesa najpotrzebniejsze. Nie wchodzę tu wcale w bieg opowiadania o kampanii 1859 r., gdyż takowa, tak przez Włochów jak i przez Francuzów i Austryaków niejednokrotnie szczegółowo opisaną została.

Wróciłem do Florencyi, gdzie przybycie księcia Eugeniusza di Carignano jako naczelnika rządu, jen. Cadorna jako ministra wojny i innych oficerów piemonckich, zwiastowało aneksyę. Po lecono mi skompletować dwa szwadrony kawalerii istniejącej na pułk czteroszwadronowy i zając się organizacją nowego pułku, którą już był rozpoczął pułkownik Zanardi-Landi. Szwadron karabinierów czyli żandarmów, wrócił znowu do swojej dawnej służby. Mój adjutant Marocchi, zaraz po kampani podał się do dymisyi i powrócił do swoich dawnych obywatelskich zatrudnień. Zostałem więc tylko z dwoma podoficerami, hr. Foschim i Guiglianim. Wybór nowego adjutanta nie był dla mnie trudny, gdyż nie mogłem znaleźć lepszego nad tego, którego już przy sobie miałem, to jest hr. Foschi. Przedstawiłem go więc ministrowi wojny do awansu na podporucznika i prosiłem zarazem, aby mi został przeznaczony jako adjutant. Guigliani, tym bardzo naturalnym, choć w jego oczach niesprawiedliwym wyborem zniechęcony, wrócił do swojego pułku piechoty, w którym także wkrótce na oficera postąpił.

Zamieszkaliśmy z Foschim w jednym apartamencie i aby na czasie zyskać, stołowaliśmy się w domu. Śmiało powiedzieć mogę, żeśmy

nie próżnowali. Oprócz zatrudnień, które organizacja dwóch pułków za sobą pociągała, mianowano mnie jeszcze prezydentem Trybunału wojkowego i polecono mi reformę żołnierzy, jakoteż przyjęcie rekrutów. Nie miałem więc czasu do stracenia i zawsze wielkie zdziwienie wzbudzałem w Foschim tem, że wracając do domu na pół godziny lub kilkanaście minut przed obiadem, siadałem w fotelu i zasypiałem spokojnym i wzmacniającym snem, korzystając z tej krótkiej chwili. Co dzień po obiedzie znowu rozpoczynała się robota i przeciągała do późna, tak, że dopiero między 10-tą a 12-tą w nocy wychodziliśmy z domu na odpoczynek i rozrywkę.

Wtenczas było jeszcze dużo domów we Florencyi, gdzie przyjmowano wieczorem i bawiono się prawie do samego rana; liczną była też i kolonia amerykańska, która się odznaczała pięknoscią kobiet i ich usposobieniem do flirtowania. Z tych domów rzadko kiedy rozchodzono się przed 2-gą lub 3-cią godz. zrana. Przebiegłszy często nie jeden, lecz dwa lub trzy takie salony, wracaliśmy dopiero nad rankiem do domu na kilka tylko godzin odpoczynku. Nasze różne zajęcia rozpoczynały się co najpóźniej o 8-ej zrana, trzeba więc było jeszcze wcześniej już być na nogach. Wojsko tokańskie już w mundury piemontskie ubierano i wszystko do aneksyi przygotowywano. Ponieważ pułkownik Zanardi-Landi, który już podczas kampanii zaczął był formować nowy pułk z ochotników, nie okazał się zupełnie odpowiednim takiemu zadaniu, ministerjum wojny oddało dowództwo tego organizującego się pułku kawaleryi tokańskiej pułkownikowi Balzani, który miał reputację srogiego i wymagają-

cego przełożonego. Z tego powodu zaszło wielkie nieukontentowanie między młodzieżą tego pułku, która pragnęła zachować i nadal swego dotychczasowego dowódcę.

W tym to czasie, to jest w zimie r. 1860, w chwili, gdy jeszcze z Foschim między 6-tą i 7-mą godziną po południu przy obiedzie siedzieliśmy, wpadł oficer do naszego mieszkania, zawiadamiając mnie, że w koszarach żołnierze wyprawiają burzliwe manifestacye na korzyść pułkow. Zanardiego przeciw pułkownikowi Balzaniemu. Nie dokończywszy obiadu, wstaliśmy zaraz od stołu, przypasaliśmy pałasze i udaliśmy się do koszar. W samej rzeczy, zbliżając się, usłyszałem gwar i krzyki, które wielki nieporządek zdradzały. Rozpuściłem swój pałasz, aby jego brzęk po bruku zwrócił na mnie uwagę żołnierzy, będących przed koszarami. Rzeczywiście, zobaczywszy mnie, cofnęli się i uwiadomili swoich kolegów o mojem przybyciu, a warta stojąca przed bramą, wołając „Pod broń“ jeszcze więcej przestrzegła o przybyciu wyższego stopnia przełożonego. Gdyśmy weszli na dziedziniec koszar, wszelkie krzyki ustały i żołnierze ze wszystkich stron do wnętrza umykali. Dałem rozkaz, ażeby natychmiast w salach koszarowych żołnierze się zbrali i tam w szeregi stanęli w ubraniach, w jakich się obecnie znajdowali. Zatrzymując się umyślnie po drodze, zapytywałem oficerów i podoficerów o szczegóły tej manifestacyi. Doszedłszy na I-sze piętro, gdzie się znajdowały sale sypialne, zastałem już wszystkich stojących w szeregach, wśród których zupełna cisza panowała. Nie umiałem jeszcze wówczas dostatecznie po włosku, żeby mógł przemówić

do żołnierzy tak energicznie, jak tego wymagały okoliczności. Mówiłem więc po francusku krótkimi frazesami, które Foschi tłómaczył na język włoski w miarę mego wypowiedania, nareszcie zakończyłem, „że jeśli po capstrzyku, który zaraz miał nastąpić, nie zastanę wszystkich po łózkach śpiących, i jeśli odkryję najmniejszy nieporządek, to osobiście na czele bagnetów piechoty wpadnę do koszar, a wówczas z pewnością wszystkich do porządku i karności zmuszę“. Po tem stanowczem przemówieniu, udałem się natychmiast do jen. Cadorna, ministra wojny, który będąc uwiadomiony o zaszłym nieporządku, wezwał już mnie był do siebie, aby się o szczegółach tegoż rozpytać.

Zapewniłem go, że wszystko na siebie biorę i że za przywrócenie spokoju i karności ręczę, ale proszę go, aby mi na wszelki wypadek dał rozkaz otwarty do dowódcy piechoty, która kwatrowała naprzeciw koszar kawaleryi w fortecy da Basso, chciałem bowiem, aby w razie potrzeby, on na moje wezwanie dostarczył mi jeden lub kilka batalionów. Otrzymawszy ten rozkaz, znowu udałem się do koszar kawaleryi, gdzie wszystkich jak najspokojniej zastałem już w łózkach. Nie wiem czy wszyscy spali, ale to wiem, że gdym przez sypialnię przechodził, wszyscy chrapali. Tak się zakończył ten młodzieńczy wybryk, świadczący, że taż młodzież do karności wojskowej nie była przyzwyczajoną jeszcze, a nowy pułkownik Balzani został w swoich funkcyach installowany. Zajście to było jednak powodem oddalenia kilku oficerów, którzy brakiem energii i powagi do tego nieporządku się przyczynili.

Podczas karnawału 1860 r. bawiono się ochoczo we Florencyi. Bywały bale maskowe w Teatrze della Pergola, na które większa część pań z towarzystwa uczęszczała, bawiąc się intrygowaniem mężczyzn. Bale kończyły się zwykle kolacyjkami w łóżach.

Przed jednym z takich balów dowiedziałem się przypadkowo, że jedna z pań florenckich, którą znałem z reputacyi i z widzenia, ale której nie byłem prezentowany, zbierała wszelkie wiadomości o mnie, w celu zaintrygowania mnie na przyszłym właśnie balu maskowym. Była to osoba mająca reputację posiadania dość tkliwego serca, a zatem nie trudno mi było dowiedzieć się o różnych „kawałeczkach“, które w jej mniemaniu zakryte były ciemnym tajemniczym woalem.

Ponieważ wiedziałem jak będzie ubrana, poznałem więc natychmiast ową maseczkę, gdy się do mnie zbliżyła i mnie pod rękę wzięła. Cierpliwie wysłuchałem wszystkich mniej więcej prawdopodobnych historyj, jakie mi skwapliwie i z pewnem zadowoleniem prawiała. Gdy się spostrzegłem, że już wyczerpały się wszelkie wiadomości, których o mnie zasięgnęła, zapytałem ją, „czy chce, bym teraz i ja jej coś o niej powiedział“? Na to rozśmiała się, powiadając, że jak mogę coś o niej powiedzieć, gdy zupełnie jej nie znam, a więc zgadnąć trudnoby mi było, kto ona taka. „Nic to nie szkodzi“ odpowiedziałem, „zechciej tylko pani zdjąć rękawiczkę z lewej ręki i na chwilę powierzyć ją mojemu badaniu, a ja z niej, jeśli nie wszystko, to jednak dużo wyczytać potrafię“. Stanęliśmy w najmniej zaludnionym kątku sali i ja przedsięwziąłem bardzo dla mnie ułatwione

badanie tej ładnej i białej rączki. Gdym wypowiedział różne szczegóły jej życia, o których myślała, że były tajemnicą, cała się wzdrygnęła; gdy zaś doszedłem do terażniejszości, która mi również znaną była, gwałtownie wyrwała swoją rękę i odskoczywszy odemnie, powiedziała, że muszę z dyabłem mieć do czynienia! Na to ceremonialnie jej się skłoniłem i zapytałem: „Czy pozwoli pani, żebym, po tej przypadkowej znajomości, w domu jej się zaprezentował“? Zmieszana i przestraszona odpowiedziała, że o ile pierwszej pragnęła, o tyle teraz jużby sobie tego nie życzyła.

Amerykanki także bardzo dowcipnie i wesoło intrygowały i zwyczajnie używały następującego fortelu, by ich nie poznano: cztery równego wzrostu tak samo się ubierały i jak tylko która myślała, że zaczyna się ją poznawać, zręcznie w zamieszaniu dawała się przez drugą zastąpić, tak, iż rzeczywiście trudno było się zorientować. I tak zima prędko i przyjemnie zeszła — dzień na pracy, noc na zabawie. Kto chce użyć rozrywki i zabawy, musi pracować, bo człowiek inteligentny zawsze bawić się nie może, inaczej ta zabawa go znudzi. Zwyczajnie znudzeni zabawami są próżniacy, którzy tem tylko chcieliby swe życie zapełnić.

Na wiosnę r. 1860 nastąpiła aneksja Toskanii do Piemontu i dwa pułki kawalerii dostały nazwę: dawniejszy pułk pułkownika Capellini, „Lancieri di Firenze“, a pułk pułkownika Balzani, „Cavalleggeri di Lucca“. Ponieważ te dwa pułki w różne garnizony i do różnych brygad przeznaczone zostały, ja pozbawiony mojej komendy, otrzymawszy krzyż kawalerski S. S. Maurizio e Lazzaro,

powołany zostałem 16 kwietnia do Turynu, gdzie na dyspozycyi ministra wojny się znajdowałem.

Wkrótce potem, 10 lipca 1860 r., dano mi „la disponibilita“ co znaczy: chwilowe usunięcie z czynnej służby. Dnia 4 sierpnia 1860 r. otrzymałem dekretem królewskim, naturalizacyę sardyńską.

Ponieważ takie usunięcie z czynnej służby ograniczonem nie jest i może trwać tak krótko jak i bardzo długo, przeto poszedłem, odebrawszy ten dekret, do ministra wojny jen. Fanti i oświadczyłem mu, że gdyby rząd moich usług więcej nie potrzebował, to ja darmo jeść chleba włoskiego nie chcę, proszę tylko o audyencyą u króla, ażeby Najj. Panu za łaski mnie wyrządzone podziękować i o dymisyę się podam. Jen. Fanti odpowiedział mi na to, że: jakkolwiek są trudności umieszczenia mnie w czynnej służbie, gdyż jestem wiekiem najmłodszy z pułkowników, a obecnie rangą między najstarszymi, do tego osobistością w armii włoskiej prawie zupełnie nieznaną, jednak obiecuje mi, iż znajdzie sposób zbliżenia mnie do kawalerji i obeznania z nią, jeśli zaś chcę przyjąć dowództwo pułku, to on ma nadzieję, że wkrótce będzie mi mógł dać takowe. Zapewniłem jen. Fanti, że chętnie i z wdzięcznością dowództwo pułku przyjmę, tylko o jedno proszę, aby zamiast naznaczać mnie do formacyi nowego pułku, dano mi jeden ze starych.

W jesieni tego samego roku, zawsze jeszcze będąc „in disponibilita“, zostałem odkomenderowany przez ministra wojny do obozu dywizyi kawalerji w San Maurizio i przyłączony do sztabu jen. Brunetta, dowódcy tego obozu.

Po jakimś czasie jen. Brunetto, znajdujący się na łąkach, gdzie się manewra odbywały, powiedział mi, żebym sobie wybrał jeden z 4-ech pułków tam będących i żebym nim manewrował. Dlatego, że wybrać trzeba było, wybrałem pułk „Genova Cavalleria“, którego pułkownikiem był de Sonnaz. On swój pałasz schował do pochwy, ja mój wyciągnąłem i stanąłem przed frontem tego pułku.

Zdaje się, że wszystko dobrze się odbyło i że raport jen. Brunetta o mnie do ministra był korzystny, gdyż 3 lutego 1861 r. odebrałem nominację na dowództwo jednego z najstarszych i najlepszych pułków t. j. „Savoja Cavalleria“, stojącego garnizonem w Medyolanie. Więcej sobie życzyć nie mogłem, gdyż otrzymałem i dobry pułk i przeznaczony do przyjemnego garnizonu. „Savoja Cavalleria“ liczył się do ówczesnej ciężkiej kawalerii (dragonów) i miał Nr 3-ci. Dywizya ta (4 pułki dragonów) tem od reszty kawalerii się różniła, że miała większych ludzi i większe konie i że nakryciem głowy był hełm, który zresztą dotychczas noszą. Jeżeli było trochę zazdrości w moich podwładnych, starszych odemnie wiekiem, to przykrość tę wynagrodziły mi damy medyolańskie uprzejmością swoją, chętnie przyjmując w swych domach tak młodego pułkownika i dobrego tancerza.

W kilka dni po mojem przybyciu, przyjechał do Medyolanu król Wiktor Emmanuel i po raz pierwszy wystąpiłem z moim nowym pułkiem na przyjęcie króla.

U dworu był bal, na którym się także znajdował hr. Cavour. Był on zawsze admiratorem płci pięknej, co było powodem zabawnej anegdotki.



WŁADYSŁAW Hr. PONIŃSKI

jako pułkownik kawaleryi włoskiej w Medyolanie w r. 1861.

Oficer inżynieryi (nie pamiętam już nazwiska) tańczył kadryla z hr. Allemagna, jedną z ówczesnych najpiękniejszych kobiet Medyolanu. Hr. Cavour stanął sobie koło niej i ciągle z nią rozmawiał. Zniecierpliwiony nareszcie oficer, który zapewne miał jej dużo do powiedzenia, że ani słowa nie mógł do swej pięknej tancerki przemówić, proszącym głosem odezwał się do hr. Cavour: „Eccellenza, Lei ha l'Italia, mi lasci l'Allemagna“. („Excellencyo masz Włochy, zostaw mi Niemcy“).

Komendantem korpusu w Medyolanie był jen. hr. Lamarmora, a dywizyi hr. Petitti, który braki pierwszego dobrze uzupełniał, bo hr. Lamarmora, najzacniejszy i pewnie jeden z najlepszych patriotów włoskich, zanadto wchodził w szczegóły i w nich się gubił, gdy jen. Petitti swojemi szerszemi widokami i wielkim taktem umiał łagodzić i wykonywać jego rozkazy. Obydwaj generałowie byli dla mnie łaskawi i przypuszczali mnie chętnie do swojego towarzystwa.

Będąc na czele pięknego pułku, w takim mieście jak Medyolan, do którego przyjeżdżali często sam król i książęta zagraniczni, gdzie przytem zawsze odbywały się przeglądy wojska, trzeba mi było mieć, stojąc na froncie, okazałego konia. Polecilem więc panu Ross, handlarzowi koni w Turynie, aby mi podobnego wyszukał. Po kilku tygodniach, już na wiosnę, uwiadomił mnie ów p. Ross, że znalazł konia takiego, jak mi potrzeba było. Poszedłem więc zaraz z pułkownikiem de Sonnaz, który dowodził pułkiem „Genova Cavalleria“ w Medyolanie, żeby tego tak zachwalonego konia zobaczyć. W samej rzeczy znaleźliśmy w dużym boksie (klatce) wielkiego i pię-

knego konia szpakowatego i ślicznie zbudowanego „huntera angielskiego“, który nam obydwom się podobał. Ponieważ była to niedziela, miałem więc na sobie ubranie świąteczne — powiedziałem przeto, że dopiero nazajutrz po mustrze wrócę, aby tego konia spróbować i pod siodłem go zobaczyć.

Nazajutrz Ross, który doskonale jeździł, zaprezentował mi go w ogródku na to przeznaczone. Po wielkiej uwadze i delikatności, z jakimi on tego konia używał, spostrzegłem zaraz, że musi to być koń nerwowy i trudny do zażycia. Wyraziłem więc moją chęć spróbowania go osobiście. Na to Ross zbladł, i widocznie się wykręcał, abym konia nie dosiadł. Widząc, że niema rady, prosił, bym przynajmniej pałasz odpasał i wystraszonym głosem pytał, jak ja konno jeżdżę? Na to odpowiedziałem: „Przewieszam nogi, jedną z jednej strony, a drugą po drugiej stronie konia“! To go nie bardzo uspokoiło; ale chciał konia sprzedać, więc trzeba go było dać spróbować — musiał tedy zdecydować się, tylko chciał stanąć tak, aby mógł go złapać, w razie, gdy z jeźdźcem lub też sam do stajni uciekać będzie. Próbowiałem różnych chodów tego konia i wszystko poszło jak najspokojniej. Wracając, zastałem mego handlarza kłaniającego się do ziemi i robiącego mi przesadne komplementa o mojej konnej jeździe, utrzymującego, że dopiero teraz ten koń we mnie znalazł swego jeźdźcę. Po pewnym targu kupiłem go, dając w zamian jednego z moich i dopłacając pewną sumę. Dowiedziałem się później, że koń ów był z Anglii sprowadzony i że przechodził przez ręce rozmaitych bereiterów, którzy z nim nic zrobić nie mogli, tak dalece, że

tego dnia nawet, com go próbował, handlarz, który rano go ujeżdżał, stał przeszło godzinę w małej uliczce, gdyż koń ani naprzód, ani w tył iść nie chciał. Przyczyną tej trudności w użyciu konia, było rozdrażnienie jego nerwów do najwyższego stopnia, co zapewne pochodziło z nieumiejętności tych, którzy go chcieli ujeżdżać. Jak tylko siodłano tego konia, zaczynał się trząść, a wkrótce pocić i po najmniejszej przejażdżce już iść nie chciał. Trzeba było moralnie na niego działać, aby nerwy jego pomału uspokoić. W tym celu, przez parę tygodni przestałem na nim jeździć, kazałem go trzymać cały dzień osiodłanego w stajni i tylko okrytego derką z kapiszonem na głowie pozwalałem na długie spacery z nim stępo. Po jakimś czasie, gdy już zmianę w nim spostrzegłem, kazałem na nim stępo wyjeżdżać, pod derką, ale już bez kapiszona, a potem już zupełnie bez nakrycia. Tym sposobem całkowicie uspokoiłem jego nerwy, zaczął dobrze jeść i zupełnie inny koń zrobił się z niego. W jesieni wychodząc z pułkiem do Somma, gdzie mój pułk i „Genova Cavalleria“ miały obozować pod rozkazami naszego brygadiera jen. Racagni, postanowiłem sobie, że będę co dzień tylko na tym koniu podczas służby jeździł. Tem doprowadziłem go do wielkiego apetytu i do zupełnego spokoju, tak, że gdy po 4-ch tygodniach wróciliśmy do Medyolanu, koń był do niepoznania zmieniony.

Nie był to zbyt wesoły obóz. Nasz brygadyer, teoretycznie wykształcony i zdatny generał, nie miał daru kierowania jazdą i swoją niedecyzyą i niepewnością w wydawaniu rozkazów, mimo tak pięknych i dobrych dwóch pułków, do bardzo

nietęgich doszedł rezultatów. Za to, gdy nam pułkownikom zostawiał swobodę rozporządzania się pułkami, staraliśmy się to wynagrodzić, rozbudzając ochoczem manewrowaniem śpiących podwładnych, którzy niestety! byli pod wpływem powolnego i nudnego manewrowania naszego brygadiera. Te ruchy w szybkich chodach, bo najczęściej galopem, radowały młodych, a przestraszały starszych oficerów, którzy do tego nie byli przyzwyczajeni. Dodać trzeba, że wtedy już robiłem te marsze po większej części małym kłusikiem, co później zaprowadzone było w całej kawalerii. To tak przestraszało mego o grubym brzuszku adjutanta pułkowego, kapitana Perazzi, Piemontczyka, że podczas marszu, w potocznej rozmowie, nie mógł ukryć swojej obawy o los koni. Rozśmiałem się na tę uwagę i uspokoiłem żartami, zapewniając go, że nic złego się nie stanie i że konie za tłuste (o co się wtenczas starano) są mniej wytrzymałe od koni, będących miernej tuszy, a do pracy przyzwyczajonych. Mój pułk zakończył to obozowanie balem dla mieszkańców Galazoty, gdzie kwaterowaliśmy. O 4-ej zrana kazałem na koni zatrąbić i wprost z balu udaliśmy się do Mediolanu.

Ponieważ oznaki stopni widoczne wtenczas były tylko na epoletach i czapkach, więc gdy oficerowie (jak wtedy się w moim pułku zdarzyło) znajdowali się w hełmach i płaszczach lub w krótkich futerkach, zwanych spencerami, nie można było tych stopni rozróżnić. Ci tedy, co mnie osobiście nie znali, brali zwyczajnie za kapitana. Zdarzyło się nawet, że jeden z pułkowników piechoty zatrzymał mnie i wyburczał, za to, że m

się mu nie uklonił. Biedaczek bardzo został skonfundowany, gdy odchyliwszy spencer pokazałem mu szlify pułkownikowskie mówiąc: „Co się tyczy starszeństwa stopnia, to jeśli się nie mylę, prędzej jak ja panu, pan mnie powinien salutować“. Rzeczywiście już wówczas należałem do najstarszych pułkowników.

Dnia 5 stycznia 1862 r. zostałem dekorowany oficerskim krzyżem S. S. Maurizio e Lazzaro. Podczas karnawału tegoż roku pojechałem na 4 tygodnie do Paryża, gdzie wśród licznych znajomych zastałem też ks. Julię Czetwertyńską z drugą córką Anną. Będąc u nich, dowiedziałem się, że ks. Olga z mężem znajduje się na Wołyniu. Bywałem na balach: w Tuileryach, u ministra wojny i na innych oficjalnych i prywatnych. Czas mijał przyjemnie i aż nadto prędko, gdyż urlop mój się kończył i trzeba było do Medyolanu wracać. Wtenczas jechało się kołami lub sankami przez Mont-Cenis i ta przeprawa zimą była dość uciążliwą, a nawet czasami niebezpieczną.

Także na początku 1862 r. mój dowódca dywizyi w Medyolanie, jen. hr. Petitti został ministrem wojny, a ja zostałem mianowany jenerałem brygady kawaleryi 13 lipca i przeznaczono mnie do korpusu bolońskiego pod rozkazami jen. Cialdini'ego.

Jenerał Cialdini był ogólnie uważany za najzdatniejszego z jenerałów w całej armii i mimo swej srogości dla podwładnych był ogólnie kochany i szanowany. Byłem więc bardzo zadowolony z mojej pozycyi i napisałem zaraz do jen. Cialdini'ego, aby mu to wyrazić. Wkrótce odebrałem jego odpowiedź, a w tej uprzejmie wyrażał, że jeśli ja z mego przełożonego, to on także ze mnie,

jako z nowego podwładnego, bardzo jest kontent i że z przyjemnością oczekuje mego przybycia do Bolonii.

Zabawiłem w Medyolanie i Turynie tylko czas potrzebny na umundurowanie i zrobienie wizyt pożegnalnych, poczem pospieszyłem do Bolonii.

Przedstawiwszy się jen. Cialdiniemu, późniejszemu Duca di Gaeta, spostrzegłem zaraz, że prócz dobrego generała miałem też przed sobą prawdziwego gentlemiana, co mnie bardzo dla niego dobrze usposobiło. Powiedział mi, że ma zamiar posłać mnie do Ferrary, jako komendanta załogi tamtejszej i granicy, którą tworzy Po w Ferrarskiej prowincyi między Austryą a Włochami. Dostałem więc zaraz pod swoją komendę oprócz dwóch pułków mojej brygady, z których jeden kwaterował w Bolonii a drugi w Ferrarze, jeszcze pułk piechoty i baterię artyleryi.

Przybywszy do Ferrary, miasta starego i smutnego, gdzie liczba mieszkań nie odpowiadała liczbie pałaców i domów, w skutek czego wielka część takowych na wpół pusto stała, spostrzegłem zaraz przy pierwszym mojem wejściu do miasta wielkie afisze poprzylepiane na rogach ulic. Zbliżywszy się, aby je odczytać, dowiedziałem się z wielkiem zdziwieniem, że to były ostrzeżenia dla właścicieli domów, aby wrywali trawę przed swojemi domami, gdyż inaczej podpadną karze pieniężnej. Z tego samego mogłem się domyśleć, że ruch w tem mieście nie był wielki. Trzeba jednak przyznać, że Ferrara miała i swoje dobre strony, n. p. dość liczne towarzystwo, ładny teatr i okolice, która bardzo sprzyjała amatorom konnej jazdy, gdyż na płaszczyznach Fer-

rarskich znajdowały się nie tylko wielkie łąki, ale i pola poprzecinane rowami i płotami, które ułatwiały spacery z różnorodnemi przeszkodami.

Zamieszkałem w Palazzo Camerini, gdzie się gubiłem w licznych pokojach i salonach całego pierwszego piętra. Umeblowanie było cokolwiek starożytne, ale dostateczne i dobrze utrzymane. Muszę tu wspomnieć o moim ordynansie (służącym), którego wzięłem z rekrutów tokańskich w 1859 r. W krótkim czasie został on moim totumfackim, aby go nie nazwać pompatycznym mianem marszałka dworu — bo tak długo jak byłem kawalerem, stajnia moja stanowiła główną część mego dworu; byłem zawsze wielkim amatorem koni i miewałem je dobre. Otóż ten mój totumfacki, który się nazywał Ferdynand Vestri, zajmował się domem u mnie, stajnią i wszystkiem tem, co posiadałem. On rachunki prowadził i myślał, aby mi na niczem nie zbywało. Od czasu jak zamieszkałem w pałacu Camerini, do którego należały dość wielka stajnia, wozownia, ogród i t. d., mój totumfacki coraz więcej przybierał minę marszałka dworu, gdyż mu oddano dozór i dyrekcyę wszystkiego. Zajmowałem cały pałac. Mieszkałem na I-em piętrze, a na drugim umieściłem moje biura. W oficynach mieszkał administrator pałacu i stara gospodyni, która tam była na łaskawym chlebie.

Ogrodem zajmował się z amatorstwa Kapucyn, który prawie codziennie przychodził. Był to rozumny i czcigodny starzec, z którym nie jedną chwilę spędziłem w ogrodzie na gawędkach. Ponieważ uderzył mnie brak uszanowania, które ogólnie publiczność ferrarska księżom okazywała, zapytałem pocziwego Kapucyna o przyczynę

tego. Zagadnięty przezemnie, z początkn zżymał się, lecz potem przystąpiwszy bliżej półgłosem tak mi zaczął rozpowiadać: „Niech się pan Jenerał temu nie dziwi. Niestety! księża, którzy tu pod rządem papieskim wszystkiem kierowali, takie nadużycia popełniali, że tem nienawiść ludzi tu-tejszych przeciwko sobie wywołali“. W samej rzeczy, lud w tych prowincjach, szczególnie w miastach, był bardzo zdemoralizowany.

W Bolonii działały się okropności: w biały dzień ludzi po ulicach zabijano, i taka była solidarność między złoczyńcami i mieszkańcami, że nigdy nie można było odkryć winowajcy.

Rząd włoski miał największą trudność w zaprowadzeniu porządku w tem mieście: sprowadzono z całego kraju wielką ilość najzdatniejszych członków tajnej policyi, znacznie powiększono liczbę żandarmów i policyantów; jak tylko się zciemniało, silne patrole chodziły po wszystkich ulicach i nikt nie miał prawa pokazać się na ulicy bez latarni. Temi i innemi energicznemi środkami udało się powoli odkryć hersztów tej licznej bandy, pod której terroryzmem całe miasto drżało. Wożono ich po kilkunastu na sąd Trybunału w żelaznych klatkach i w tych indagowano ich, gdyż inaczej obawiano się, aby pospólstwo im sprzyjające zamachu nie zrobiło dla ich uwolnienia.

Często musiałem po służbie jeździć do Bolonii, gdzie kwaterował jeden pułk mojej brygady. To mi dało sposobność bliżej poznać jen. Cialdini'ego i zawiązać z nim, w prywatnem życiu, jak najprzyjemniejszy stosunek. Prawie zawsze po moim przyjeździe zapraszał mnie na obiad i tam także cały lub też część wieczoru spędzałem.

Jego żona Dona Maria, była Hiszpanką, z którą się pobrał podczas swej służby w Hiszpanii. Była to osoba przyjemna, która musiała być w młodości przystojną.

W końcu 1862 r. odebrałem od panny Konstaneyi Górskiej, mojej dobrej znajomej z Paryża, list uwiadamiający mnie, że ks. Olga Czetwertyńska owdowiała i że na zimę do Paryża przybyła. Pisała jeszcze, że ks. Olga, będąc u niej — ponieważ panna Górka była już osoba pewnego wieku, więc osobny dom prowadziła — interesowała się dosyć szczegółami, dotyczącemi mojej osoby, i kończyła swój list, namawiając mnie na przyjazd do Paryża. Ponieważ jeszcze zawsze tkwiło w mojej pamięci wspomnienie ks. Olgi, więc nie namysławiając się długo, w pierwszych dniach stycznia wyjechałem do Paryża. Było to w 1863 r.

Na Mont-Cenis trafiłem na wielkie śniegi i zawierzuchy i na tak silny wiatr i złe drogi, że w jednym miejscu obydwaj dyliżansy na saniach wywróciły się. Pierwszy obładowany licznymi workami złota, tak się w przepaść zatoczył, że tylko miano czas, pasażerów powyciągać i postronki od koni poprzecinać, ażeby wszystkiego ciężarem swoim nie pociągnął. Drugi zaś, wewnątrz którego trzech nas siedziało: Anglik, Francuz i ja, musiał w bardzo niemiłej pozycji czekać, dopóki nas nie wyratowano. Gdy się kareta wywróciła, popadaliśmy jeden na drugiego, Anglik leżał podemną, Francuz na mnie. Choć biedny Anglik jęczał pod naszym ciężarem, nie mogliśmy nic mu poradzić bez pomocy ludzkiej, byliśmy bowiem tak ściśnięci, że każdy ruch wyższej warstwy wywoływał skargi niższej. Wreszcie przyszedł konduktor z ludźmi i otworzywszy górne drzwi-

czki, po jednym każdego z nas wyciągał. „La tourmente“ (wicher) była tak silna, że o własnych siłach kroku zrobić nie mogliśmy i musieliśmy się naszych przewodników trzymać jak pijani płotu.

Szczęściem naszym było, że wszystko to się stało o kilkadziesiąt kroków od domku kantoniera, w którym nietylko on ale i kilku pieszo podróżujących ludzi się znajdowało, kryjących się przed tak okropną burzą. Znaleźliśmy więc i blizkie schronienie i nadzieję jakiejś żywności; jechać dalej nie było sposobu.

Spędziliśmy w tym domku resztę dnia i noc całą. Nazajutrz okazało się, że prawie wszystkie zasoby żywności biednego kantoniera były wyczerpane i że nam głód zagrażał. Niebo wprawdzie wyjaśniło się i czas był piękny, ale trzeba było jeszcze w niektórych miejscach śnieg rozrzucić, aby się dyliżans mógł w dalszą drogę puścić. Mój towarzysz podróży, Anglik, którego zgniecenie dnia poprzedniego jeszcze apetyt zwiększyło, zaproponował mi udać się pieszo do hotelu zwanego L'hôpital. Hotel ów znajdował się w odległości kilku kilometrów i miał reputację posiadać niezłą kuchnię. Wzięliśmy przewodnika i opatrzywszy się w wysokie kije, puściliśmy się w drogę. Brnąc czasami po pas w śniegu, dostaliśmy się do hotelu, który wydał nam się czaro-dziejskim pałacem po biednym domku kantoniera. Kazaliśmy dobry ogień rozłożyć na kominie, obstałowaliśmy sobie obiad i osuszyliśmy nasze odzienia. Dopiero wieczorem nadszedł dyliżans i reszta podróży odbyła się już bez żadnego wypadku.

Przybywszy do Paryża, udałem się najpierw do Hotelu Lambert ks. Adamostwa Czartoryskich,

gdzie mnie bardzo serdecznie przywitano i zaproszono na bal, mający się odbyć nazajutrz.

Między osobami, które na tym balu spotkałem, był ks. Eustachy Czetwertyński, szapronujący pannę Maryę Jaroszyńską, swoją siostrzenicę. Ksiązę bardzo mnie uprzejmie przywitał i zaprezentował p. Maryi (teraźniejszej pani Bonieckiej), od której się dowiedziałem, że mieszka z ks. Olgą. Ta wiadomość naturalnie przyczyniła się do tego, że starałem się lepiej jeszcze poznać pannę Jaroszyńską. Ks. Eustachy zaprosił mnie na wieczorek tańczący, który miał się odbyć w następną niedzielę. Podziękowałem za zaprosiny i zapewniłem, że nie omieszkam z nich skorzystać, gdyż i tak miałem zamiar swoje uszanowanie księstwu złożyć. Nazajutrz rzuciłem bilety ks. Eustachostwu i z niecierpliwością czekałem niedzieli, gdyż nie wątpiłem, że na wieczorku spotkam ks. Olgę.

Jakoż w istocie, jedną z pierwszych osób, którą wszedłszy do salonu spotkałem, była właśnie ks. Olga, będąca jeszcze w żałobie po mężu. Przyjęła mnie po przyjacielsku, choć nie bez zdradzenia pewnego zaambarasowania. W naszej pierwszej rozmowie, gdy jej wyrażałem współczucie moje nad stratą męża, powiedziała mi, że już nigdy więcej za mąż nie pójdzie. Lecz i tym razem sprawdziło się przysłowie: „L’homme propose et Dieu dispose“. Widocznie Bóg nas przeznaczył był dla siebie, bo po krótkim czasie byliśmy już po słowie. Jednakże ks. Olga położyła jako warunek, zachowania tego w tajemnicy, gdyż pierwiej chciała jeszcze na Wołyni pojechać i dopiero po powrocie ztamtąd rodzicom decyzję swoją objawić. Zrozumiałem, że powodem tego było delikatne uczucie oddalenia daty śmierci

męża od chwili, w której zrobi postanowienie oddania mi swojej ręki. Naturalnie zgodziłem się na ten warunek, jednakże nie bez nadziei, że i ta chwilowa przeszkoda, o tyle mniejsza od pierwszej, da się może usunąć.

W samej rzeczy, niespodziewany wypadek odkrył naszą tajemnicę i przyspieszył chwilę nie tylko naszych oficjalnych zaręczyn, ale nawet i samego ślubu: przyjaciel domu Czetwertyńskich, p. de Méronville, zaproponował ks. Oldze spacer konny na jednym z jego koni czystej krwi, który w poprzednim roku na wyścigach biegał. Naznaczono dzień i prócz pana de Méronville brat jej ks. Janusz i ja towarzyszyliśmy księżnie. Zaledwie wyjechaliśmy na Avenue de l'Impératrice, ks. Olga, nie znająca konia i przyzwyczajona do łagodnych koni arabskich i polskich, puściła się tak szybkim galopem, że nam za nią trudno było zdążyć. Widząc to, nie byłem zupełnie spokojnym, ale nie próbowałem nawet zrównać się z nią, z obawy, że to tylko pobudzi jej konia do większego pędu. Wtem, gdyśmy się zbliżali do jednej z dróg przecinających Avenue de l'Impératrice, niespodzianie wjechał kabriolet o jednym koniu i przeciął drogę tak raptownie, że księżna nie miała czasu ani swego konia wstrzymać, ani też ominąć tej przeszkody. Koń konia piersią uderzył i obydwaj na ziemię padły, a księżna między niemi i kołami kabrioletu przesunęła się aż na przeciwną stronę ulicy. Zanim pokeskakiwaliśmy z koni, już podniósł ją był Sergent de ville nieprzytomną i silnie na twarzy i całym ciele skontuzjonowaną. Właściciel kabrioletu wyleciał też ze swegopowoziku i nos sobie złamał. Na widok tego gwałto-

wnego karambolu, zatrzymały się niektóre powozy, ofiarując odwieźć księżnę do jej mieszkania. Tam, gdzie o życie chodziło, nie myślałem już wcale o zachowaniu naszej tajemnicy: występując stanowczo jako najbardziej zainteresowana osoba, podziękowałem za uprzejme propozycje, bo wolałem księżnę przenieść do najbliższego domu, gdzie ją złożyłem w łoży portyera i z pomocą jego żony ocuciłem. Ks. Janusz pojechał natychmiast, aby jak najprędzej sprowadzić doktora do mieszkania siostry. Pan de Méronville zajął się na chwilę naszymi końmi i załagodzeniem właściciela kabrioletu, który sobie pretensje rościł wskutek złamania nosa. Sprowadzono karetę i z p. de Méronville odwieźliśmy ks. Olgę do jej mieszkania. W drodze, spostrzegłszy zdziwienie mego towarzysza, na widok tak absolutnego opiekowania się moją chorą, usprawiedliwiłem się, przyznając (wprawdzie pod sekretem), że ks. Olga jest moją narzeczoną. Zresztą, widoczne wzruszenie, jakie ten wypadek na mnie wywołał i troskliwość, z jaką ks. Olgę pielęgnowałem (na co ona chętnie zezwalała) nie mogły nie zdradzić, że poprzednio już jakieś porozumienie między nami było.

W samej rzeczy, nie można już było dłużej sekretu zachować i ks. Olga musiała się zdecydować, by zwierzyć się rodzicom. Zdaje się, że księstwo łaskawie tę wiadomość przyjęli, której się po części domyślili, i w kilka dni po wypadku upoważniła mnie ks. Olga do udania się do jej ojca z oficjalną prośbą o jej rękę.

Tak tedy odkrył się ten krótkotrwały sekret, wkrótce, bo dnia 2 lutego 1863 r. zaręczyliśmy się i postanowiliśmy, że ślub odbędzie się zaraz po otrzymaniu przezemnie królewskiego pozwolenia

na ożenienie i po załatwieniu wszystkich formalności. Tu wspomnę o wypadku, który mnie chwilowo zaintrygował i zabawnem rozwiązaniem się zakończył. Jednego wieczoru, mój przyszły teść powróciwszy z miasta w przytomności mojej narzeczonej i całej prawie jej rodziny, z bardzo poważną miną zbliżył się do mnie i zaczął wymówki robić, mówiąc, że to źle jest, iż ja skrytym sposobem działam i że najważniejsze moje kroki. przed nową rodziną ukrywam; zupełnie nie mogłem zrozumieć, do czego się ta przedmowa odnosi, aż ks. Eustachy, zadowolony ze zdziwienia, które wywołał na twarzach wszystkich przytomnych, wyciągnął z uśmiechem gazetę z kieszeni (zdaje mi się „La Patrie“) i odczytał nam artykuł, w którym jakiś korespondent donosił, że ja takiego to dnia na czele oddziału powstańców z Galicyi do Rosyi wkroczyłem.

W marcu wróciłem do Włoch, gdzie się energicznie zająłem załatwieniem wszystkiego i przygotowaniem mieszkania na przyjęcie mojej pani. Dowodem, że to wszystko dużo mi czasu nie zabrało, było, że już w drugiej połowie kwietnia wróciłem do Paryża, gdzie w ambasadzie włoskiej odbył się nasz ślub 22 kwietnia 1863 r. Po ślubie było sute śniadanie u ks. Czetwertyńskich, po którem wyjechaliśmy koleją do Nizzy, a ztamtąd par la Corniche podróżnym wygodnym powozem i 4-ma końmi do Genuy. Mieliśmy oprócz panny służącej mojej żony, Teofili Głatkowskiej, jeszcze lokaja Polaka, którego w Paryżu przyjąłem, a to dlatego, żeby moja żona nie zastała w domu samych Włochów, z którymi by się rozmówić nie mogła.

Od czasu przybycia „chatelainy“, mój totum-facki. Ferdynand Vestri, przybrał zupełnie minę i powagę marszałka dworu, a ponieważ we wszystkim starał się mnie naśladować, uroił więc sobie, że kiedy jego Pan z Polką się ożenił, to i on tak samo powinien postąpić. Zaczął się więc zalecać Teofili, która wcale nie była ani ładną, ani powabną i z którą się nawet porozumieć nie mógł, gdyż ta ostatnia, prócz polskim i trochę francuskim, żadnym innym językiem mówić nie umiała. Zdaje mi się, że Vestremu zaimponowało bardzo szlachectwo Głatkowskiej, gdyż przy wszystkich zaletach, miał on skłonność do dumy i pychy, co mnie bardzo często drogo kosztowało, gdyż wcale nie szczędził w trinkgeldach, które w moim imieniu dawał. Gdy jego uwagę na to zwracałem, odpowiadał, że mniej dawać nie może w imieniu swojego, takiego jak ja, pana.

Mimo, że Ferrara dużo rozrywek nie dawała, jak to już raz wspomniałem, jednakże czas nam bardzo przyjemnie schodził. Wasza matka prędko się zapoznała z najgłówniejszymi rodzinami i wkrótce potrafiła utworzyć salon, do którego chętnie się schodzono. Uczęszczaliśmy też do teatru, gdzie jako najwyższa władza wojskowa, miałem darmo łożę.

Dużo także jeździliśmy konno i ta pasja w mojej żonie wzrastała coraz bardziej w miarę, jak mogła rozwinać swój talent amazonki na dobrych koniach, jakie posiadałem. Nie było prawie spaceru, żeby się kilka rowów lub kilka płotów nie przeskoczyło, a nawet były i takie spacery, gdzie kilkanaście i kilkadziesiąt przeszkód się brało. To jednak było przyczyną, że bardzo rzadko znajdowaliśmy towarzyszków do naszych konnych

przejażdżek, co zresztą nas nie bardzo frasowało, bo nas spacery dla samej konnej jazdy bawiły.

Na jednym z takich spacerów, na którym towarzyszył nam mój szwagier Janusz, mieliśmy następujący wypadek. Przegalopowawszy przez pola i łąki i przeskoczywszy już niejedną przeszkodę, dojechaliśmy do traktu głównego, ogrodzonego z jednej strony żywym płotem, który trzeba było przeskoczyć, żeby się dostać na łąki, znajdujące się z drugiej strony drogi. Rozmawiając z Januszem zostałem w tyle, a wasza matka pojechała naprzód, przejechała drogę, ponieważ zaś kupa kamieni leżała przed płotem, w miejscu gdzie go trzeba przeskoczyć, objechała ją i postawiła konia prawie piersiami przed płotem. Poczciwy „Ali“ (krwi arabskiej), nie zrozumiawszy dobrze intencji swojej pani, zatrzymał się. Ona, nie myśląc się wiele, objawiła mu swoją wolę mocnem uderzeniem szpicruty. Na to „Ali“ spał się z miejsca i z takim wysileniem ten skok zrobił, że swoją amazonkę z siodła wysadził (gdyż tylko używała jednego rogu przy siodle). Rzucona tym gwałtownym ruchem na róg siodła, skaleczyła się o takowy, spadając z konia. To się działo w chwili, kiedyśmy z Januszem przejeżdżali drogę; natychmiast przesadziliśmy płot i ja zeskokczywszy z konia podniosłem moją żonę. Zobaczywszy krew na trawniku, zrozumiałem zaraz, że konsekwencye tego wypadku mogą być dla niej bardzo ważne. Poprowadziliśmy waszą matkę do najbliższej chaty, gdzie ją na ziemi horyzontalnie położyłem i prosiłem Janusza, żeby zaraz pojechał do blizkiej willi Revedini i prosił, iżby wygodny powóz po nas przysłano, a potem, żeby się udał do naszego domowego lekarza, Dra Gri-

lenzoni i jego do willi Revedini sprowadził. W chacie nie było nikogo prócz kilkorga dzieci, które widokiem krwi przerażone, zaczęły krzyczeć i płakać. Nie miałem więc żadnej pomocy; sam tedy ze studni wodę ciągnąłem i do chaty nosiłem, by tymczasem kompresy przykładać. Wskutek tychże i horyzontalnej pozycyi, jaką wasza matka zachowywała, krew przestała upływać i gdy powóz hr. Revedini przyszedł, ułożyłem ją w nim o ile można było w leżącej pozycyi i zawiozłem do willi. Tu z wielką gościnnością dano nam wszelkie wygody, a wkrótce przybył też Dr Grilenzoni. Oświadczył, że obecnie waszej matki do domu przewozić nie można i że trzeba, żeby jak najspokojniej na miejscu pozostała. Dopiero po dwóch tygodniach pozwolił ją do domu przewieźć, gdzie jeszcze jakiś czas wszelkich silnych ruchów wystrzegać się musiała.

Jenerał Cialdini coraz więcej zaszczycał mnie swoim zaufaniem i zostawiał mojemu taktowi rozwiązywanie wszystkich drażliwych kwestyj, jakie czasami zachodziły nad granicą, z przyczyny których z władzami austriackimi korespondować musiałem.

Muszę również oddać sprawiedliwość władzom wojskowym austriackim nadgranicznym, że także ze swojej strony przyczyniały się, aby zgodnym sposobem rozwiązywać owe spory. Stosunek tych wojsk, stojących pojednej i drugiej stronie rzeki Po i przewidujących, że w bliskiej przyszłości do walki między niemi przyjdzie, był mimo to uprzejmy, tak dalece, że nawet pewnego dnia, kiedy włoscy oficerowie, którzy kwaterowali w Ponte Lagosenzo, kąpali się w rzece Po, oficerowie austriaccy na pół rzeki przy płynęli do nich

i zaprosili na piwo, w które czółna swoje zao-
patrzyli.

Komendant tego oddziału doniósł mi o tem i zapytał, co ma zrobić, aby tę grzeczność także jakąś grzecznością odpłacić. Powiedziałem mu, żeby nasi oficerowie skorzystali z pierwszej sposobności i kiedyś na szklanke wina oficerów austriackich zaprosili. Tym sposobem zawiązała się znajomość między oficerami włoskimi i austriackimi. Ci ostatni wnieśli nawet kwestyę, czybym ja nie przeciwko temu nie miał, gdyby oni czasami w ubiorach cywilnych przyjeżdżali na teatr do Ferrary? na co odpowiedzieć kazałem: że nicbym przeciwko temu nie miał, gdybym się nie obawiał, że może ich spotkać nieprzyjemność ze strony publiczności, gdyby ich poznano; dla tej jedynej przyczyny, proszę, aby swego projektu zaniechali.

W lecie 1864 r. wasza matka pojechała z ojcem swoim na Wołyn, by tam swój dom w Majkowie zamknąć i zabrać do Włoch wszystkie potrzebne jej rzeczy. Przyprawdzono także z Majkowa 4 konie, między którymi znajdował się ulubiony wierzchowiec waszej matki, rzeczywiście doskonały koń „Swawola“ zwany, ze stada pana Karola Drzewieckiego z Kunki na Podolu. Ale „Swawola“, dla którego głównie te konie sprowadzili, przyszedł w opłakanym stanie. Wyrwał się ze stajni w Majkowie i przeskoczył jakąś baryerę, na której zawiesił się tylnymi nogami. Tak się tem w prawe kolano skaleczył, że zrobiło się ono grube i sztywne i nogi tej nie mógł zgiąć. Gdy w jesieni tegoż roku poszedłem do obozu koło Lugo z moją brygadą kawaleryi, zabrałem z sobą te konie, aby skorzystać ze zgromadzonych weterynarzy i kon-

sylium zrobić na conto sposobu wyleczenia „Swawoli“. W dniu, w którym manewrów nie było, zgromadziłem wszystkich weterynarzy mojej brygady, oraz zaprosiłem oficerów, największych amatorów i znawców koni, aby tę naradę zrobić. Po dokładnem wyegzaminowaniu słabej nogi i po różnych dyskusjach, przy których milczałem, zdecydowali przytomni, że niestety! niema środka wyleczenia „Swawoli“.

Po takim rezultacie, który zresztą przewidywałem, oświadczyłem tym panom, że ja sam przedsięwzmę leczenie tej nogi i że mam nadzieję otrzymać dobry rezultat z kuracyi. Wybrałem tedy najmłodszego z weterynarzy, który nie dawno wyszedł był ze szkoły i powiedziałem mu, że nic innego od niego nie żądam, jak tylko ślepego wykonania moich rozkazów. Najpierw kazałem dać silny ogień po obydwóch stronach kolana, poczem zaraz, gdy jeszcze ono gorące było z pasowego ognia, kazałem je posmarować maścią angielską „James-Blister“, tak, że się z całej nogi dygotało i że ta maść jak na patelni się topiła i w nogę wsiąkała. Ażeby się nad tem długo nie rozwodzić, powiem tylko, że koń powoli odzyskał ruch w kolanie i że kilka lat doskonale jeszcze służył.

Ponieważ minister wojny wydał był rozporządzenie, w którem zabronione było oficerom brać z sobą żonę i rodzinę do obozu. czyli do kwater, jakie zgromadzone wojsko zajmowało, więc też i ja dla dobrego przykładu nie chciałem, żeby wasza matka ze mną mieszkała. Najałem jej zatem w pobliżu łąk, na których kawalerya manewrowała, część fermy tam się znajdującej i utworzyłem jej osobny dwór, podzieliwszy się z nią służbą i zostawiając jej kucharza, a także i część

koni, których 9 sztuk posiadałem. Ja zaś mieszkając w Passignano w domu Marchesa Calcagnini (już dawniej mi znajomego) co dzień po manewrach i ukończonych służbowych interesach, najpóźniej na obiad przyjeżdżałem, ztamtąd. między 3-cią a 4-tą zrana wracałem powozem do Passignano, zkad konno na manewra się udawałem. Tym sposobem i nie przekroczyłem rozporządzenia ministeryalnego i wasza matka znajdowała się jeszcze bliżej niż ja placu manewrów; co dzień też, ze swoim groomem assistowała ćwiczeniom kawaleryi.

Po ukończeniu nieszczęśliwego powstania 1863 r., które tyle klęsk sprowadziło na prowincye polskie, znajdujące się pod rządem rosyjskim, wielu powstańców przyjeżdżało do Włoch. Po większej części udawali się do mnie, nie tyle dlatego, abym im znalazł pracę, lecz, żebym im dał odpowiednią pozycyę, gdyż wszyscy mianowali się wyższymi oficerami; ani jednego szeregowca nie zdarzyło mi się spotkać.

Jeden z nich, mianujący się pułkownikiem jazdy, chciał reorganizować kawaleryę włoską. Powiedziałem mu więc, że w takim razie mogę się tylko jego protekcyi rekomendować. Inny znów przybył do Passignano z listem rekomendacyjnym do mnie od ks. Maryi Czartoryskiej. Jak się go zapytałem, w jakim zawodzie zamysła pracować, odpowiedział, że choć jest emigrantem, jeszcze pracować nie potrzebuje, gdyż ma 500 franków miesięcznie na utrzymanie. Powinszowałem mu tak szczęśliwego materyalnego położenia i zapytałem, czego żąda odemnie? Dziwaczynemi frazesami odpowiadał: że mu się nie podobają we Włoszech ani klimat, ani ludzie, że chce do Fran-

cyi wrócić, ale chwilowo nie mam pieniędzy na powrót. Ze względu na list ks. Maryi, obrachowałem kosztą podróży do Paryża i obiecałem mu te pieniądze. Ale ów jegomość dodał, że to nie dosyć, gdyż we Włoszech długi porobił; widocznie miał zamiar popłacić je z mojej kieszeni. Chociaż to wymaganie nie zdawało mi się zbyt dyskretne, jednak spokojnie zaproponowałem mu, by owe długi zapłacił później, ze swoich miesięcznych 500 franków. To się mu niepodobało, zaczął więc przybierać różne niewłaściwe miny, chcąc mi zapewne zaimponować. Uwzględniając jednakże smutne położenie tych wychodźców, którzy opuścili kraj swój i rodzinę, aby — część z nich przynajmniej — krajowi się poświęcić, znośiłem z wielką cierpliwością fochy i niedorzeczności tych panów.

Będąc w obozie, gdzie oficer administracyjny przy moim sztabie wszystkie rachunki prowadził i takowe płacił, miałem przy sobie bardzo mało pieniędzy. Zawołałem więc Ferdynanda Vestri, mego totumfackiego i powiedziałem mu, żeby skompletował sumę potrzebną na podróż do Paryża, co też uczynił, dając różne papierowe pieniądze po 3 fr. i 5 fr. Rekomendowany mi przez ks. Maryę jegomość, z litością na to spoglądał i nareszcie wyrzekł: „Zabierzmy te śmiecie“. Przyznaję się, że mi ręka drgnęła, aby go chwycić za kołnierz i za drzwi wyrzucić — ale wstrzymałem się, jakkolwiek na to zasłużył; pożegnałem go nawet uprzejmie, acz oziębłe. Po krótkiej chwili, przyszedł do mnie służący, mówiąc, że ten pan Polak znowu powrócił i chce się jeszcze ze mną widzieć. Trochę zniecierpliwiony, nie puściłem go więcej do pokoju, lecz wyszedłszy do niego, zapytałem: czego jeszcze żąda odemnie? Prosił

o pistolety, ja zaś widząc, że nie wierzy moim zapewnieniom, iż takowych z sobą nie mam, zawołałem mego porucznika Radicati i kazałem mu przynieść moje pistolety. Zdziwiony adjutant odrzekł w przytomności mego jegomościa: „Jenerał tu przecie żadnych z sobą pistoletów nie ma“. „Widzisz pan“ powiedziałem „że pistoletów nie mam, ale zaręczyć mogę, że ich w podróży potrzebować nie będziesz, gdyż drogi są zupełnie pewne“. Wtedy dał mi do zrozumienia, że pistoletów potrzebuje, aby sobie w łeb strzelić. „A jeśli o to panu chodzi“ zawołałem „to zaraz służyć mogę“. I kazałem jednemu z żołnierzy, w podwórzku mojem stojących, rewolwer swój nabić, na co udany samobójca natychmiast drapnął i więcej go nie widziałem. Dziwna rzecz była, że wszyscy ci panowie za największą osobistą zasługę sobie mieli, że byli Polakami. Przecież nie ich to, lecz boska wola zrządziła, że Polakami się urodzili.

Dn. 31 grudnia 1864 r. zostałem dekorowany krzyżem Komandorskim SS. Maurizio e Lazzaro. W jesieni tego samego roku przybył do nas za urlopem, gdyż był oficerem w kawaleryi włoskiej, Józef Ledóchowski syn Tyburcego, który miał suchoty i w naszym domu życie skończył na początku 1865 r. Był to młody człowiek bardzo miły, wykształcony i inteligentny, ale był tak wysokiego wzrostu, że natura wysilając się wzdłuż, zaniedbała wykształcenie piersi. Jego młodszy brat Stefan, który także w wojsku służył i którym się opiekowałem o ile mogłem, wrócił później na Ukrainę i wkrótce ożenił się z panną Sulatycką z Podola.

Ponieważ wkrótce oczekiwaliśmy przyjścia na świat pierwszego naszego dziecka, nająłem więc o kilka kilometrów od Ferrary, w miejscowości zdrowej, willę z ogrodem. Ta willa była otoczona bardzo wysokim i szerokim starym żywym płotem, który od strony zajazdu był tylko o kilkanaście kroków od ścian domu odległym. Oficerowie, którzy często do nas z Ferrary przyjeżdżali, wszczęli między sobą kwestyę: czy dobry koń, bez rozpędu, mógłby ten płot, w takim położeniu stojący, przesadzić? i do mojej decyzji się odwołali. Odpowiedziałem im na to, że uważam, iż w takim położeniu skok jest trudny, lecz niemożliwym nie jest dla silnego i dobrze skaczącego konia. Od tej pory nabrałem chęci do tego skoku. Jednego dnia, wracając z Ferrary na moim najlepszym koniu „Paddy“, którego od Ksawerego Branickiego miałem, postawiłem go przy domu tak, że zadem ściany dotykał, i puściłem się z miejsca galopem ku płotowi. Dzielnny koń przeskoczył go, ale z takim wysiłkiem, że aż mi coś w karku trzasło i przez chwilę nie mogłem przemówić. Skok był rzeczywiście nadzwyczajny, bo płot był nie tylko wysoki, ale i szeroki bardzo. Nazajutrz przyjechał do nas z Bolonii hr. Denis Talon, z Marchesą Sampieri ożeniony. Był to Francuz we Włoszech zamieszkały, wielki sportsman i mój dobry przyjaciel. Pokazałem mu ten skok i mierzyliśmy od znaków nóg przednich z jednej strony do znaków nóg tylnych z drugiej strony i skok ten okazał się znakomity, a kon mój „Paddy“ wyjątkowej dobroci; nie powiem, jakie były rozmiary, gdyż już ich nie pamiętam.

Co dzień zrana dla załatwienia interesów służbowych jeździłem do Ferrary i tam odebrałem wiadomość dn. 22 lipca 1865 r. o urodzeniu się syna. Pospieszyłem co koń mógł wyskoczyć do Porotto — zastałem już małego Stepaszka w kolebce, a matkę uszczęśliwioną i uśmiechającą się do niego. Gdy się do dziecka zbliżyłem, aby się mu przypatrzeć, matka zapytała: „Czy go już kochasz“? na co odpowiedziałem: „Kocham, gdyż jest naszym synem“. Ale ta odpowiedź nie zadowoliła macierzyńskiego serca, bo wymagała, żebym go już kochał dla jego osobistych zalet. Matka nadzwyczaj prędko do sił powróciła i dziecko, chwała Bogu, prosperowało. Przyjęliśmy mamkę z Friulu, zdrową i piękną kobietę, która zapewne także nie mało się przyczyniła do zdrowia dziecka.

W tym samym roku, wśród wojska w Ferrarze wybuchła silna cholera. Najpierw pokazała się w szpitalu wojskowym. Zająłem się z lekarzami, aby rozszerzeniu tej choroby jak najprędzej zapobiedz i nie dopuścić do udzielenia się jej mieszkańcom. Zorganizowałem natychmiast szpital osobny dla cholerycznych i wskutek narady z lekarzami, podzieliłem takowy na trzy części: w 1-ej części umieszczono tych, których przywozili z podejrzeniem, że mają cholere, w 2-iej tych, którzy mieli już jawne symptomata choleryczne, w 3-ej rekonwalescentów, czyli tych, co drugie stadium cholery t. j. reakcyę i kongestycję do głowy szczęśliwie przebyli.

Jak teraz, tak i wówczas było mojem zdaniem, że w każdej chorobie trzeba równocześnie działać tak na stronę fizyczną jak i moralną chorego, a zatem w cholere, chorobie nadzwyczaj demoralizującej, zachowałem sobie działanie moralne

na słabych. Assystując sam dwa razy dziennie wizytom lekarzy i dodając odwagi chorym, wma-
wiałem w tych, którzy mieli przyjść do sali re-
konwalescentów, że już są zdrowi, kiedy do tej
sali przechodzą. A znajdujących się już w tejże
sali dopytywałem się, czy ich rodziny byłyby
w możności utrzymać ich i żywić dobrze w do-
mu, gdyż za kilka dni wysłałbym ich tam na ja-
kiś czas po urlopie. Podobne przemawiania i po-
cieszenia tak na nich działały, że gdy z powodu
innych zatrudnień służbowych, spóźniłem się na
wizytę lekarzy lub przyjść nie mogłem, to mó-
wiono mi, że chorzy byli niespokojni i dopytywali
się, dlaczego mnie niema i kiedy przyjdę? Kilku-
nastu ludzi wprawdzie straciliśmy, ale jednak
wszystkie te ostrożności posłużyły na to, że cho-
roba mieszkańcom nie zakomunikowała się. W koń-
cu, nowych wypadków cholery już nie było; tych,
co mogli iść, wysłałem za urlopem do domu, ale
zostało jeszcze kilkudziesięciu rekonwalescentów,
niemających gdzie się podziąć i z czego się utrzy-
mać. Poszedłem więc do biskupa Ferrarskiego i pro-
siłem go, żeby mi na kilka tygodni pozwolił umie-
ścić ich w willi, która seminarzystom służyła
podczas wakacyj. Biskup zezwolił na to z wielką
uprzejmością i natychmiast przeniesiono tych
biednych żołnierzy na świeże powietrze i do zdro-
wego, obszernego mieszkania. Naturalnie, że i tam
często ich odwiedzałem. Wasza matka mi towa-
rzyszyła i z sobą dla tych biedaków, mieszkają-
cych w willi, przynosiła wino i kurczęta.

Chociaż nie pierwszy raz znajdowałem się
między cholerycznymi, jednak nigdy tyle co wów-
czas nie miałem sposobności przypatrzeć się prze-
biegowi tej choroby i śledzić skutków lekarstw

dawanych. Tym razem nabyłem przekonania, że drugie stadyum choroby jest najniebezpieczniejsze i że najwięcej chorych wtedy umiera. Bo jeśli reakcja robi się za gwałtownie, to powoduje kongestję do głowy i tyfus. Zauważyłem wtedy, że dla tej przyczyny reakcyi wywoływać nie można rozgrzewającemi środkami, ale tylko trzeba używać lód wewnątrz i na zewnątrz. Podczas kurczów trzeba lodem wycierać i lód dawać połykać. Tym sposobem otrzymać zwyczajnie można łagodną reakcję.

Nie wiem, czy codzienne kadzenie mnie karbolem przy wyjściu ze szpitala nie było dostateczne, czy też inna jaka była tego przyczyna, dość że jeszcze przed ustaniem cholery, dostałem mocnych kurczów żołądkowych, które się codziennie prawie o tych samych godzinach pojawiały. Do tego czasu cierpiałem na katar żołądka, który po kilkunastu latach cokolwiek się uśmierzył, bo paroksyzmy rzadziej przychodziły, ale dopiero zupełnie go straciłem po kilkoletnim pobycie na Wołyniu.

Od czasu kampanii 1859 r. pozostawałem w stosunkach z ks. Hieronimem Napoleonem, który mnie swoją łaską zaszczycał; za każdym razem cośmy do Paryża przyjeżdżali, a podróż ta odbywała się co roku lub najrzadziej co dwa lata, (gdyż rodzice waszej matki tam mieszkali), ks. Napoleon zawsze mnie bardzo serdecznie przyjmował i często na śniadania i obiady zapraszał.

Odwiedzałem go w Bolonii, gdzie był przyjechał do swoich krewnych hr. Pepoli. Tam mi powiedział, że radby zwiedzić Ferrarę, ale bez żadnego oficjalnego przyjęcia. Zapewniłem księcia, że nikogo o jego przyjeździe nie uprzedzę i że on

będzie mógł zwiedzić miasto jako turysta — ja zaś, będąc jego ciceronem, na stacyi oczekiwać go będę i ztamtąd wprost rozpoczniemy naszą wędrówkę po mieście. Książę nazначzył dzień i godzinę swego przyjazdu i przybył z jednym tylko adjutantem, pułkownikiem Pisani.

Zwiedziwszy już część miasta, po śniadaniu, które (według jego życzenia) zjedliśmy w hotelu, chciał książę być u waszej matki i widzieć Stefcia, którego mu naturalnie zaprezentowano. Zapewne, żeby matce przyjemność zrobić, wziął go na ręce. Było to ładne dziecko z wdziękiem ustrojone.

Byłem też raz u księcia na obiedzie; oprócz mnie, były jeszcze trzy osoby, które on do swoich przyjaciół zaliczał — nie pamiętam już ich nazwisk, ale były to osobistości poważne, trudniące się polityką. Obiad zeszedł na wesołej rozmowie, poczem przeszliśmy do małego saloniku, gdzie nas książę cygarami poczęstował i rozpoczęła się poważniejsza rozmowa. Żona jego, ks. Klotylda, córka króla Wiktora Emanuela, wzięła jakąś robotkę do ręki i milcząco nam się przysłuchiwała — rozmowa ta jednak nie bardzo ją interesowała, bo widocznem było, że ze snem walczyła. Była to osoba zupełnie Bogu oddana i ubolewająca nad ówczesnemi wypadkami we Włoszech. W tej okoliczności miałem sposobność podziwienia wysokiej intelligencji i trafnej krytyki ks. Napoleona, i dziwiłem się, dlaczego człowiek tak rozumny, nie wyrobił sobie ani wybitnego stanowiska. ani nawet miłości i szacunku narodu francuskiego? Bo kiedy wrócił podczas kampanii Krymskiej do Paryża, to go nazwano „Plomb-plomb“, a nawet „Crain-Plomb“, zarzut nietylko najniesprawiedliwszy ale nawet śmieszny, bo w jego położeniu

i tak na widowni będąc, okazać brak wojskowej odwagi. było olbrzymią cywilną odwagą. W rzeczywistości powód przybycia jego do Paryża był następujący. W chwili, gdy wybuchła wojna Wschodnia, cesarz dał mu dowództwo 3-ej dywizji. On jeden z pierwszych wyjechał i jemu powierzono, dopóki nie przybyły wojska sprzymierzone, załonić Konstantynopol, zagrożony lewem skrzydłem armii rosyjskiej. Książę miał udział w radzie wojennej w Warnie i był przeciwny wyprawie Krymskiej. Radził, podając rękę Polsce, przez prowincye Naddunajskie i Bessarabię wytworzyć Rosyi rewolucyjną wojnę. Ale zwyciężyło zdanie przeciwne. pochodzące z wysoka i uchwalono wkroczenie do Krymu. Książę zmuszony był przystać na ten plan wojny, ale z tego różnego zapatrywania wynikły nieporozumienia, które wpłynęły na jego dalsze postanowienie. Po bitwie pod Almą, w której brał udział ze swoją dywizją, książę wymienionym został w dziennym rozkazie za piękne zachowanie się. Ale później zachorował i już zniechęcony, wrócił do Paryża.

Książę Hieronim był wielkim zwolennikiem niepodległości narodów, kochał Włochy, gdzie swoje młode lata przepędził i zawsze okazywał wielką sympatyę dla Polaków. Mojem zdaniem, przyczyna niepowodzenia i niepopularności ks. Napoleona wynikała ztąd, że był cokolwiek szorstki w obejściu, sceptyczny i że swego zdania w bawęłnę nie obwijał, tylko otwarcie mówił, co myślał — to się Francuzom nie podobało. Ks. Hieronim Napoleon jest najlepszym dowodem, że rozum, talent i nawet pozycja nie wystarczają, żeby sobie wybitne stanowisko wyrobić w świecie, trzeba mieć przede wszystkim charakter i takt po

temu. Zresztą opinia publiczna jest to kapryśna kobieta, która podwyższa i zniża wedle chwilowego wrażenia lub też kaprysu. Bo jakżeż wytłómaczyć można, że cesarz Napoleon III, który najpierw za awanturnika uchodził, stał się potem wielkim człowiekiem, wkońcu niedołągą i przyczyną okropnego pobicia Francyi przez Niemcy? Jednak on przecie Francję podniósł do najwyższego szczytu i niemal całej Europie prawa dyktował — nie mógł więc być ani awanturnikiem, ani niedołągą. Lecz świat sądzi wedle rezultatów: jak się komu co uda, to jest wielkim człowiekiem, jeśli zaś nie, to go robią głupcem i awanturnikiem. Ja cesarza Napoleona mam za osobistość niepospolitą — znał on dobrze swój naród i umiał nim rządzić. W ostatnich czasach swego panowania podupadł fizycznie: kamień, na który chorował i który mu wielkie cierpienia sprawiał, mógł i musiał nawet wyrzucić pewien wpływ szkodliwy na jego umysł i energię. Ale co głównie i jego i Francję zgubiło, to jego ostatnie ministeryum Olliviera, przytem niesforność i niechęć jenerałów jednych do drugich. Napoleon III posiadał dar milczenia, który Francuzom wielce imponował. Gdy prezydował zebraniu ministrów, bazgrząc ołówkiem na papierze, słuchał wszystkich i prawie nigdy sam się nie odzywał. Gdy miał wydać jaki manifest lub mieć mowę, to sam swoje myśli spisywał, a potem jednemu ze swoich poufanych je odczytywał, zapytując go, co się jemu zdaje, że chciał przez to powiedzieć? Jak tylko mu na to bez ambarasu i bez szukania odpowiadano, to poprawiał tak długo, dopóki zapytany nie powiedział: „Nierozumiem dobrze co Najj. Pan przez to chciał powiedzieć“. Dopiero wtedy był ze swojej

redakcyi zadowolony. Cesarzowa Eugenia była to zapewne jedna z najpiękniejszych i po światowemu sądząc, jedna z najszcześliwszych w swojej młodości kobiet na świecie. W późniejszym jednak wieku, nieszczęście po nieszczęściu ją przygniatało i śmiało policzyć ją można do najszcześliwszych istot. W krótkim czasie straciła i pozycję swoją i męża i syna jedynaka, w którym całą swoją nadzieję pokładała. Ludzie, dumni z siebie, nie mają rzeczywistego rozumu, gdyż zapominają, że wszystko, co im się udało osiągnąć w tym świecie: znaczenie, majątek, powodzenie, może Pan Bóg w jednej chwili zniweczyć. Jedyną niezmienną rzeczą jest: łaska Boża, jeżeli staramy się na nią zasługiwać; kto o Bogu zawsze pamięta, o tym Bóg także nie zapomni.

Dn. 23 października król Wiktor Emmanuel mianował mnie swoim honorowym adjutantem t. j. że nie pełniłem służby przy Najj. Panu, ale nosząc oznaki, używałem przywilejów do tej szarzy przywiązanych i wojskiem dalej dowodziłem.

Pogłoski o wojnie z Austryą coraz głośniejszemi się stawały i o ile możności pocichu przygotowania się robiły. Przysłano mi jeszcze jeden pułk piechoty dla wzmocnienia załogi nad granicą i szczerzej jeszcze pilnowano takowej. Urządzono drut wojskowy telegraficzny, łączący mnie ze wszystkiemi oddziałami wojskowemi na granicy stojącemi. Używano i nadużywano tej łatwej komunikacyi tak, że były dni, w których zasypywano mnie depeszami. Pamiętam, że właśnie w tym czasie brat mój Alfred był u nas i dziwił się, widząc, że ja siedząc w salonie i rozmawiając kładłem telegramy jeden po drugim na stół i dopiero otwierałem je, gdy się ich kilka zebrało.

Chcąc go więcej jeszcze zaintrygować, pokazałem mu, że jedna z tych depesz była z Kolonii (miejscowości nadgranicznej).

Z wiosną 1866 r. wybuchła wojna z Austrią i chociaż nieszczęśliwą była dla armii włoskiej, jednakże, jak wiadomo, wielkie korzyści Włochom przyniosła. Niemcy mają przysłowie: „Wer Unglück hat, der stolpert im Grase, fällt auf den Rücken und bricht sich die Nase“. („Kto ma nieszczęście, ten potknie się w trawie, na wznak upadnie i nos mu przepadnie“). Można także powiedzieć: że kto ma szczęście, potknie się w kałuży, polecą na złamanie karku i mimo to wyjdzie czysto i bez szwanku. To pewnie, że łut szczęścia więcej wart, niż funt rozumu. Tak też w 1859 r. zaświeciła na Włochy gwiazda szczęścia i mimo różnych błędów, wszystko im na dobre wychodziło. Przyznać także trzeba, że naród włoski dużo ma taktu i rozumu politycznego i w ważnych chwilach daje dowody wielkiej solidarności i wszelkiego rodzaju poświęcenia. W czasach burzliwego parlamentu włoskiego, w którym kwestya papieska także się debatowała, byłem w Krakowie i bardzo mi tem dokuczano, że deputowani włoscy niestworzone rzeczy wypowiadają; odpowiadałem wówczas, że mojem zdaniem taka jest różnica między północnymi a południowymi narodami: pierwsi żadnych głupstw nie mówią, ale je często robią, drudzy, mając bujną fantazyę i wielką łatwość wymowy, często niedorzeczności prawią, ale je rzadko robią.

Przed wyjściem z Ferrary na wojnę 1866 r. powiększono moją brygadę trzecim pułkiem i do 4-go korpusu, będącego pod rozkazami jen. Cialdini, dodano także jeszcze drugą brygadę, złożoną

z 3 pułków jazdy, będących pod dowództwem jen. de la Foresta. Te dwie brygady nazwano: „Brigades volantes“, gdyż wyprzedzały korpus o 40 do 60 kilometrów. W opis tej kampanii nie będę się także wdawał, gdyż wszystkim jest ona znana. Powiem tylko, że musiałem się nieźle z mojego zadania wywiązywać, gdyż pewnego wieczora, kiedy wysłane szpiegi, alarmujące wiadomości przyniosły do sztabu jen. Cialdini'ego, ten ostatni tak się odezwał do swojego szefa sztabu: „Możemy spać spokojnie, bo mamy jen. Ponińskiego przed sobą“. Dość już znałem jen. Cialdini'ego, żeby wiedzieć, iż jego porywczy i energiczny charakter nie znosił żadnych przeszkód i że wykonania swoich rozkazów wymagał *à tout prix*. Stosowałem się do tego i nie robiąc żadnych trudności starałem się spełniać jak najlepiej jego polecenia, jakkolwiek czasami wydawały się prawie niemożliwymi do wykonania. Trzeba także dodać, że jen. Cialdini nadzwyczaj podtrzymywał wszystkich swoich podwładnych i odpowiedzialność za ich czynności brał na siebie, jeśli tylko popełniane były z wykonywania jego rozkazów.

Jedna z osób, która niezawodnie w tej kampanii 1866 r. najwięcej wycierpiała trudów i niedostatków, była wasza matka, która z małym Stefcem i z swoją panną służącą, będącą jednocześnie i niańką, ciągle za armią ciągnęła. I kiedy jej się najmniej spodziewałem, ona, zostawiając gdzieś w tyle niańkę z dzieckiem do mnie na chwil kilka przybywała. Chociaż surowy rozkaz został dany, niedopuszczania nikogo, a szczególnie kobiet do oddziałów armii, jednak wasza matka swoją odwagą i przytomnością umysłu, zawsze znajdowała sposób dostania się tam, gdzie chciała.

Ponieważ prawie wszystkie konie i wozy były przez wojsko zajęte, musiała się często najdziwniejszymi sposobami przeprawiać. Raz spotkałem ją na dwukołowym, jednokonnym wóze z małym źrebięciem, które jeszcze nie mogło za matką biegać, na kolanach. Musiała często przepędzać noce w piwnicy lub w pokoiku jakiegoś furmana pod strzechą, gdyż wszystko było zajęte wojskiem, a nie chciała się dać poznać, żeby mnie nie skompromitować. Trudno jej było czasami dostać chleba i mleka dla dziecka. Chociaż nie mogłem nie być jej wdzięcznym za ten dowód przywiązania do mnie, jednak nie mało niepokoiły mnie te jej przeprawy, bo jakkolwiek wasza matka była nadzwyczaj zdrowa i wytrwała na trudy, to niemniej obawiałem się o Stefcia, któremu te niedostatki szkodzić mogły. W samej rzeczy, po skończonej kampanii, gdy ząbki zaczęły się pokazywać, dziecko było bardzo chore i wielką nam obawę sprawiało.

Podczas zawieszenia broni, wasza matka ze Stefciem do mnie przyjechała. W tym czasie byłem w okolicy Pordenone, nad największymi łąkami w Weneckiem, gdzie pierwszej kawalerya austriacka swoje ćwiczenia odbywała pod dowództwem dzielnego swego inspektora jen. Edelsheima. Ja tam później licznymi obozami jazdy dowodziłem.

Po tej kampanii naznaczono mnie do Bolonii, dokąd przyjechała wasza ciotka Michalina. Jednego dnia, z powodu przestrachu na koniu dostała recydywę swojej dawnej choroby, którą było jakby sparaliżowanie nóg i niemożebność chodzenia. Wszystkie zabiegi i starania lekarzy do żadnego lepszego rezultatu nie doprowadziły — radzono

jechać do morza. Wskutek tego wasza matka z siostrą i nierozdzielny Stefcieś wyjechała do Wenecyi na kąpiele morskie, a ja zostałem w Bolonii. W tej porze przychodził do nas także czasami na obiad i partyę szachów ówczesny dowódzca dywizyi w Bolonii, jen. Cosenz, późniejszy naczelnik sztabu jeneralnego we Włoszech. Był to człowiek rozumny, zdolny i bardzo wykształcony, pracowity i w towarzystwie przyjemny. Ponieważ lekarze w Wenecyi radzili mojej bratowej błotne kąpiele. więc po krótkim tam pobycie wyjechali wszyscy do Abano koło Padwy.

Jednego dnia, gdy najspokojniej siedziałem w willi Binianci, gdzieśmy na lato zamieszkali, zdało mi się usłyszeć szczebiotanie Stefcia na schodach. Zdziwiony wypadłem z pokoju i obaczyłem go z boną. Zapytawszy się o przyczynę tego niespodziewanego powrotu dziecka, dowiedziałem się od bony, że „pani hrabina nagle zachorowała w Abano na cholerę i że dlatego ją z dzieckiem do domu wysłała“. Ponieważ był właśnie pociąg, który w krótkim czasie z Bolonii w tym kierunku wychodził, napisałem kilka słów do jen. Cialdini'ego, aby go uwiadomić o przyczynie mego raptownego wyjazdu, i jak stałem tak wsiadłem na konia i cwałem ruszyłem na stację, gdzie jeszcze w porę przyjechałem, by do wagonu wskoczyć.

Można sobie łatwo wystawić stan mój moralny podczas tej podróży. Ta niespodziewana wiadomość tak mnie przeraziła, że przybywszy na miejsce, pierwsze moje zapytanie było: „Czy chora jeszcze żyje“?

Był to pierwszy wypadek cholery w Abano i z tej przyczyny wywołał wielkie przerażenie

i popłoch nie tylko w Stabilimento dell'Orlagio, gdzie z siostrą przebywała chora, ale i w całym miasteczku. Obstawiono wszystkie drzwi i okna części domu, gdzie moja żona była, wartą chłopską, która pilnowała, ażeby nikt tam nie wchodził i stamtąd nie wychodził. Lekarz miejscowy przez okno tylko dowiadywał się o biegu choroby. Gdy zaraz po przyjeździe chciałem pójść do waszej matki, zastąpiono mi drogę prawie gwałtem, uprzedzając, że jeżeli raz do chorej wejść, to już wszelkie oddalenie się od niej zabronionem mi zostanie. Ta manifestacya o tyle na mnie zrobiła wrażenie, że przypuszczałem, iż wstrzymują mnie tak natarczywie, abym zbyt prędko o śmierci waszej matki się nie przekonał. Gdy nareszcie wszedłem do pokoju, zastałem chorą nadzwyczaj zmienioną, z oczami zapadniętymi i w stanie tej obojętności. do jakiej silna cholera zawsze doprowadza. I tu wierny moim zasadom, chciałem zaraz działać na stronę moralną. Przybliżywszy się z uśmiechem, pocałowałem waszą matkę jak zwykle i zacząłem się dopytywać, czem sobie żołądek zepsuła, mówiąc, że to tylko jakiś głupi lekarz mógł tę niestrawność wziąć za cholere — dodałem, że przecież tylu cholerycznych widziałem, że chyba wiem, iż inaczej wyglądają. To wszystko najlepsze wrażenie zrobiło na chorej. Twarz jej się rozjaśniła i pewna otucha w nią wstąpiła.

Ponieważ dotąd nikogo przy sobie nie miała prócz siostry swej Michaliny, która sama także chorą była i prawie chodzić nie mogła, a mimo to jednak nieustannie i z całym poświęceniem ją pielęgnowała, posłałem więc nazajutrz do Padwy po zakonnicę i napisałem do najlepszego lekarza, prosząc, aby codziennie chorą odwiedzał. Bardzo

mi posłużyło doświadczenie, nabyte w szpitalu wojskowym cholerycznych w Ferrarze. I prawie nie nie zważając na przepisy lekarza, ciągle używałem lodu wewnątrz i zewnątrz. Reakcyja odbyła się łagodnie i zamanifestowała się tylko cokolwiek silniejszym oddechem i lekkim zarumienieniem twarzy. Nazajutrz po przebytej reakcyi, gdy przyszedł doktor, zapewniłem go, że chora wyratowana. Tą moją pewnością zadziwiony zapytał, po czem to sądzę, a chociaż on nie miał miny przekonanego, ja jednakże zupełnie już spokojny byłem. Jedyną rzecz, o którą chora prosiła, była herbata, po którą natychmiast posłałem, gdyż i w to także wierzę, że czego sama natura osoby chorej pragnie, to zaszkodzić jej nie może. Chyba że byłaby to osoba nałogowa, lub żeby temu żądaniu sprzeciwiał się zdrowy rozsądek.

Dzień i noc pilnowaliśmy we troje waszej matki i jeżeli nie dwoje to przynajmniej jedno z nas zawsze przy niej było. Przez dwa tygodnie od czasu mego przybycia zupełnie się nie rozbierałem, a jak natura gwałtem odemnie odpoczynku żądała, wtenczas ubrany kładłem się na łóżko stojące obok łóżka waszej matki, które było przeznaczone dla niej na dzień, kiedy się to, na którym leżała, ślało. Obawiając się jednak o zdrowie mojej bratowej, której nie dozwolano oddychać świeżem powietrzem, zatelegrafowałem do jen. Cialdiniego dowódcy korpusu, skarżąc się na przesadzone środki ostrożności przedsięwzięte przez Municipio w Abano. Przypomniałem także, iż podczas cholery w Ferrarze, z narażeniem żony i dziecka po dwa razy dziennie odwiedzałem cholerycznych, teraz więc miałem prawo wymagać,

aby mnie nie więziono i tym sposobem nie utrudniano wszelkich środków ratunku.

Po tej depeszy wkrótce przyszedł rozkaz od ministra spraw wewnętrznych do Municipio w Abano, ażeby mi wszelką wolność zostawiono i w niczem nie krępowano. Syndyk (burmistrz), odebrawszy ten rozkaz, przyszedł zaraz do mnie; błagając na wszystko, bym przynajmniej w dzień nie wychodził, gdyż mieszkańcy Abano tak są tym wypadkiem cholerycznym przerażeni, że moje pokazanie się wśród nich wielkiby postrach wywołało. Obiecałem mu więc, że tylko późnym wieczorem z moją bratową wyjeżdżać będziemy na spacer, gdyż nie chcemy naszym widokiem być przyczyną przestachu tak bojącej się o życie gminy. Wieczorem zostawialiśmy uśpioną chorą z zakonnicą i wyjeżdżaliśmy w okolice Abano, by odetchnąć świeżem powietrzem. Po dwóch tygodniach choroby, wasza matka tak do siebie przyszła, że mogliśmy do Bolonii powrócić. Chociaż ten pierwszy wypadek cholery w Abano pozostał jedynym, mieszkańcy zapłacili to dobrym strachem. A wszyscy z tego chcieli skorzystać: nietylko zakład, w którym mieszkaliśmy, ale i Municipio za przedsięwzięte środki ostrożności, i dwaj lekarze, którzy codziennie przychodzili pytać się przez okno o stan zdrowia chorej i t. p. Tak ogromny rachunek mi podali, że dochodził do 6.000 fr. — sam zakład żądał 4.000, utrzymując, że spalić musieli wszystko, co nam służyło, nawet bieliznę stołową, na której z moją bratową jadaliśmy. Wtenczas dopiero wytłómaczyłem sobie, dlaczego nam codziennie zmieniano stołową bieliznę, co bardzo podziwialiśmy. Okazuje się, że ta pozorna czystość, spowodowana była tylko

chęcią wyzyskania pieniędzy za mniemane spalenie tej bielizny, bo silnie przekonany jestem, że zupełnie jej nie spalono, jak również i łóżka, na którym chora leżała.

Widząc, jak mnie wyzyskać chciano, nie wda-
wałem się w żadne targi, tylko powiedziałem,
że za kilka dni przyszlę kogoś, co w mojem
imieniu przejrzy te rachunki i zapłaci to, co za
słuszne uważać będzie. Przybywszy do Bolonii,
polecilem kapitanowi Sandeckiemu, oficerowi przy
komendzie placu, iżby pojechał do Abano i żąda-
nia sprawiedliwe w mojem imieniu zaspokoił.
Dodałem, że chociaż wszelkie wymagania nagród
ze strony gminy Abano za niesłuszne uważam,
jednakże, dziękując Bogu za tak łaskawe uzdro-
wienie chorej, gotów jestem i na miasto pewną
dać sumę, jeśli takowe dobrowolną ofiarą moją
kontentować się będzie. W przeciwnym razie,
gdyby burmistrz, przy swoich pierwszych, prze-
sadzonych i żadnej podstawy niemających żąda-
niach się upierał, to polecilem kapitanowi San-
deckiemu nic nie zapłacić. Poczciwy Sandeck,
dawny oficer jeszcze z 1831 r., bardzo dobrze zajął
się tym interesem; zredukował żądania zakładu,
a miastu, które nie chciało przyjąć ofiarowanej
przez niego sumy, nic nie zapłacił.

Wasza matka dość długo po tej chorobie
do swoich zwyczajnych sił i zdrowia przyjść nie
mogła, ale powoli łaska Boska i czas do zupeł-
nego zdrowia ją powróciły.

W zimie 1866—1867 r. wyjechałem po raz pierw-
szy w życiu do zabranych prowincyj, aby się zająć
niektórymi interesami na Wołyniu i aby na sła-
wne kontrakty kijowskie pojechać. Zatrzymałem
się w Płosce, gdzie mój teść się znajdował i doje-

chałem do Majkowa, majątku przez nas puszczonego w dzierżawę mojemu szwagrowi Januszowi. Potem z nim razem wyjechałem pocztą w podróźnej karecie (gdyż jeszcze kolei tam nie było) na Żytomierz do Kijowa. Przybywszy do tego miasta zastaliśmy wszystkie hotele, których wtedy nie wiele było, tak zapełnione, że udaliśmy się do hr. Władysława Branickiego, który własny dom posiadał. Lecz i tam tak już dużo było osób, że każda kanapka na nocleg komuś służyła. Branicki kazał swoim ludziom szukać dla nas mieszkania w prywatnym jakimś domu, i rzeczywiście znaleziono nam kilka pokoi, wprowadzie bardzo skromnie umeblowanych, ale na tej samej ulicy i prawie naprzeciwko domu Branickiego. Sprowadziwszy się do tego mieszkania, gdzie właścicielką była jakaś wdowa, poszedłem nazajutrz do ówczesnego jen. gubernatora Bezaka, będącego postrachem wszystkich swoich podwładnych, przedstawiłem mu, że mi niesłusznem się wydaje, iżby żona moja, która podczas powstania za granicą była i wychodząc za mnie, włoską poddanką się stała, płaciła kontrybucyę (podatek nałożony na powstańców). Bezak, wysłuchawszy mnie, spokojnie się odezwał: „Ale hrabina jest katoliczką“. Ta niespodziewana odpowiedź z ust jen. gubernatora tak mnie uderzyła i zadziwiła, że wstałem natychmiast z krzesła, odpowiadając, „że rząd u siebie katolików prześladowuje, nie mnie przystoi sądzić, dobrze czy źle robi, ale że generał chce katolików aż we Włoszech prześladować, to mi się zanadto przesadnem zdaje“, wychodząc zaś dodałem: „Po takim argumencie już więcej nic nie mam do powiedzenia“. Zdaje się, że Bezak pomiarkował się, iż bardzo nietaktownie postąpił,

bo wyprowadzając mnie przez szereg pokoi, powtarzał, że go nie dobrze zrozumiałem. W parę godzin po mojej wizycie, oddał mi takową, a nie zastawszy mnie w domu, zostawił swój bilet mojej gospodyni. Ta tak się przeraziła widokiem strasznego Bezaka, że zastałem ją szlochającą i miałem największą trudność w uspokojeniu jej i zapewnieniu, iż odwiedziny Bezaka w jej domu żadnego nieszczęścia dla niej nie spowodują.

W kilka dni potem zostałem zaproszony na bal generał-gubernatora, gdzie dość licznie zgromadzonych polskich obywateli zastałem. Był także z Galicyi pocziwy i sympatyczny ś. p. hr. Alfred Potocki. Podczas tego pobytu w Kijowie, dużo porobiłem znajomości. Nie powiem, że było wesoło, gdyż teraźniejszość aż nadto smutnie się przedstawiała, a przyszłość mało obiecującą i niepewną była.

Dn. 15 września 1867 r. zostałem mianowany dowódcą jazdy „nel Dipartimento militari di Verona“. Korpusem dowodził jen. hr. Pianell, którego żona, z domu Ludolf, z rodzinami polskimi, a mianowicie z Sanguszkami skolligaconą była. Od czasu jak na generała postąpiłem, pracowałem ciągle nad projektami i propozycjami polepszenia kawaleryi, i w miarę ich wygotowywania, pisyłem takowe ministrowi wojny. Wskutek tego odbierałem liczne listy z podziękowaniami od różnych ministrów, a moje projekta, przechodząc przez różne biura i komisye, najczęściej zostawały przyjęte, z pewnemi tylko małemi zmianami w formie. Ponieważ głównie o treść chodziło, gdyż nie dla zaszczytu, ale dla dobra kawaleryi pracowałem, cieszyłem się, że moja praca nadaremna nie była. Miałem uznanie w kawaleryi, gdzie się sta-

rałem nietylko mój obowiązek spełnić jak najlepiej i najsumiennie, ale także, gdzie chciałem stać się użytecznym dla broni, w której zawsze miałem zamiłowanie. Często dawano mi polecenia specjalne, dotyczące się tej broni, i gdy się regulamina dla kawaleryi przerabiała, zostałem wysłany do Turynu jako członek nadzwyczajny komitetu kawaleryi, któremu to zadanie powierzono. Brałem udział we wszystkich posiedzeniach komitetu i prócz tego powierzono mnie i jen. Angelini'emu, ówczesnemu adjutantowi króla Wiktora Emmanuela, zrobienia regulaminu dotyczącego się ekwytacyi i wszelkich instrukcyj konnych, z czego we dwóch pracując, wywiązaliśmy się w parę tygodni.

Dn. 1 maja 1868 r. zostałem mianowany komandorem krzyża „della Corona d'Italia“, który został tego roku utworzony przez Wiktora Emmanuela, z okazji ożenienia się następcy tronu ks. Humberta z kuzynką jego ks. Małgorzatą, córką zmarłego Duca di Genova.

Z wiosną 1869 r. wasza matka wyjechała z Werony na Wołyń, do swoich rodziców, ażeby przy matce połóg odbyć. Tam więc w Płosce, powiecie ostrogskim, urodził się dnia 16 czerwca Mieczysław. Nie mogłem waszej matce towarzyszyć w tej podróży, gdyż miałem powierzoną sobie przez ministerjum wojny inspekcję kilku pułków kawaleryi, co pierwaj spełnić musiałem. Ale gdy tylko to pokończyłem, zaraz otrzymawszy urlop pospieszyłem na Wołyń; mimo jednak największego pośpiechu, dopiero nazajutrz po urodzeniu się Miecia przybyłem do Płoski. Dzięki Bogu, zastałem tak matkę jak i dziecko zdrowe, lecz to ostatnie tak się cicho zachowywało, że obawiałem się, czy nie przyszło niemem na świat.

Musieliśmy Miecia przy babce i cioci Misi zostawić, gdyż jego mamka, chłopka z okolicy Płoski, żadną miarą nie chciała z nami do Włoch jechać, a zmieniać jej także nie wypadało, bo nowonarodzony prosperował przy niej.

Krótko trwał pobyt mój w Płosce, gdyż minister wojny zatelegrafował do mnie, pytając, czy mógłbym do Włoch wrócić i objąć dowództwo dywizyi kawaleryi, która będzie zebraną w San Maurizio koło Turynu? Propozycja ta tak bardzo dla mnie pochlebną była (wobec tego, że byli we Włoszech starsi odemnie generałowie kawaleryi), iż natychmiast odpowiedziałem, że ofiarowane mnie naczelnictwo chętnie przyjmuję i stawię się na czas oznaczony. Przykro mi było, po tak krótkim pobycie w Płosce, znowu wyjeżdżać, ale poczucie obowiązku, zamiłowanie swego zawodu przemogło — i nie zatrzymując się nigdzie wróciłem do Werony, zkąd zabrawszy konie swoje i potrzebne mi rzeczy, udałem się do Turynu i San Maurizio. Minister wojny zostawił mi zupełną wolność w dyrekcyi obozu i w wyborze instrukcyi. Korzystając z tego, poświęciłem cały czas obozu zajęciom, które się najwięcej do prawdziwej wojny zbliżają i jak się to teraz praktykuje we wszystkich armiach. Ale ponieważ był to we Włoszech pierwszy obóz tego rodzaju, wywołał on zatem zdania pro i contra takiej instrukcyi; była nawet i krytyka, która mnie zarzucała, że niszczę tem konie i ludzi; z góry jednakże otrzymałem kompletną approbatę. W końcu obozowania, urządziłem wyścigi dla żołnierzy i Steeple-chase dla podoficerów, tak że obóz ten stał się bardzo ożywiony.

Starłem się o ile możności połączyć pożyteczne z przyjemnem, gdyż mojem zdaniem z ka-

zdej instrukcyi, z każdej nauki, można byłoby wtenczas otrzymać nadzwyczajne rezultaty, gdyby znaleźć sposób zrobienia ich dla uczących się przyjemnemi lub urozmaiconemi, czem jużby się mniej suchemi i nudnemi wydawały.

Dn. 9 sierpnia 1869 r. zostałem mianowany komendantem kawaleryi w obrębie Florencyi, która wtenczas była stołecznem miastem Włoch. Tu byłem blisko wielkiego ołtarza i używano mnie często do specjalnych poleceń; byłem także jakiś czas członkiem najwyższego trybunału wojennego.

W 1870 r. byłem jeszcze we Florencyi, gdy wybuchła wojna francusko-niemiecka. Podróżując na kilka tygodni przedtem z Minghettim, ministrem spraw zewnętrznych, jadącym do wód, powiedziałem mu, że się obawiam, iż jego kuracya przerwana zostanie skutkiem wybuchu wojny francusko-niemieckiej. On tego zdania zupełnie nie podzielał; wypadki jednak wkrótce usprawiedliwiły moją opinię i rzeczywiście minister zmuszonym był skrócić swoją kuracyę i do Florencyi powrócić.

Był to czas, w którym Włochy, przestraszone stanem swoich finansów, w największe ekonomie zaczęły się wdawać (*economie fine all'osso*), wskutek czego i na wojsku oszczędzano, co do dobrego stanu takowego przyczynić się nie mogło. Gdy więc, wysłany przez cesarza, ks. Napoleon, przyjechał do Florencyi, aby skłonić teścia swego do wzięcia udziału w tej tak nieszczęśliwej dla Francuzów wojnie, szlachetny król Wiktor Emmanuel (*Galant uomo*) musiał odmówić, mimo, że jak najchętniej na czele kilku korpusów byłby poszedł na ratunek swego dawnego sprzymierzeńca,

któremu zawdzięczał to, co on dla Włoch w 1859 r. zrobił. Rada ministrów jak najsilniej się temu oparła, gdyż wojsko było ówczesnymi oszczędnościami tak zredukowane, że zresztą byłoby nawet niemożliwem w tak krótkim czasie sprowadzić na linię bojową dość wielkie siły. by mogły wywrzeć wpływ na los tej kampanii. Wojsko i wielka część narodu podzielały szlachetny popęd króla, ale mężowie stanu, na których głowach polegała odpowiedzialność, obawiali się, że wojsko, które Włochy na prędko daćby mogły, nie dużo pomoże, a klęskę tylko na kraj sprowadzi. Prawie codziennie widywałem ks. Napoleona podczas tego jego pobytu we Florencyi. Wiedziałem o różnych fazach, które przechodziły traktowania o pomoc włoską, gdyż czasem już się zdawało, że chęć króla przyjsia w pomoc cesarzowi Napoleonowi III przeważy, ale wkońcu szlachetne uczucie musiało ustąpić zimnemu rezonowaniu. Cesarz francuski zanadto się spuszczał na to, co jego ówczesni ministrowie zapewniali, i nie przypuszczając nawet możliwości niepomyślnego skutku dla armii francuskiej w tej wojnie, nie pomyślał o zapewnieniu sobie sprzymierzeńców, których byłby niezawodnie we Włoszech, a może i w Austrii znalazł. Rozpoczął kampanię z przekonaniem, że szybkim zwycięstwem w krótkim czasie stanie w Berlinie. Nic niema niebezpieczniejszego, jak lekceważenie swoich nieprzyjaciół. Jenerałowie francuscy byli dobrze zaopatrzeni w mapy geograficzne Niemiec, bo najmocniej byli przekonani, że wkrótce wojsko ich granicę tego kraju przekroczy, a tymczasem, gdy potem wypadło bić się we własnym kraju, to wszelkie ruchy utrudnione

im były nieznaną swoją krajem i brakiem dobrych jego map.

Dn. 12 marca 1871 r. zostałem mianowany w moim stopniu generała-majora, dowódcą dywizji terytoryalnej w Bari (południowych Włoszech).

We Włoszech nie składają się dywizye, jak w innych krajach, z 4-ch pułków tej samej broni. Do dywizji terytoryalnych, na jakie jest całe państwo podzielone, należy kilka prowincyj i wszelkie dywizye składają się zawsze z trzech rodzajów broni, które się w terytoryum znajdują, tak, że do jednej dywizji terytoryalnej najczęściej 6 i 7 pułków należy: piechota, kawalerya, oddziały inżynierji i wszelka administracya. Każda bowiem dywizya jest zupełnie oddzielną i pod wszelkimi względami swoim potrzebom sama zaradzić powinna, tak jak w innych krajach korpus.

Krok, jaki w tym roku w karyerze mojej zrobiłem, był dla mnie bardzo ważny, i chociaż zmiana Florencyi na Bari nie była bardzo przyjemną, jednak chętnie z całą rodziną pospieszyłem na swoje nowe stanowisko, gdzie mnie czekał pałac na głównej ulicy (Corso), umeblowany i umontowany przez rząd tak kompletnie, że nawet zastaliśmy łóżka już posłane.

Różnica, jaka zachodzi między ludnością Włoch północnych i południowych, jest uderzającą. Na południu zupełnie są inne pojęcia, wykształcenie i zapatrywanie się na rzeczy. Mieszkańcy są tam prawie bez wyjątku intelligentni, ale tej inteligencji rzadko kiedy używają do czego innego, jak dla zrobienia korzystnych interesów, do których im jeszcze dopomaga dość wogóle elastyczne sumienie. Nawet w średnich klasach granica między

tem, co honorowemu człowiekowi wolno robić, nie bardzo jest wyraźnie oznaczoną i przekracza się bez wyrzutów sumienia. Na prowincyi wykształcenie na bardzo niskim stoi stopniu, a zabobonność do najwyższego stopnia jest posuniętą. Z początku, pókim nie poznał tego dziwnego sposobu pojmowania religii, zdawało mi się, że nie jestem między chrześcianami.

W Bari znajduje się cudowny klasztor św. Mikołaja, do którego wielu pielgrzymów nawet z dalekich stron przybywa. Ten klasztor znajdował się zawsze pod opieką królów neapolitańskich, a później przeszedł pod protekcję króla włoskiego. Ja więc, posiadający najwyższe stanowisko urzędowe w Bari, bywałem odwiedzany przez księży tego klasztoru. Poznawszy ich, jako ludzi światłych, dziwiłem się tem bardziej, że zwyczaj tak zabobonne się przechowywały i że nauka i wiara prawdziwie chrześcijańska między ludem więcej się nie rozpowszechniała. Dowiedziałem się wkrótce, że pot, jaki wydają kości św. Mikołaja (pochowanego w podziemiach tego kościoła), który księża niezliczonemi flaszkami, jako lekarstwo na wszystkie choroby, łatwowiernym sprzedają, bardzo znaczne sumy im przynosi i niewyczerpany dochód stanowi. Ten grób znajduje się niżej od powierzchni morza, a zatem infiltracya wody morskiej ciągle odbywać się musi, zabobon zaś ludu jest powodem zanadto wielkiego dochodu tamtejszych księży, by go dobrowolnie zmniejszyć chcieli.

Tegoż roku w jesieni, rodzice waszej matki odwieźli nam Micia do Włoch. Pojechaliśmy do Bolonii po niego i zabraliśmy go do Bari. Szczęściem, że z nim także przyjechała do nas ciocia Misia, gdyż z początku my rodzice byliśmy dla

niego zupełnie obcymi. z powodu bowiem rozłączenia dziecko było od nas odwykło chwilowo.

W tym czasie adjutantem moim był Karol baron Gautier, człowiek wykształcony, przystojny i przyjemny. Widać, że podczas tego pobytu w Bari między nim a Misią rozwinęła się wzajemna sympatya, bo gdy w kilka lat później w 1874 r. Michalina do nas do Padwy przyjechała. to i bar. Gautier przybył także i o jej rękę prosił. Szczęśliwym trafem rodzice waszej matki mieli wkrótce także do nas przyjechać. Zakochani tedy długo nie musieli czekać. Decyzja rodziców z początku była wahająca, później dla nich korzystnie wypadła. Mój pocziwy teść, który mało znał pretendenta swojej córki, a mnie zaszczycał swoim zaufaniem. po długich debatach nareszcie zapytał mnie: „A ty, dałbyś jemu swoją córkę?“ „Dałbym“. „No to ja także dam“, i w kilka miesięcy później ślub ich odbył się w naszym domu w Padwie.

W jesieni 1871 r. wyjechaliśmy z całą rodziną do Francji, ażeby tam odwiedzić rodziców i waszą ciotkę Annę de Loulay. Miałem przytem zamiar zwiedzić pola bitew Niemców i Francuzów a także i obóz tych ostatnich.

Korzystając z wraż. jakie na mnie Francya i wojsko świeżo po tej kampanii zrobiły, skreśliłem w krótkości relacyę wojskowo-polityczną o ówczesnym stanie wojska tego kraju i takową po moim powrocie do Włoch ministrowi wojny przesłałem. Pamiętam, że co mnie najwięcej uderzyło, było to, iż żadnego prawdziwie kochającego swoją ojczyznę Francuza nie spotkałem, ale tylko ludzi zaciętych różnych partyj, którzy byli gotowi wszystko, nawet interes swego kraju. dla tej swojej partyi poświęcić. Przepowie-

działem także w tej mojej relacyi, że następcą Thiersa na prezydenta będzie marszałek Mac-Mahon. Podczas mego pobytu w Paryżu byłem Thiersowi przedstawionym i na wieczór do niego zaproszonym.

W stopniu generała-majora zostałem przeznaczony z Bari na dowódcę dywizyi, operującej z Bolonii przeciwko dywizyi idącej z Florencyi, a mających się spotkać w Apenninach.

Dn. 30 grudnia 1871 r. postąpiłem na stopień generała-porucznika, a jest to najwyższy stopień, który w czasie pokoju otrzymać można w wojsku włoskiem. Stopień generała armii można tylko osiągnąć, dowodząc korpusem w czasie wojny. Obecnie jest tylko dwóch generałów armii: jen. Della Rocca i jen. Cialdini duca di Gaeta.

Pozostałem w Bari do wiosny 1873 r. Dnia 16 kwietnia 1873 r. zostałem mianowany komendantem czynnej dywizyi. Wskutek tego, opuściłem Bari i udałem się do Rzymu, a wasza matka wyjechała na Wołyni do swoich rodziców. Tegoż roku dnia 26 maja byłem przeznaczony na dowódcę dywizyi instrukcyj, która się zbierała w obozie koło Werony i która bardzo silną dywizyę stanowiła, gdyż była wzmocnioną kategoriami powołanemi na instrukcyę.

Podczas tego obozowania wybuchła bardzo silna cholera w jednym z pułków piechoty. To mi przysporzyło nie mało trudności i anbarasu, gdyż wszystkie potrzeby dla szpitala trzeba było z okolicznych większych miast sprowadzać. Dzięki Bogu, ta choroba dała się tak umiejscowić, że w inne pułki nie przeszła i po kilku tygodniach zupełnie ustała.



WŁADYSŁAW Hr. PONIŃSKI

jako jeneral kawaleryi włoskiej w r. 1874.

Między zagranicznymi oficerami, którzy przybyli ten obóz zwiedzić, przyjechał najpierwszy i pozostał najdłużej pruski generał, którego już nazwiska nie pamiętam, pochodzący z generalnego sztabu. Był to człowiek sympatyczny, inteligentny i wojskowo wykształcony. Rozumiał po włosku i prosił mnie o pozwolenie assistowania zebraniom moich podwładnych, szczególnie lekarzy, którym dawałem rozkazy dotyczące się środków potrzebnych dla uśmierzenia i lokalizowania cholery. Po jednym z takich raportów, zwrócił się do mnie, może słusznie o swoją armię zarozumiały Prusak, mówiąc: „Mógłbyś, jenerale, być u nas także jenerałem“. Uśmiechnąłem się, zwracając jego uwagę, że w intencji zrobienia mi komplementu wcale go nie robi armii włoskiej, na co bardzo zażenowany, starał się wybrnąć z tego nietaktownego i niezgrabnego komplementu. Bardzo był ciekawy widzieć manewrujących Bersalierów (strzelców pieszych), którzy rzeczywiście są jedynymi w swoim rodzaju. Nakazałem więc któregoś dnia rozdzielić pułk Bersalierów na dwie partye, z których jedna miała atakować, a druga bronić pewnej wioski. Prusak nie posiadał się z radości, widząc, jak partya, atakująca wioskę, czołgała się po ziemi, korzystając z każdego roweczka, z każdej bruzdy, aby niespostrzeżenie zbliżyć się do wioski. Wreszcie z największym entuzjazmem wykrzyknął: „To nie są ludzie, ale zające“.

Po trzech miesiącach obóz ten się rozwiązał, a ja wziąłem urlop, żeby także udać się na Wołyń. Zabawiłem jakiś czas z wami w Polsce u rodziców waszej matki, a w końcu października wyjechałem do Petersburga, na Kijów i Moskwę. Trafiłem w Petersburgu na solenne odświeżenie

pomnika Katarzyny II. Ta moja podróż miała dwojaki cel: poznanie Rosyi i otrzymanie w Petersburgu rezolucyi w pewnych interesach, tyczących się majątku mego teścia. Świat oficjalny, w którym się głównie obracałem, przyjął mnie z wielką uprzejmością, zaczawszy od cesarza i cesarzowej.

Czas mój zajęty był od rana do wieczora zwiedzaniem koszar i zakładów wojskowych, jako też wizytami, obiadami i wieczorami, na które mnie zapraszano. Do zwiedzania miasta, teatrów etc. mało mi czasu zostawało. Zresztą Petersburg nie ma swego odrębnego typu, podobny jest do wszystkich miast europejskich. Daleko ciekawsze są: Kijów i Moskwa. Kijów przypomina miasta oryentalne, a Moskwa ma swój typ czysto rosyjski. W nieobecności ambasadora włoskiego był wówczas baron Marochetti *chargé d'affaires*, człowiek bardzo sympatyczny, z którym prędko dobrze się zaznajomiłem i który, podczas mego kilkutygodniowego pobytu w Petersburgu, wszystko mi bardzo ułatwił.

Pomnik cesarzowej Katarzyny odsłonięto solennie. Dla tej uroczystości dużo wojska zciągnęło do Petersburga. Byłem obecny w świcie cesarza, w której także było kilku przysłanych generałów pruskich.

Po paradzie, która się o 9-ej zrana rozpoczęła i po przejechaniu przed frontem wojska przez cesarza, odbyło się solenne odsłonięcie pomnika, postawionego przed biblioteką. Cesarz i jego świta przytomni byli całej tej głównie cerkiewnej ceremonii, piechotą i z odkrytymi głowami. Cesarzowa, ze swojemi damami brała udział z okien biblioteki, w której się także dyplomacya i inni

dygnitarze znajdowali. Po skończonej ceremonii rodzina cesarska i niektórzy zaproszeni, do których i ja zaliczony byłem, w bibliotece jedli śniadanie. Potem siedliśmy na koń i zaczęła się defilada całego zebranego wojska, która się skończyła o 4-ej popołudniu.

Dzień był bardzo zimny, o ile pamiętam 26 czy 28 stopni mrozu. W wigilię tego dnia wieczorem przyjechał do mnie generał ze świty cesarskiej, oznajmiając, że cesarz rozkazał, iżby nazajutrz wojsko było w pełnej paradzie, bez płaszczów i szyneli, i pytał, czy ja, przyzwyczajony do innego klimatu, taką temperaturę zniosę? Odpowiedziałem: „Jeżeli inni wytrzymają, to ja o sobie żadnej obawy nie mam“. W dzień uroczystości, skutkiem jeszcze większego zimna, cesarz nakazał swojej świcie i całemu wojsku przywdziać szynele. Ale to rozporządzenie, dane w ostatniej chwili, już mnie na czas nie doszło i przyjechałem do stajen cesarskich, gdzie dla zagranicznych generałów konie przygotowane były, w pełnej paradzie. Poczciwy Marochetti, bojąc się, żebym się nie przeziębiał, przysłał mi swoje ciepłe rzeczy, których do polowania używał, a mianowicie: grubą wełnianą kamizelkę i pończochy z długimi nogawicami, co też pod mundur przywdziałem.

Byłem jedyny tylko, w wielkiej paradzie, dzięki temu, iż mogłem ciepło i dobrze zaopatrzyć się pod spodem, na co pozwalają nasze szerokie tuniki włoskie. Ogólny głos był: „Ten włoski generał zmarznie i ciężko odpokutuje swoje wystąpienie w tak lekkim ubraniu“. Tymczasem, zawdzięczałem baronowi Marochetti, że zupełnie zimna nie czułem — ale za to podczas śniadania, w silnie opalonej bibliotece, z gorącem rady sobie

dać nie mogłem. Hrabina Błudow, która na tem śniadaniu dworskiem przy mnie siedziała, zapytała, czy pod tą tuniką jestem czemś ciepłym zaopatrzony? Zupełnie zaspokajającą odpowiedź mogłem dać jej troskliwości. Po śniadaniu, cesarz w rozmowie swojej ze mną wyraził swą wdzięczność królowi Wiktorowi Emmanuelowi za jego uprzejme przyjęcie cesarzowej we Włoszech i polecił mi w jego imieniu raz jeszcze królowi podziękować.

Nazajutrz dużo osób przysłało pytać się o moje zdrowie, które dzięki Bogu wcale nie ucierpiało. Zadziwiła mnie petersburska policya, tak o wszystkim wiedząca, gdyż nazajutrz po mojem przyjeździe, adresowane do mnie listy poste-restante, do mego Hotelu Demuth przyniesiono. W krótkim czasie, prawie wszyscy policyanci, stojący po ulicach, salutowali mi, chociaż jeździłem po cywilnemu ubrany.

Ks. Bariatinski, jenerał-adjutant cesarski, oprowadzał mnie po stajniach i wozowniach cesarskich. Kazał przedemną produkować kilka zaprzężonych czwórek, szczególnie te, które za pocztę służyły cesarzowi, gdy w dalszą drogę jechał. Podziwiałem szybkość, z jaką wyprzęgali i zaprzęgali konie, i siłę i zręczność sędziwego furmana, który cwałem rozpuszczone konie na miejscu osadzał, chociaż były tylko na uzdeczkach (pojedyncze trenzle w pyskach). Jenerał Fleury, ambasador francuzki w Petersburgu (za cesarza Napoleona III), nazwał tego furmana senatorem i od tego czasu zostało mu to przezwisko. Zadziwiło mnie wielkie wszędzie bogactwo w krajowych koniach, a zarazem i sposób ich trenowania, które było cokolwiek zadawnione i zostawiało do ży-

czenia. System polegał na tem, aby nie zważając na przyrodzone zdatności konia, wszystkie je ułożyć na to samo kopyto, w dość gwałtowny sposób, co konie bardzo niszczyło. I to robiono, trenując konie tak pod wierzch, jak i do zaprzęgu, a szczególnie w wojsku.

Na doznawanych ze wszech stron grzecznościach pobyt mój się skończył; co do interesu, oprócz obietnic, nic nie otrzymałem.

Będąc jeszcze w Petersburgu, odebrałem telegraficzne uwiadomienie, że dnia 1 grudnia 1873 r. zostałem mianowany komendantem dywizyi w Padwie. Dnia 26 grudnia tegoż roku zostałem dekorowany krzyżem „grand officier“ Korony Włoskiej.

Padwa jest miastem, ogólnie dość znanem w świecie, mianowicie ze swojego kościoła św. Antoniego, do którego tysiące pobożnych się udaje i z kawiarni Pedrocchi, która niegdyś we Włoszech największą była.

Dywizya terytoryalna Padwy jest wielka, a terytoryum jej ciągnie się od rzeki Po, do granicy austriackiej i zawiera prowincye: Rovigo, Padwa, Wenecya, Treviso i Udine. Załogą były: 4 pułki piechoty, pułk Bersalierów, 2 pułki kawaleryi, odpowiednia artylerya i wszystkie inne dodatki kompletujące dywizyę. Miałem pod sobą: 5 jenerałów brygady, którzy się mieniali od czasu do czasu podczas ośmiu lat mojego dowództwa, jakoteż szefowie sztabu; najlepsze wspomnienie zachowałem dla ówczesnych pułkowników: Manacorda i Mathieu.

W dywizyi padewskiej odbywały się corocznie obozy brygadne, które ja często zwiedzałem i sam najczęściej byłem dowódcą zgromadzonej kawaleryi. Około Pordenone (prowincya

Wenecka) znajduje się największa przestrzeń łąk we Włoszech. Odbywałem te obozy z prawdziwą przyjemnością, gdyż prócz mojej predylekcyi dla kawaleryi, w której dosłużyłem się stopnia generała dywizyi, śliczna i wyborna miejscowość dużo jeszcze uroku dodawała. Tym obozom assystowali także oficerowie i generałowie z wojsk zagranicznych, którzy się wtedy stawali naszymi gośćmi i towarzyszami stołu.

Musicie pamiętać te obozy, szczególnie ty Mieciu, gdyż małym chłopcem będąc, assystowałeś swojej matce konno.

W kwietniu 1875 r. cesarz austriacki Franciszek Józef, oddał w Wenecyi wizytę królowi Wiktorowi Emmanuelowi. Odebrałem polecenie znalezienia, między Wenecją a Padwą, w pobliżu kolei żelaznej, miejscowości, stosownej do zgromadzenia całego korpusu. Nie było to łatwe zadanie, ale kazawszy wykonać pewne roboty w ziemi pod dyrekcyą oficera inżynieryi, udało się przygotować koło Vigonza plac dość wielki, na którym odbył się przegląd wojska dnia 6 kwietnia. Wszystko opierało się o mnie, tak rozkwatowanie zbierającego się wojska, jak też wszelkie przygotowawcze rozporządzenia. Dniem i nocą ścigały się telegramy z najrozmaitszych źródeł, najrozmaitszej treści, ale ta kilkodniowa praca wynagrodzoną została dobrem udaniem się rewii. Korpus pod rozkazami jen. hr. Pianell składał się z dwóch dywizyj: pierwszą dowodziłem ja, drugą jen. de Laforest.

Gdy cesarz Franciszek Józef do Vigonza przybył, wszystkie muzyki wojskowe zagrały hymn austriacki — dziwne wrażenie uczułem,

usłyszawszy tę muzykę po raz pierwszy od lat 27, przypominającą mi moje najmłodsze lata.

Jakem przedefilował na czele I-ej dywizyi, król Wiktor Emmanuel zaprezentował mnie cesarzowi i aby mu ułatwić rozmowę ze mną, cofnął swego konia w tył, i wskazał mi swoje miejsce. Po pierwszych kilku słowach, Franciszek Józef powiedział: „Jenerale, u nas także służyłeś, a więc zapewne po niemiecku mówisz“. Na co po niemiecku odpowiedziałem, że miałem honor służyć w wojsku austriackiem; w dalszej rozmowie, która się po niemiecku toczyła, dał mi cesarz do zrozumienia, że moja przeszłość była mu znana.

W świecie cesarskiej znajdował się hr. Andrassy, minister austriacki i jenerał węgierski. Widzieliśmy się ostatnim razem w Paryżu, kiedy obaj, przez tego samego cesarza, byliśmy na śmierć skazani. Nasze przywitanie było serdeczne i w obydwóch wywołało widocznie głębsze zastanowienie się nad zmianą wypadków, zaszłych od tego czasu w świecie, które na nasz los taki wpływ wywarły. Po przeglądzie wojska, my wszyscy jenerałowie odebraliśmy rozkaz przybycia do Wenecyi na obiad dworski. W chwili wejścia z salonu do sali jadalnej, król zbliżył się do mnie z rozpromienioną twarzą i uchwyciwszy mnie za ramię rzekł: „On był kontent“. Odpowiedziałem: „Oby tylko Wasza Królewska Mość była kontenta“! Po obiedzie, wszyscy jenerałowie brygad byli przez swoich jenerałów dywizyi cesarzowi przedstawieni — a potem udano się do teatru La Fenice, który był *a giorno* oświecony.

Przyjęcie króla w teatrze było tak gorącem, tak pełnem entuzjazmu, że na cesarzu zrobiło wrażenie. Zbliżywszy się do Wiktora Emmanuela,

rzekł: „Widać jak Waszą Królewską Mość kocha-
ją“. „To nie mnie, lecz we mnie Włochy kocha-
ją“ — brzmiała odpowiedź.

Przyznać trzeba, że ludność Wenecyi dała
wówczas, podczas pobytu cesarza, dowód wielkiej
cywilizacyi i taktu — i chociaż szukała okazji,
żeby królowi zosobna gorące robić owacye, sza-
nowała jednak gościnność i gości królewskich
i nikt się nie dopuścił najmniejszego wybryku,
jakkolwiek mundury austriackie krwawe wspo-
mnienia wzbudzały.

Po wyjeździe cesarza otrzymałem order wiel-
kiej wstęgi krzyża Franciszka Józefa.

Padwa sama w sobie nie dużo rozrywek
przedstawia. Jest zamieszkałą przez niewielką
liczbę dawnych, dobrych rodzin, większość mie-
szkańców stanowią Żydzi i przemysłowcy. Mie-
liśmy jednakże co wieczór nieraz po kilka i kil-
kanaście osób, tak wojskowych jak cywilnych.
a od czasu do czasu, gdy tańczono, dochodziło
do kilkudziesięciu. Do przyjemnego pobytu w Pa-
dwie przyczyniali się także Polacy, jadący do
Włoch przez Wenecyę; znajomi i nieznajomi za-
trzymywali się w Padwie, by nas odwiedzać lub
poznać. Często więc, szczególnie w jesieni i na
wiosnę, mieliśmy dużo miłych gości, i nasz pałac,
w którym jedno skrzydło składało się z gościn-
nych pokoi, przezwano „l'Hôtel des Amis“.

Do najmilszych czasów zaliczałem te lata,
w których, moje dzieci, obaj jeszcze w domu by-
liście, kiedy, wróciwszy z mego biura, z wami po
wielkim przedpokoju biegałem i dla was zabawy
wymyślałem. Te chwile wesołych i niewinnych
waszych zabaw były dla mnie najmilsze, gdyż na
tym świecie w rodzinnem tylko życiu można

prawdziwe znaleźć zadowolenie. Ale to szczęście nie długo trwało, bo w miarę jak dorastaliście, trzeba było jednego po drugim do szkół oddawać — byliśmy bowiem oboje z waszą matką tegoż samego zdania, że dla chłopców najlepsze są szkoły publiczne. Największa i najpotrzebniejsza nauka w tem życiu, jest poznać ludzi i nauczyć się żyć z nimi, a to nabyć tylko można w publicznych szkołach.

Ty, Stefanie, przygotowywałeś się do marynarki, karyery, którą dla braku dość dobrego wzroku na wojskową (lądową) zmienić musiałeś.

A ty, Mieczysławie, byłeś przez nas przeznaczony do karyery dyplomatycznej, lecz później okazała się w Tobie także chęć do karyery wojskowej i na tę drogę wszedłeś.

Jedną z najtrudniejszych rzeczy jest odgadnąć w dziecku, do czego ma ono skłonność i usposobienie. Iluby to księży było dobrymi wojskowymi, a wojskowych dobrymi księżmi, gdyby rodzice zawczasu odgadli byli ich powołanie. Ja myślę, że każde dziecko ma powołanie, i jeśli nie talent, to przynajmniej usposobienie do czegoś. Chybiając karierę, iluż, iluż ludzi się marnuje! Bardzo pożądanem byłoby utworzenie szkoły dla dzieci, w którejby nauczyciele starali się tylko odgadnąć, do czego dziecko ma naturalne usposobienie. Ale do takiej szkoły trzeba byłoby bardzo światłych nauczycieli, swemu zawodowi zupełnie oddanych. Wogóle na wychowanie dzieci dość uwagi się nie zwraca, a to jest jednak najtrudniejszy obowiązek do spełnienia dla każdego rodziców. Ponieważ ludzie zwykle z jednej ostateczności w drugą wpadają, więc znalezienie środkowej drogi jest zawsze najtrudniejsze, a stało się

to także i w wychowaniu dzieci. Nasi ojcowie wychowywali nas może czasem zanadto surowo, ale jeśli to miało swoją złą stronę w wyjątkowych razach, to większość rodzicom za to wdzięczną była. Dzieci rodziców szanowały i słuchały. Dzisiaj, gdy poświęcenie rodziców dla dzieci daleko jest większe i gdy chcieliby sobie z nich przyjaciół wychować, to szacunek dla nich daleko jest mniejszy, a dzieci często niewdzięcznością odpłacają się za wszystkie ich trudy i starania.

Dn. 9 stycznia 1878 r. jak piorun uderzyła na całe Włochy wiadomość: król Wiktor Emmanuel umarł! Cały naród osłupiał i ze wszystkich ust wydobywało się tosame zapytanie: „Co teraz z krajem będzie“? — z tem uczuciem smutku i przygnębienia, w jakim się znajduje rodzina po przedwczesnej śmierci ukochanego ojca.

Był to w samej rzeczy cios wielki dla Włoch. Wiktor Emmanuel był tarczą, ojcem narodu a nawet republikanie włoscy chcieli republiki z królem Wiktorem Emmanuelem na czele, tak dalece, w myśli każdego Włocha, był ten król od ojczyzny nierozdzielny. Pogrzeb był imponująco smutnym. Jako jego adjutant szedłem koło trumny, mogłem więc zauważyć, jakie wrażenie robiła na ludzie ta trumna, przechodząca ze zwłokami ukochanego króla. Ze wszystkich przepelnionych okien dawały się słyszeć łkania, łzy się lały, i u niejednego karabiniera, którzy pod bronią szpaler na ulicach tworzyli, łza w oku błysnęła. A chociaż masa narodu zalegała place, wszędzie panowała cisza grobowa; nikt nie jest w stanie opisać pogrzebu tego ukochanego ojca narodu włoskiego.

Ogólnie przypisują Cavourowi zasługę odbudowania Włoch, ale król Wiktor Emmanuel osobiście dużo się do tego przyczynił, gdyż był szlachetny, miał umysł bystry, takt wyborczy i dar ujęcia sobie ludzi. Był przytem pierwszym patryotą włoskim. Nie trzeba zapomnieć i o Garibaldim, który dużo też się przyczynił do zjednoczenia Włoch, mimo licznych błędów, popełnionych skutkiem słabego charakteru.

Nazajutrz miałem audyencyę u nowego króla Humberta. Z jego rozmowy widziałem, że żywo czuł i rozumiał, jak trudnem zadaniem jest dla niego, być następcą ojca, tak uwielbianego przez cały naród. Ale odwaga, szlachetność, poświęcenie dla swego narodu, które tę dynastję cechują, wkrótce zjednały serca nowemu monarsze, stał się godnym swego ojca. Niemiał on już Cavoura do pomocy, ale miał jeszcze silniejszego pomocnika do zdobycia serc ludzkich w królowej Małgorzacie, kobiecie rzadkiej i prawdziwie czarującej. Prowadzi ona życie nadzwyczaj czynne; każda godzina dnia ma swoje właściwe zajęcie — ona wszystko czyta, co czytania godne, i wszędzie jest, gdzie jej bytność użyteczną być może. Rozmowa z nią jest tak przyjemną, iż za każdym razem co miałem honor być przez nią przyjętym, zapomniałem po kilku minutach, że rozmawiam z królową i zdawało mi się, że mam przed sobą czarującą osobę z towarzystwa. Wychodząc, z wielkiem zadziwieniem spostrzegałem się, że przesiedział u królowej $\frac{1}{2}$ godziny i więcej.

Prawie równocześnie ze śmiercią Wiktora Emmanuela, nastąpiła śmierć mojej teściowej w Wiesbaden. Udała się tam dla zdjęcia katarakty, do zakładu Dra Pagenstechera. Ten niby

sławny okulista tak lekkomyślnie i nieroztropnie wykonał tę operację, że w skutek niej ona tamże umarła.

Wasza matka, która z Padwy do niej się udała, żeby ją pielęgnować, miała tę smutną pociechę, że była jedyną z rodziny, obecną przy jej śmierci. Mój teść znajdował się wówczas na Wołyniu, a to dlatego, że wasza babka, nie chcąc go niepokoić, nic mu nie powiedziała o swoim zamiarze robienia operacji. Gdy się o tem dowiedział, wyjechał natychmiast do Wiesbadenu, ale już w drodze doszła go wiadomość o śmierci żony. Przyjechał więc do Padwy. Ztamtąd miał zamiar udać się do Wiesbadenu dla przewiezienia zwłok zmarłej żony na Wołyń, do grobu Czetwertyńskich, znajdującego się w Horyńgrodzie. Widząc, jak był przygnębiony, ofiarowałem się zastąpić go. Zkomunikowałem się tedy z moim szwagrem Augustem i zjechaliśmy się w Wiesbaden. Naprzód przywieźliśmy zwłoki do kaplicy Korostowskiej (folwark Płoski), a ztamtąd uroczyście przeprowadziliśmy je do grobu horodyńgrodzkiego. Wasza babka dużo dobrego robiła, ale nie chciała, żeby o tem wiadano, tak umiała dawać, że lewa ręka nie wiedziała o tem, co prawa robiła. Żal jednak serdeczny wszystkich oficyalistów na pogrzebie zdradził ją i dowiódł, że dużo jej zawdzięczali i że z jej śmiercią opiekunkę stracili. Wracając z Wołynia, wstąpiłem koło Gratzu do baronowej Vay z domu hr. Wurmbbrand, o której dużo słyszałem, jako o sławnem medium. Miałem do niej list od jej przyjaciółki. Ta światowa, wówczas przystojna i bardzo przyjemna kobieta, mogła bardzo zainteresować swoim (naturalnem i bez wszelkiej *mise en scene*)

mówieniem o skutkach swego usposobienia, które nawet z największą gotowością pokazywała. Jako medium trzema sposobami się manifestowała: 1°. Patrząc w szklankę pełną wody, w której, po pewnym czasie zaczynała widzieć różne rzeczy, co już słowami opisywała. 2°. Kładąc się na kanapie i biorąc do każdej ręki gruby kawałek kryształu; wskutek tego po pewnym czasie zasyiała (*les transes*) i w stanie uśpiania także widzenia miała i słowami je opisywała. 3°. Biorąc nareszcie ołówek do ręki i pisząc. Tym trzecim sposobem pytała się o objaśnienie tego, co z pierwszego i drugiego sposobu niewyraźne lub niezrozumiałe dla niej się zdawało. Wprawdzie nie było potrzeby żadnego objaśnienia, gdyż ja doskonale wiedziałem, o kim i co mówiła. Być medium jest to posiadać siłę dotąd niewytłómaczoną. Co jednak bardzo illuzyę psuje, to to, że ją posiadają często osoby wcale nieszczególnego wykształcenia i moralności i że masa szarlatanów łatwości ludzi w tym względzie nadużywa.

Ale że ta siła egzystuje i zawsze egzystowała, ja o tem nie wątpię. Tylko praktykowanie spirytyzmu do niczego innego nie prowadzi, jak tylko do bałamucenia ludzi i Kościół bardzo dobrze zrobił, zabraniając zajmowania się spirytyzmem — jakkolwiek nie można odmówić spirytyzmowi tej wielkiej zasługi, że nawet największych niedowiarków o nieśmiertelności duszy przekonał. Wielu utrzymuje, że tylko złe duchy się manifestują, a dobre duchy przez pośrednictwo medium ludziom się nie objawiają. Jestto kwestya dla mnie trudna do rozstrzygnięcia; ale ponieważ wszystkie duchy, złe i dobre, od Boga zależeć muszą, zdawałoby się, że jeżeli P. Bóg złym du-

chom pozwala ludzi kusić, to dobrym od tej pokusy dozwoli bronić. Zapewne, że na tamtym świecie dużo złych duchów być musi i że one starają się z tym światem skomunikować, ale mnie się zdaje, że dużo zależy od intencji tych, którzy się spirytyzmem zajmują. Czy oni są tylko ciekawi, czy też mają intencję oświecenia się i wyjaśnienia sobie tego, co Kościół nakazuje. A w tym wypadku P. Bóg, widząc ich dobrą i szczerą intencję, może im dobre duchy zsyłać. Są to tylko przypuszczenia ; w każdym razie, szczęśliwy ten, co się kontentuje wiarą, którą mu jego religia nakazuje — gdyż w jakiej wierze kto się rodzi, to jemu za zasługę, lub też za winę poczytywać się nie może ; z tego tylko człowiek rachunek zdawać będzie, co swoją wolą i rozumem uczynił.

Rok za rokiem schodził szybko w pracach wojskowych aż do r. 1881. Tegoż roku w lecie z moim teściem i z moją bratową Anną de Loulay pojechałem na Wołyn i tam zająłem się administracją majątku waszej matki.

Mając przekonanie, że użyteczniejszym dla was będę, zajmując się w ostatnich latach mego życia administracją majątku, niżeli dłuższym pobyt w wojsku, zażądałem po moim powrocie do Włoch na początku października 1881 r. „la disponibilita“. Przy tej okoliczności król dał mi swój portret, z następującym własnoręcznym podpisem :

*Al Tenento Generale Conte Ladislao Poniński,
Il suo affettissimo, Umberto.*

Otrzymawszy „la disponibilita“, wróciłem na Wołyn już prawie na stałe mieszkanie.

Ale nim przejdę do VI rozdziału mojego pamiętnika, to jest do gospodarstwa wiejskiego, chcę jeszcze skreślić, czyli zrobić wyciąg skrócony, mojego stanu służby wojskowej, oraz innych ważniejszych okoliczności z życia mojego:

STAN SŁUŻBY

Władysław hr. Ponińskiego (syna hr. Augusta i Maryi z hr. Ponińskich), urodzonego dnia 16 lutego 1823 r. w Zrencinie w cyrkule jasielskim w Galicyi. Ożeniony z ks. Olgą Światopełk-Czetwertyńską dnia 22 kwietnia 1863 r. (wdową po ks. Augustie Czetwertyńskim). Naturalizowany poddanym sardyńskim dnia 4 sierpnia 1860 r.

SŁUŻBA, AWANSY i ZMIANY.

	Daty.
Wystąpił z Akademii Inżynierów w Wiedniu jako podporucznik	1843
Podporucznikiem w 1-ym pułku dragonów wojsk austryackich .	1843
Porucznikiem w tym samym pułku	1847
Wystąpił z wojska austryackiego na własne żądanie	1848
Porucznikiem w Legii polskiej na Węgrzech	16 paźdz. 1848
Kapitanem w 1-ym pułku ułanów w tejże Legii	7 grud. 1848
Majorem dowodzącym tym pułkiem	1 maja 1849
Podpułkownikiem dowódcą tegoż pułku	23 czerw. 1849
Uwolnionym od służby przy roz- wiązaniu Legii polskiej	30 paźdz. 1849
Podpułkownikiem dowódcą 5-go pułku ułanów w Legii anglo- polskiej w Turcyi	8 lutego 1856

Podpułkownikiem dowódcą brygady kawaleryi	1856
Uwolnionym od służby przy rozwiązaniu tej Legii	30 lipca 1856
Pułkownikiem dowódcą kawalerii wojska tokańskiego narodowego	25 maja 1859
Jako taki wcielony do armii królewskiej	25 marca 1860
Jako taki dowódcą pułku kawalerii sabaudzkiej	3 lutego 1861
Jenerał-majorem dowódcą brygady kawaleryi	13 lipca 1862
Jako taki adjutantem honorowym J. Kr. M. Wiktora Emmanuela .	23 paźdz. 1865
Jako taki dowódcą dywizyi terytoryalnej w Bari	12 marca 1871
Jenerałem-porucznikiem pozostającym dowódcą dywizyi w Bari	30 grud. 1871
Jako taki dowódcą dywizyi terytoryalnej w Padwie	1 grud. 1873
Jako taki na własne żądanie „in disponibilita“	9 paźdz. 1881
Jako taki en service auxillaire . .	27 maja 1888
Jako taki przeniesionym do Rezerwy	16 wrześ. 1891
Upoważniony do noszenia krzyża złotego z koroną królewską, za skończonych czterdzieści lat służby wojskowej	3 kwiet. 1901

WOJNY — RANY — CZYNY — ZASŁUGI — KRZYŻE — MEDALE.

Daty.

Odbýwał kampanię 1848—1849 o niezaleźność Węgier	1848—1849
Upowaźniony do noszenia medalu węgierskiego za udział w tej wojnie	” ”
Dekorowany krzyżem węgierskim „kawalerskim i komandorskim“	” ”
Rannym od kuli karabinowej i pałasza	” ”
Odbýwał kampanię na Wschodzie w Legii anglo-polskiej	1856
Upowaźniony nosić „medal angielski“ za wojnę Krymską	”
Dekorowany orderem cesarstwa Ottomańskiego Medźidze	1856
Upowaźniony nosić medal otomański za tę wojnę	”
Odbýwał kampanię włoską	1859
Upowaźniony nosić medal francuski za tęż kampanię	”
Dekorowany krzyżem kawalerskim SS. Maurizio e Lazzaro	15 kwiet. 1860
Dekorowany krzyżem oficerskim	5. stycz. 1862
Dekorowany krzyżem komandorskim	31 grud. 1864
Upowaźniony nosić medal utworzony dekretem królewskim za wojnę o niepodległość Włoch, do którego dodano stosowny napis za kampanie	1859 i 1866
Dekorowany krzyżem komandorskim Korony Włoskiej	1 maja 1868

Dekorowany krzyżem SS. Maurizio e Lazzaro wielkim oficerskim .	30 maja 1872
Dekorowany krzyżem komandor- skim Karola III z gwiazdą da- nym przez króla hiszpańskiego Amadeusza	23 czerw. 1872
Dekorowany krzyżem Korony Wło- skiej wielkim oficerskim	26 grud. 1873
Dekorowany wielką wstęgą krzyża Franciszka Józefa daną przez Cesarza austro-węgierskiego .	kwiecień 1875
Dekorowany wielką wstęgą krzyża Korony Włoskiej	27 sierp. 1891

VI.

Pobył na Wołyniu.

Wyjechałem na Wołyń w późnej jesieni w 1889 r. Miałem zamiar, chwilowo zamieszkać w domu ekonomskim w Buhrynie nad Horyniem. Trzeba było tedy wszystko z sobą przywieźć. I wasza matka tak o wszystkim pamiętała i tak mnie wyposażyła, że przyjechawszy na miejsce, znalazłem w danych pakach wszystko co było mi potrzeba: od łóżka, pościeli i firanek, do najdrobniejszych rzeczy, jak ćwieki i konfitury. Wszystko było prócz mebli, te kupiłem w Radziwiłłowie i dwa pokoiki skromnie sobie umeblowałem. Tym sposobem w bardzo krótkim czasie urządziłem się dość wygodnie w tych dwóch pokojach, z których jeden był sypialny, a drugi służył za bawialny, jadalny i kancelaryą. Z tego mieszkania zachowałem miłe wspomnienie, było skromne, ale zarazem bardzo wygodne. Zresztą, najwięcej dwie lub trzy noce w tygodniu w niem spędzałem, gdyż ciągle po folwarkach rozjeżdżać musiałem, bo zaprowadzałem gospodarstwo i administrację, odbierając je z dzierżawy. A jeździłem nocą, bo podzielałem zdanie Anglików, że czas to pieniądze.

To przejście raptowne z życia wojskowego na obywatela wiejskiego miało swoje trudności.

Gdy przyjechałem, żyta od pszenicy rozróżnić nie mogłem, tak było i z innymi szczegółami, dotyczącymi się gospodarstwa i interesów.

Na szczęście, miałem w bliskiej okolicy w Stadnikach doskonałego gospodarza, marszałka Adolfa Jełowickiego, jednego z ludzi, jakich, ze smutkiem powiedzieć można, coraz się mniej na tym świecie spotyka. Ogólnie szanowany i kochany, uważany jest jako patryarcha całej naszej okolicy. U niego więc rady zasięgałem, od niego głównie uczyłem się mego nowego zawodu, i tem samem mogłem coraz lepiej jego poznawać, szanować i kochać.

Razem z marszałkiem mieszkał w Stadnikach jego zięć, p. Wacław Mogilnicki z p. Walentyną, z dwiema córkami pannami Maryą i Jadwigą i z synem Stanisławem, który tylko na wakacje ze szkół do domu przyjeżdżał. Był to dom nadzwyczaj gościnny, przez wszystkich nawiedzany a zatem i wesoły.

Była to wówczas okolica bardzo licznie zamieszkała: o kilka wiorst od Buhryna w Nowostawcach mieszkało młode małżeństwo pp. Leonostwa Zwolińskich, trochę dalej w Dorohobużu pp. Tomaszostwo Jodkowie, jadąc na kolej do Ożenina o kilkanaście wiorst były Koleszniki pp. Wiktorostwa Jełowickich, tuż zaraz Stadniki, o których wyżej wspomniałem, a w samym Ożeninie miły i gościnny dom pp. Gracyanowstwa Jełowickich, którego wielką ozdobą była pani Ewelina z domu Sulatycka. Jadąc z Buhryna do Majkowa, drugiego majątku waszej matki, jeździłem przez Boczanicę pp. Adamostwa Czosnowskich — pałac ich bardzo wystawnie urządzony — tam często na noc zajeżdżałem i do późnej go-

dziny wieczory na miłej gawędce z p. Elżbietą spędzałem. Blizko Majkowa sąsiadują w Dulibach pp. Tadeuszowie Hulewiczowie.

Wasza matka z Padwy najpierw do Turyna się sprowadziła, ażeby być blisko Miccia, który wtenczas w Moncagliari u ks. Barnabitów się znajdował. Później zabrała go ztamtąd do Modeny, gdzie w szkole wojskowej umieszczony był Stefcio. Pierwszego lata t. j. w 1882 r. wasza matka przyjechała z wami do Płoski na wakacye, dokąd i ja się przenieśliem na czas waszego pobytu, sprowadziwszy konie wierzchowe i powozowe. W Płosce mieszkał mój szwagier August, któremu w dziale dostała się sadyba jego rodziców i pradziadów. Podczas naszego pobytu w Płosce, wasza matka gospodarstwo domowe wzięła na siebie, tak, że żadnego ambarasu naszą bytnością nie robiliśmy, tembardziej, że dom tam obszerny i dużo osób pomieścić może.

Wróciwszy z Wołynia zamieszkała wasza matka w Bolonii, gdzie Miccia jako externa oddała do szkół przez księży zawiadowanych. Przyjechawszy do Bolonii w 1883 r., spostrzegłem, że Miccio nie korzystał dużo z tej szkoły i że jest bardzo zniechęcony. Chcąc dociec powodu, naprzód zwiedziłem szkołę, która, przyznaję się, dobrego na mnie wrażenia nie zrobiła, a następnie w dłuższej rozmowie zacząłem się Miccia dopytywać o przyczynę takiego zniechęcenia. Przekonałem się wkrótce, że on na właściwej drodze nie znajduje się, a ponieważ do karyery wojskowej miał najwięcej chęci, przypuszczaliśmy zatem, że ta będzie jego powołaniem.

Zaledwie doszedłem do tego przekonania, czasu nie tracąc, odebrałem Miccia z tej szkoły, i zna-

lażem mu nauczycieli, którzy go mieli przygotować do „Collegio Militare“ we Florencyi.

W tym samym roku Stefcio skończył szkołę wojskową w Modenie i w jesieni postąpił na oficera kawaleryi, kiedyśmy wszyscy razem byli u wujostwa Karolów Gautier w Genewie, gdzie także znajdował się i wasz dziad.

Mimo to, że ciotka Michalina była jeszcze chorą i chodzić nie mogła, spędziłszy u nich kilka tygodni bardzo przyjemnie. Poczem ks. Eustachy wrócił do Paryża, wasza matka z Mieciem do Bolonii, ja na Wołyn, a Stefcio do swego pułku.

Muszę tu także wspomnieć o miłych i ładnych dzieciach Gautierów: najstarsza Louizetka, potem Edward i Karol — wszyscy troje byli wtenczas w domu, co bardzo ożywiało willę, w której ich rodzice mieszkali.

Miecio, wróciwszy do Bolonii, tak się na seryo do nauki przyłożył, że mógł już w 1884 r. (mając lat 15) zdać pomyślnie egzamin i wstąpić do „Collegio Militare“ we Florencyi, zkąd po trzech latach przeszedł do Modeny, a po dwóch z takowej wystąpił jako oficer kawaleryi.

Jednocześnie z wyjazdem Miecia, wasza matka zwinęła dom w Bolonii i do Florencyi się przeniosła, gdzie jej pani Capelli z domu Dzieduszycka odstąpiła swój ładny umeblowany apartament w pałacu Borghese. Sama w willi delle Selve w Ligui cały rok przemieszkała.

Tegoż roku 1884 umarł mój teść w Paryżu w domu waszej ciotki Anny de Loulay. Był on także moim przyjacielem, tem żywszy więc żał za nim uczułem. Przytem był to bardzo sympatyczny i przez wszystkich szanowany starzec.

Jego śmierć była wielką stratą dla wszystkich, co go znali i kochali.

Uwiadomieni o jego chorobie, zaraz z waszą matką pojechaliśmy z Bolonii do Paryża i mieliśmy smutną pociechę pielęgnowania go przez kilka tygodni, ale trudno już go było zrozumieć, gdyż tknięty został paraliżem. Lekarze utrzymywali, że choroba ta długo pociągnąć może, wróciliśmy więc do Bolonii, gdzie byliśmy Mieciowi potrzebni. Depeszą zawiadomiono waszą matkę o pogorszeniu zdrowia ojca — nie zwlekając pojechała do Paryża, ale niestety! już tylko na pogrzeb zdążyła.

Gdy się dom w Sapożynie odrestaurował, wasza matka na całe lato przyjeżdżała na Wołyń, i bardzo gustownie urządziła ten dom, wprowadzie niski, ale obszerny i wygodny. Największą zaletą jego jest harmonia, zachowana w jego umeblowaniu. Pod wszystkimi względami jest to czysto wiejski dom, bez żadnych świecidełek, jedwabów, adamaszków; ogród naokoło jest także bardzo porządnie i ładnie utrzymany.

Najbliższe sąsiedztwo Sapożyna jest Międzyrzecz, gdzie się znajduje kościół nasz parafialny i gdzie w dawnym, rodzinnym pałacu mieszkają pp. Witoldostwo Steccy; niedaleko są także pp. Mieczysławowie Załęscy w Kołownicy, gdzie część roku spędzają. Cokolwiek dalej: Sławuta księstwa Romanostwa Sanguszków, Równo ks. Stanisławów Lubomirskich. Przyjemne i gościnne domy, szkoda, że już oddalone; do Równego jest wprowadzie szosa z Sapożyna, ale za to do Sławuty zła droga i piaski. Ks. Roman z mieszkanców Wołynia jest może ten, którego najdawniej znam, gdyż jeszcze w Paryżu 1856 r. poznaliśmy się i od

tego czasu przyjazne stosunki zachowały się, mimo że rzadko widywać się możemy. Ks. Roman jest to człowiek, który może za wzór całemu obywatelstwu służyć; mimo wielkiej fortuny pracuje i osobiście najdokładniej zajmuje się administracją swoich majątków, które dzięki tej jego pracy doszły do zadziwiającego porządku i rezultatu.

Dom Rówieński, Górką zwany, z gościnności słynący, jest rendez-vous wszystkich obywateli przyjeżdżających do Równego; zwyczajnie można tam także zastać matkę ks. Stanisława, księżnę Zeneidę, osobę nadzwyczaj dystygowaną, której towarzystwo jest bardzo przez wszystkich cenione. Jeszcze dalej w Mokwinie mieszkają Bronisławowstwo Walewsko-Ponińscy. Pani Apollonia z domu Ponińska, córka Seweryna, urodzona w Galicyi, zamieszkała z matką w Siedliszczach u stryja Bolesława. Wyszła za Bronisława Walewskiego, który, z powodu wygasłej linii Bolesława, dołączył nazwisko Ponińskich do Walewskich.

Blżej znacznie w Pieczywodach a potem w Lipkach, mieszka marszałkowa Mikuliczowa, osoba wielkiego poświęcenia i dobroci, a z nią razem młoda para: syn jej Marcelli z żoną. Niedaleko od nich pp. Czesławowstwo Pruszyńscy w Pustomytach, także mili i towarzyscy.

Jak widzicie sąsiedztwa nie brakowało, i jeżeli z niego dużo korzystać nie mogłem, to dlatego, że dawniej czas, a teraz zdrowie i siły moje na to nie pozwalają.

Co nam także bardzo uprzyjemniało nasz pobyt letni w Sapożynie, to przyjazd na dłuższy czas waszej ciotki Anny z córkami i waszej ciotki Misi z mężem i córką. Ci ostatni, ku wielkiej na-

szej przykrości — bo to nas pozbywało towarzystwa ich w lecie — wybudowali sobie dobry dom mieszkalny w majątku swoim Borodczycach; z tego powodu na krótko tylko zaglądali do Sapożyna, tembardziej, że w jesieni wracali do Nizy.

Co drugi rok. otrzymawszy urlop, przyjeżdżaliście także i wy, moi kochani, co było wielką dla nas radością, tylko że te wasze urlopy były bardzo krótkie.

W r. 1887 odbył się w Paryżu ślub waszej kuzynki Julki de Loulay z baronem de Rumfort, młodym człowiekiem, bardzo sympatycznym i dystygowanym. Z Florencyi pojechaliśmy na ten ślub ze Stefanem. Prócz towarzystwa francuzkiego, było tam i polskie dość licznie reprezentowane. W domu rodziców Julki było śniadanie na kilkadziesiąt osób, podczas którego siedziałem między hr. Izą Działyńską z domu Czartoryską a hr. Maryą Branicką z domu Sapieżanką. Obie te panie oddawna mnie były znane (gdyż jeszcze z ich pannieńskich czasów), skutkiem czego, długie i ceremonialne śniadanie krótkiem mi się wydawało, bo na przyjemnej i wesołej pogawędce prędko zeszło. Wieczorem rodzina odprowadziła młodą parę na stacyą St. Lazare, z której w okolicę Paryża wyjechali.

W 1888 r. pojechaliśmy z waszą matką do Włoch. Ztamtąd, nie czując się zdrowym, udałem się do Nizy, dokąd mnie Gautierowie, będąc u nas na wsi w lecie, bardzo zapraszali. Mieszkając u waszych wujostwa, nie tylko nie brakowało mi na żadnych wygodach, ale mogłem też korzystać z ich miłego towarzystwa. Wiezorami, jeśli u nich zebrania nie było, najczęściej wychodzili z domu, a ja im towarzyszyłem w takich

tylko razach, gdy się wybierali do dobrze mi znajomego domu. Do jednych z tych, gdzie lubiłem bywać, należał dom hr. Maryi Branickiej, do której często na obiady byłem proszony. Ona swoją sympatyczną osobistością i miłą, ożywioną rozmową, uprzyjemniała gościom pobyt w swoim domu.

Wycieczki do Monte-Carlo służyły także za rozrywkę, gdyż w Monaco byli umieszczeni w szkołach Edward i Karol, synowie Gautierów. Odwiedzając ich, próbowałem także szczęścia w Monte-Carlo. Nigdy nie miałem żyłki do gry, nie było więc to dla mnie miejsce niebezpieczne. Nigdy też do znacznego dobrego rezultatu nie doprowadziłem, ale zawsze w końcu mego pobytu w tych stronach trochę wygranej z sobą zabierałem.

Z Nizzy wróciłem do Florencyi, gdzie mieszkała wasza matka i z nią pojechaliśmy na Wołyń. W 1889 r. Stefcio wziął urlop na czas dłuższy, żeby lepiej poznać życie i zatrudnienia wiejskie; w ostatnich bowiem czasach, zniechęcił się był do życia wojskowego i miał wielką ochotę ożenić się i osiaść na wsi. Chociaż długi czas temu się opierałem, bo znajdowałem, że jeszcze za młody był, ażeby żoną i kłopotami gospodarskimi już się obarczać — zgodziłem się jednak wreszcie, aby Stefcio przed stanowczą decyzją opuszczenia wojska wziął urlop na dłuższy czas i z nami w Sapożynie pomieszkał. Bo znajduję, że gdy synowie przestają być dziećmi, ojciec powinien starać się na nich wpływać i swoim doświadczeniem ich oświecać, ale nigdy absolutnie ich projektom na przyszłość się nie sprzeciwiać, chyba, że te ostatnie za przeciwne ich dobru uważa.

W jesieni 1889 r. będąc w Sapożynie, otworzyła się mi rana na nodze, i tak uporczywą w zagojeniu się okazała, że chociaż przez kilka miesięcy (z małemi przerwami) leżałem, zagoić się jednak nie chciała. Nareszcie, na początku listopada zdecydowałem się wyjechać na kurację zagranicę. Skierowałem drogę przez Warszawę i Poznań do Berlina, ażeby tam poradzić się sławnego dr. Bergmana.

Przybyłem późno w nocy do Poznania i stanąłem w Bazarze, gdzie większa część obywateli się zatrzymuje. Rano zapytałem kelnera, kto jest z przyjezdnych w hotelu — wymieniał między innymi hr. Edwarda Ponińskiego, którego właśnie miałem zamiar odwiedzić we Wrześni, a którego nie widziałem od 1856 r. Ucieszony tą wiadomością, poszedłem zaraz do niego i zastałem go jeszcze w łóżku. Wprawdzie poznał mię natychmiast, ale przypuszczam, znalazł mię bardzo zmienionym, co zaś do niego, byłem naprawdę zdziwiony, widząc, jak mógł ten człowiek w przeciągu 33 lat tak mało się zmienić. Prócz tego, że p. Edward miał włosy trochę poszpakowaciałe, ale ani jego postać zgrabna, ani jego żywe ruchy nic się nie postarzały.

Obiecałem mu, po małym odpoczynku, nazajutrz do Wrześni pojechać; co też uczyniłem. a nawet i cały tydzień tam przebyłem, bo doktor, którego wezwałem, aby mi ranę opatrzył, poradził dłuższy odpoczynek zanim się w dalszą drogę puszcze.

Przez czas mego pobytu we Wrześni, kilka osób, które się o moim przyjeździe dowiedziały, przybyło tam dla odwiedzenia mnie, a mianowicie Bronisławowstwo Ponińscy i Wiktor Unrug,

który jako oficer podczas kampanii Krymskiej w moim pułku służył, a którego dorosłych już synów w Poznaniu poznałem. Był wówczas proboszczem we Wrześni Monsignor Stablewski, który często wieczorami łaskawie ze mną prześiadywał, gdyż w ostatnich dniach przed wyjazdem lekarz kazał mi w łóżku leżeć. Bardzo mnie miłe były te odwiedziny X. Stablewskiego, lubiłem zawsze rozmowy i dyskusye z księżmi oświeconymi i intelligentnymi, a on do tej liczby należał, czego najlepszym dowodem, że wkrótce potem został mianowany arcybiskupem poznańskim.

Stan mojej nogi pogorszył się w podróży: Bronisław Poniński zaproponował więc odprowadzić mnie do Berlina i ułatwić widzenie się z Bergmanem, co oczywiście z wdzięcznością przyjąłem.

Przybywszy do Berlina, nazajutrz wezwałem Bergmana, który po opatrzeniu mojej nogi, zapewnił, że zasypując tę ranę jodoformem, w kilka tygodni zagojenia jej doczekać się powinienem.

Zaopatrzywszy się w leki przepisane przez Bergmana, puściłem się już sam w drogę do Florencyi, dokąd w niebardzo dobrym stanie przyjechałem. Na rekomendacyę moich znajomych, wezwałem młodego doktora Butti, prosząc go, żeby codziennie przychodził opatrywać mi nogę, w sposób wskazany przez Bergmana, Tak minęło dwa miesiące, podczas których z łóżka się nie ruszałem, ale mimo to rana zamknąć się nie chciała. Zwątpiłem już o dobrym skutku kuracyi i prosiłem Miccia, który codziennie do mnie przychodził po kilka razy, aby sprowadził prof. Rosattiego.

Opatrzywszy ranę, prof. Rosatti powiedział mi, że chociaż za dobry skutek ręczyć nie może, jednak radzi, zaniechać zasypywania proszkiem,

a natomiast polecił przykładać plaster ściągający otwór rany i zarazem gojący. Po jego wyjściu, Dr Butti uśmiechnął się, mówiąc: „Plaster jest to dawno znany środek, proszek zaś jest nowym wynalazkiem“. Ale ponieważ nowy środek mnie tak długi czas nie pomagał, wolałem tamtego spróbować i zaraz posłałem do apteki po plaster. W istocie po kilku tygodniach, rana mi się zamknęła i już w styczniu 1890 r. mogłem wyjechać do Nizy, zachowując jednak wszelkie środki ostrożności, bo nawet, by nogi nie męczyć, noszono mnie z wagonu do wagonu.

Do granicy odprowadził mnie Miecio, a w Ventimiglia czekała już na mnie moja bratowa. W Nizy zastałem już na kolei wygodny powóz i ludzi, którzy mnie do mieszkania przytransportowali. Michalina znana jest w Nizy, jako opiekunka biednych i chorych, za co zasłużyła sobie na najpochlebniejszy tytuł, jaki kobieta otrzymać może: „La servante des pauvres“. W Nizy, lekarz domowy Gautierów, jeszcze kilka dni zatrzymał mnie w łóżku z obawy, aby się rana nie otworzyła, a potem pozwolił mi powoli o kulach po pokoju się przechadzać. Następnie codziennie wynoszono mnie na ręczny wózek, który niegdyś służył mojej bratowej, przed jej cudownem uzdrowieniem w Lourdes. Wyjeżdżałem na nim na „La grande promenade des Anglais“ i tam zatrzymywałem się wśród innych podobnych wózków i krzeseł. Cudny czas, jaki w Nizy zastałem, bardzo korzystnie na moje zdrowie wpłynął i tak widocznie do sił przyprowadził, że już w marcu zacząłem piechotą wychodzić.

Wasza matka, chcąc mnie odwiedzić w Nizy, razem ze Stefciem wyjechała z Sapożyna; w dro-

dze zatrzymała się w Krakowie, gdzie miała zamiar krótki tylko czas zabawić. Stała w Hotelu Saskim, gdzie mieszkała wówczas pani Eliza z Stempkowskich Jaroszyńska z dwiema córkami: Maryą i Janiną. Starsza z nich Marya tak odrazu Stefanowi głowę zawróciła, że już o niczem innem jak o ożenieniu się z nią nie myślał, o czem mnie listownie doniesiono. Znałem te panny, gdy jeszcze wprawdzie dziećmi były, ale nie widząc ich od lat kilku, nie mogłem żadnego mieć zdania o nich. Szybkość, z jaką się ta miłość rozwinęła z jednej strony i pośpiech z jakim się wszystko ułożyło z drugiej, przyznam się szczerze, że mnie cokolwiek przestraszyło, zwłaszcza, iż w tym czasie sam do Krakowa przyjechać nie mogłem; ale wasza matka przybywszy do Nizy, nietylko że mnie zupełnie opisem narzeczonej i rozmaitemi szczegółami o niej, uspokoiła, lecz jeszcze wzbudziła we mnie wielką chęć jak najprędszego poznania jej. Gdy tylko uczułem się na siłach podróżować, wyjechałem do Krakowa na początku kwietnia, w celu poznania mojej przyszłej synowej.

Z drogi telegrafowałem do Stefana, żeby mnie czekał na stacyi kolei w Krakowie, i prosiłem, żeby te panie do mnie tego dnia nie przychodziły, gdyż przyjeżdżając wieczorem, przypuszczałem, że będę bardzo zmęczonym. Ze względu na stan mego zdrowia i z łaski pani Zofii Wołodkowiczowej, przygotowano mi apartament w jej domu, gdzie mieszkała także pani Jaroszyńska. Byłem więc tylko przedpokojem od tych pań przedzielony. Chęć poznania przyszłej synowej przemogła moje zmęczenie, posłałem więc Stefana do tych pań, z zapytaniem, czy mnie jeszcze tego samego wieczora mogą przyjąć. Tymczasem delektowałem

się herbatą i doskonałemi przekąskami, które zastałem już przygotowane w moim salonie.

Stefan wrócił po chwili i powiedział, że pani Eliza sama do mnie przyjdzie. Jakoż zaraz za nim weszła, a wkrótce potem narzeczona, która zrobiła na mnie jak najlepsze wrażenie, sympatycznej, przystojnej i dystygowanej osoby.

Ale pierwszego wieczora mało mogliśmy się zbliżyć do siebie, gdyż Marynia okazała się bardzo nieśmiałą i mało mówiącą.

Mimo, że z mojej strony robiłem wszystko co mogłem, ażeby ośmielić i zbliżyć do siebie moją przyszłą synową — nie wiele to pomagało; w tym celu także jej matka przy stole zawsze ją koło mnie sadzała — lecz trudno było jej nieśmiałość zwyciężyć. Widząc to pani Eliza, tak jakoś ułożyła, że przed podwieczorkiem wszyscy z domu wyszli i Marynię samą ze mną zostawili. To ją zmusiło, robić mi honory podwieczorku i przez czas jego bawić mnie, jako reprezentująca gospodynię domu. Doskonale wywiązała się ze swego zadania, i tych kilka chwil, spędzonych we dwójkę, bardzo nas do siebie zbliżyło. Najzupełniej zrozumiałem, że Stefcio się w niej tak szalenie zakochał, gdyż ja sam, pod wpływem jej inteligencji, miłego obejścia się i interesującej rozmowy, zostałem nią zachwycony. Od tego czasu Marynia już ze mną śmielsza była i wkrótce bardzo dobry i przyjacielski stosunek między nami się wywiązał.

Dn. 27 kwietnia 1890 r. odbył się ich ślub w Krakowie w kościele OO. Jezuitów na Wesołej. Nie wielki ten, lecz niezmiernie miły kościół bardzo ładnie był na ten dzień udekorowany. Ślub dawał Księżę Biskup Dunajewski, ogólnie przez

cały Kraków szanowany i kochany. Drużbami byli: bracia państwa młodych, Edward Jaroszyński i Mieczysław Poniński. Drużkami: młodsza siostra Janinka Jaroszyńska i kuzynka Marynia Żurowska. Te dwie panny, obie miłe i przystojne, bardzo się z charakteru różniły: pierwsza usposobienia poważnego, miała zamiar wstąpić do klasztoru, co też wkrótce potem uskuteczniła, druga zaś była wesoła i światowa. Dotąd, zawsze śluby z pogrzebami porównywałem, gdyż zazwyczaj panna młoda, matka jej, siostry i tak zwane przyjaciółki, łzami się zalewają. Te ostatnie jednak podejrzewam, że chyba dlatego płaczą, iż jeszcze same męża nie znalazły. Zapewne, że małżeństwo jest wielką loteryą, na której można wygrać lub przegrać, i tem ryzykowniejszą, że się już i odegrać nie można. Ale w każdym razie mężczyzna więcej od kobiety ryzykuje, bo poświęca swoją wolność i niazależność, gdy ta przeciwnie wyjściem za mąż okupuje swoją wolność i emancypuje się z niewoli, w której (szczególnie w polskich rodzinach) jest trzymana.

Ten zaś ślub Stefanowstwa miał barwę wesołą, nikt nie płakał, przeciwnie, na każdym znać było zadowolenie. Tak rodzina Jaroszyńskich, jak Ponińskich i Czetwertyńskich licznie były na tym ślubie reprezentowane. Z kościoła pojechaliśmy do Grand Hotelu, gdzie na 60 osób było śniadanie przygotowane. Jak zwykle w takich okazjach, toasty wzniesione były przez Księcia Biskupa Dunajewskiego, ks. Kaliksta Ponińskiego, ks. Janusza Czetwertyńskiego i mnie. Książę Biskup zakończył takowe, wznosząc toast, w którym humorystycznie życzył pannom, będącym w Krakowie, aby jak najprędzej w te same ślady wstąpiły.



WŁADYSŁAW Hr. PONINSKI
jako włoski generał komendant dywizji w r. 1890.

Śniadanie, tak jak i ślub, równie wesoło się odbyło. Po niem całe towarzystwo zebrało się znowu do wielkiej sali tegoż hotelu. W wigilią i w dzień samego ślubu kilkaset telegramów, tak do rodziców panny młodej jak też i pana młodego i do samychże nowożeńców, z różnych stron i krajów, nadeszło. Wieczorem państwo młodzi odjechali do Wiednia, odprowadzeni na kolej przez liczne towarzystwo, które młodą mężatkę pięknymi bukietami obdarzyło.

Rozpisałem się długo o tym ślubie, gdyż to jest z mego życia jeden z najważniejszych faktów, bo z niego, jak się później okazało, weszła do rodziny naszej nie synowa, lecz prawdziwa córka, tak bardzo przez nas ukochana.

Po ślubie Stefanowstwa, zostaliśmy jeszcze z waszą matką kilka tygodni w Krakowie. Wyjazd młodej pary smutek i pustkę za sobą pozostawił, i nasze myśli im towarzyszyły i o nich tylko toczyły się nasze rozmowy.

Kiedym poszedł do Jezuitów, żeby księdzu Ekonomowi za piękne urządzenie kościoła podziękować, powiedział mi tenże, iż jest między nimi stary Jezuita, który prawie nie wychodzi ze swojej celi i nikogo nie widuje, ale kiedy jest w dobrym humorze to im o mnie opowiada, gdyż pod moimi rozkazami służył w 1848 i 1849 r. w czasie kampanii węgierskiej. Prosiłem, aby mnie do niego zaprowadzono, przypominaliśmy sobie dawne czasy, co bardzo rozdobruchało staruszka.

Zanim z Krakowa wyjechaliśmy, Stefanowstwo już z Wiednia powrócili na Warszawę do Sapożyna, gdzie podług pierwszego projektu zamieszkać mieli. Był to dom gustownie przez wa-

szą matkę urządzony, i że dość obszerny, więc mógł ich i nas wygodnie pomieścić.

Ten projekt waszej matce szczególnie się uśmiechał, gdyż pragnęła mieć dzieci przy sobie, ale ja od początku niepraktyczność jego przewidywałem i radziłem, ażeby w Majkowie osiedli. Ponieważ większość głosów była za Sapożynem, co i rodzice Maryni podzielali — ustąpiłem, zostawiając czasowi rozstrzygnięcie, który z dwóch projektów praktyczniejszym się okaże.

Stefanowstwo zostali tedy gospodarzami Sapożyna, a my tam przyjechawszy, uważaliśmy się tylko jako goście. Lecz wkrótce nastąpiła zmiana. Widząc, że nie mają czem się w domu zająć, bo wszystko było już przez waszą matkę urządzone (a nie chcąc żadnych zmian zaprowadzać, czy to przez delikatność dla niej, czy też dlatego, że rzeczywiście znajdowali wszystko dobrze urządzone) zaczęli nudzić się tą beczynnością i za urządzonym przez siebie gniazdeczkiem zatęsknili. Zaproponowałem im, ułożyć się z dzierżawcą Majkowskim, który dopiero od kilku miesięcy tam gospodarował i zaręczyłem, że tam im zajęcia brakować nie będzie. Projekt mój chętnie został przyjęty i wkrótce wykonany. Dzierżawca w skutek odstępnego oddał im zaraz stary dom (dwór), w którym nie mieszkał, z ogrodem, stajnią, wozownią, jednym słowem całą sadybę, zostawiając sobie tylko do wiosny gospodarcze budynki i dom folwarczny. Przerobienie domu i urządzenie ogrodu, do czego się Stefan wziął energicznie i w czem Marynia mu dopomagała, dały im zaraz dostateczne zajęcie, i chociaż z początku bardzo niewygodnie mieszkali, byli zadowoleni z prędkich rezultatów swojej pracy. Muszę tu przyznać się, że

i ja miałem wielką przyjemność widzieć, jak w krótkim czasie potrafili przeistoczyć stary i niewygodny dom w ładne i wygodne mieszkanie i uporządkować duży ale zapuszczony ogród. W końcu marca 1891 r. dzierżawca zupełnie wyniósł się z Majkowa, oddając Stefanowi folwark i gospodarstwo. Tyle razy już się przekonałem, że to, co się nam chwilowo złem wydaje, później na najlepsze wychodzi. Tak i tu. Gdyby Majków nie był w dzierżawie i gdyby Stefan potrzebował był odrazu się zająć urządzeniem domu, ogrodu i gospodarstwem, trudnoby jemu było wszystkiemu wydołać, a tak jedno zajęcie nie było zupełnie ukończone, gdy się już drugie nasuwało. Do gospodarowania dobry gust i energia nie wystarczają, więc tak prędkich, dobrych rezultatów spodziewać się nie można, ale przy jego dobrej chęci i wytrwałości, przy jego żywej intelligencji, nie wątpię, że wkrótce do nich dojdzie.

Od czasu, jak się nasze dzieci do Majkowa przeniosły, przybyło nam jedno z najbliższych i najmilszych sąsiedztw. Mówię, nasze dzieci, gdyżeśmy Marynię jak rodzoną córkę pokochali.

Na początku stycznia 1892 r. wyjechałem z Sapożyna do Florencyi, gdzie Miccio był w garnizonie. Zamieszkałem z nim i do końca marca jak najprzyjemniej czas mi zszedł. Często, całemi wieczorami przesiadywaliśmy we dwóch w domu, gawędząc sobie o różnych rzeczach. On wielkie zamiłowanie okazywał do koni i sportu, starałem się więc być mu użytecznym mojem doświadczeniem i często z nim jeździłem w jego tilbury, gdy on swego konia kursowego „Oliviera“ trenował, na którym w przeciągu 1892 r. kilkanaście wyścigów wygrał.

Dn. 16 lutego tegoż roku wszedłem w 70 rok mego życia. Wracając w końcu marca na Wołyń w stosunkowo niezłym zdrowiu i odpoczęty z kłopotów gospodarskich, nie przewidywałem, jakie wkrótce znaczne zmiany w temże zdrowiu mojem zajdą, jakoteż i w sposobie mojego życia. W Wiedniu zatrzymałem się kilka dni, gdyż tam była moja stryjeczna siostra Krystyna Milieska i brat mój Alfred, który przybył na połów swojej córki Maryni, wydanej za pułkownika kawaleryi austriackiej, barona von Hagen.

W ostatnich latach podupadłem był na nogi i z trudnością mogłem chodzić, a szczególnie stać. Czasem dla cierpień newralgicznych kilka dni w łóżku leżeć musiałem, ale innych dolegliwości, dzięki Bogu nie czułem. Pojechawszy z waszą matką do Stadnik na Święta Wielkanocne, aby je samotnie w Sapożynie nie spędzać, gdyż Stefanowstwo byli na Podolu u rodziców Maryni, dostałem kilka ataków kongestyi do głowy i chwilami zupełnie mówić nie mogłem, lub też niezrozumiale bełkotałem, a wtedy serce i puls nieregularnie działały. Było to zdaje się z powodu złego krążenia krwi. Taki stan trwał dość długo. Dopiero gdy wasza matka wyjechała w czerwcu za granicę, dla zmiany paszportu, Stefanowstwo namówili mnie poradzić się Dra Morkiewicza i sami go sprowadzili. Ten lekarz miał już dobrą reputacyę w okolicy. Po zbadaniu mnie, zapisał niektóre lekarstwa, ale głównie zalecił: absolutny spokój i usunięcie się od wszelkich interesów i kłopotów. Nie trudno mi było dotrzymać ostatniego warunku, gdyż czułem dobrze, że stan mój pozbawia mnie zdolności do jakiegokolwiek zajęcia. Pierwsze dni po wyjeździe waszej matki

spędziłem w Majkowie u Stefanowstwa, ale oni wkrótce musieli także wyjechać do Franzensbadu. Przyjechał więc po mnie mój pocziwy i dobry przyjaciel marszałek Jełowicki i zabrał mnie z sobą do Stadnik, gdzie spędziłem kilka tygodni do powrotu waszej matki, która z Miciem przyjechała z Włoch i razem zabraliśmy się do Sapożyna.

Nie mogę dość wyrazić mojej wdzięczności kochanemu marszałkowi i całej jego rodzinie za ich troskliwość dla mnie. O wiele też zdrowszym niż pierwiej wróciłem do Sapożyna, ale jednakże z wielką jeszcze trudnością czytać i pisać mogłem. Przytem czułem, że moja pamięć ucierpiała, że najmniejsze zajęcie męczyło mnie, jednym słowem, że nie jestem zdatny do prowadzenia dalej administracyi majątku. Ażeby się oderwać od wszelkiego zatrudnienia, pojechałem w lecie na kilka tygodni do Majkowa, gdzie piłem wody mineralne. Ten pobyt bez wszelkich trosk, korzystnie na mnie wpłynął, jednak skutków smutnej choroby nie zniszczył.

Jakkolwiek bolesnem to jest, przyznać sobie, że się do niczego zdolnym już nie jest, jednakże zrozumiałem to i prosiłem waszą matkę, aby mnie chciała zastąpić. Ona zachowała jeszcze całą swoją młodocianą energię i bardzo czynnie zajmuje się administracją. Uważam za prawdziwą łaskę Bożą to, że zrozumiałem stan, w jaki mnie choroba wprowadzała, gdyż inaczej dużo błędów mógłbym być popełnić. Do najtrudniejszych zadań należy: znać siebie i bezstronnie sądzić siebie, wiedzieć do czego się już przestaje być zdatnym i mieć odwagę wycofać się w porę od tego, czego by się już wykonać nie mogło.

Miałem dwie bolesne chwile w mojem życiu: pierwsza w 1881 r. gdy opuszczał służbę wojskową, do której prawdziwie miałem zamiłowanie. druga, w jedenaście lat później, kiedy przestałem trudnić się administracją majątku, co mnie zadawałniało, gdyż dostarczało mi pracy. Dotąd, nigdy zrozumieć nie mogłem, jak człowiek bez zajęcia może żyć i być zadowolonym, teraz jednak zaczynam pojmować, że starzec staje się do dziecka podobnym. Bez stałego zatrudnienia wegetować może, gdyż małe wydarzenie zajmuje go nadmiarę i życie jego zapełnia. Oczekuję śmierci z całym spokojem, bo wierzę w nieśmiertelność duszy i w miłosierdzie Boskie. Moi synowie są już w tym wieku, że się bezemnie obejść mogą. Zatem w obecnym stanie mego zdrowia, nie tylko, że już potrzebnym nie jestem, ale wkrótce mogę się stać zawadą, czego, proszę Boga, aby mnie łaskawie oszczędził, zabierając pierwszej z tego świata, ponieważ wczas umrzeć od nas nie zależy. Przyznaję się jednak do tej słabości: nie chciałbym być pochowany na tutejszym parafialnym cmentarzu w Międzyrzeczu, życzyłbym sobie, aby moje ciało spoczęło na cmentarzu krakowskim.

W lecie 1893 r. przyjechał Miccio z Włoch do Sapożyna, wzięwszy urlop; z przykrością spostrzegłem w nim objawy zniechęcenia się do służby wojskowej. Ale przypisując to oddaniu się z nadto gorącemu pasji sportowej, do czego powodzenie nadzwyczajne na wyścigach dużo się przyczyniło, miałem nadzieję, że z jego niezwykłym szczęściem na wyścigach i zniechęcenie do służby wojskowej minie z czasem. Odebrawszy jednak w jesieni tego samego roku powtórne listy od Miccia. w których coraz więcej nalegał,

ażeby pozwolić mu wziąć dymisyę z wojska, zdecydowałem się sam pojechać do Rzymu, gdzie jego pułk stał garnizonem. Przyjechawszy na miejsce, mogłem się przekonać, że to zniechęcenie po części słuszne miało powody, a ponieważ zawsze byłem zdania, że karyera wojskowa, jeśli się niema „le feu sacré“, bardzo niewdzięczną i uciążliwą się staje, zgodziłem się na dymisyę Miecia, którą otrzymał w końcu grudnia 1893 r.

Będąc w Rzymie, byłem naturalnie u króla, który przyjął mnie ze zwykłą dobrocią i życzliwością. Znalazłem go po dwóch latach niewidzenia, znacznie posiwiałego i zestarzałego.

Byli równocześnie ze mną w Rzymie pp. Konstantostwo Wołodkowiczowie, u których poznałem p. Henryka Sienkiewicza, z czego bardzo rad byłem, bo talent jego oddawna podziwiałem. Wigilię Bożego Narodzenia spędziliśmy wszyscy razem w Hotelu Rzymskim, gdzie pp. Konstantostwo mieszkali i dokąd mnie i Miecia zaprosili. W ostatnich dniach grudnia wyjechaliśmy z Mieciem do Florencyi; tam zatrzymawszy się niedługo, udaliśmy się do Krakowa, gdzie już wpierw, przed dymisyą Miecia, miałem zamiar dla mego zdrowia zimę spędzić. Przerwawszy karierę wojskową, już Mieciowi nie pozostawało nic innego, jak gospodarować. Miałem więc zamiar, z wiosną oddać go gdzieś na praktykę gospodarską, a tymczasem aby ze mną w Krakowie pozostał, towarzystwu tamtejszemu się przedstawił i korzystał z karnawału — także, by użył ten czas na ćwiczenie się w polskim języku, w którym to celu kupiłem mu francusko-polską gramatykę i słownik. Uprzedzałem go, by o ożenieniu tymczasem nie myślał, gdyż z dwóch powodów jestem temu prze-

ciwny: 1-szy najgłówniejszy, że jest jeszcze za młodym (gdyż wówczas nie był skończył 25 lat), 2-gi bo życzyłem sobie, żeby przez dwa lata odbywał praktykę gospodarską, zanim o ożenieniu się myśleć zacznie. „L’homme propose et Dieu dispose“. Tak też i wtenczas inaczej Bóg pokierował i pewnie lepiej, gdyż On wie dobrze, co każdemu z nas potrzeba — On naszym ojcem, przyszłość znającym, wszechmocnym i nieomylnym, a my ziemscy ojcowie słabi i omylni, przed którymi przyszłość zakryta.

Ponieważ dla mnie zanadto uciążliwem byłoby bywanie na wieczorach, szczególnie na balach, które się tak późno kończą, prosiłem hr. Antoniego i Stanisława Wodzickich, ażeby zechcieli łaskawie moim synem zaopiekować się i przedstawić go towarzystwu krakowskiemu, czego się z uprzejmą gotowością podjęli i wkrótkim czasie dopełnili, tak, że Miecio miał prawie wszystkie swoje wieczory zajęte. Niebawem spostrzegłem, że Mieciowi bardzo podobała się panna Amelia Jastrzębska, na co szczególnej uwagi nie zwracałem, wiedząc, że to jest panna, która ogólnie używała reputację bardzo dystygowanej osoby i wszystkim się podobała, gdyż nie tylko była przystojną i intelligentną, ale prawdziwą artystką w malarstwie i muzyce. Widząc jednak, że to podobanie w miłość się przemienia i do tego w miłość u młodych ludzi nie zwyczajną, gdyż Miecio zapewniał mnie, że nie kocha się w niej tylko jako w kobiecie, ale jak w istocie wyższej, którą nadewszystko szanuje i podziwia i że to jest zupełnie inne uczucie, jak te, które do innych panien dotąd odczuwał, zapragnąłem i ja bliżej poznać pannę Amelię, chociaż już ją cokolwiek

znałem. Zainteresowany entuzjazmem Miecia, poszedłem tedy w dniu, w którym pani Jastrzębska przyjmowała, w zamiarze zbliżenia się do jej córki. Po dłuższej z nią rozmowie, wyszedłem z salonu, z przecuciem, że ona będzie moją synową — chociaż wtenczas jeszcze, bardzo daleko do tego było — ale wierząc, że mąż i żona od Boga są sobie przeznaczeni, nabrałem przekonania, że panna Amelia przeznaczoną mi była na synową. Przyszłość okazała, że przecucie moje nie było mylnem — bo mimo iż w początkach różne trudności na drodze stawały, to jednak miłość wzajemna młodych ludzi potrafiła je zwyciężyć. Hr. Zygmunt Pusłowski, mieszkający w Krakowie, do którego Miecio bardzo się był przywiązał, gdyż był jego doradcą w każdej trudnej chwili, czynną rolę odgrywał w tym romansie. Ja zaś, przez ten czas bardzo spokojne życie prowadziłem, bo, prócz na obiad do Resursy, a często do księstwa Heliodorostwa Czetwertyńskich i do pp. Henrykostwa Rodakowskich, mało z Hotelu Saskiego wychodziłem, a wieczory najczęściej spędzałem u mojej stryjecznej siostry, pani Krystyny Milieskiej, która także w tym samym hotelu mieszkała.

Krakowskie towarzystwo, z dawniejszych czasów, znane mi już było, ale wśród nowych znajomych wyróżnić muszę państwa Kazimierzostwa Laskowskich, delegatów krakowskich, którzy odznaczali się swoją uprzejmością; w końcu karnawału dali u siebie wielki bal, jedyny na którym byłem, gdyż odmówić nad wszelki wyraz grzecznym zaprosinom pani Laskowskiej niepodobna mi było. Na tym balu niczego nie brakowało, prócz świeżego powietrza, bo mimo, że towarzystwo, szczególnie męskie, ciągle się zmieniało i że apar-

tament był obszerny, wiekła była ciżba, gdyż cały prawie Kraków został zaproszony. Gospodarstwo robili honory ze swoją zwyczajną gościnnością: pani Laskowska umiała być wszędzie, każdym gościem się zainteresować, każdego zabawić, co się niemało do ogólnego zadowolenia przyczyniło.

W końcu kwietnia wyjechałem z Krakowa. Miecio był już wówczas po zaręczynach z p. Amelią; wkrótce też przyjechał na Wołyni, żeby się gospodarstwu choć trochę przypatrzyć, i w konie, powozy etc. uprowadować, gdyż ślub został na 16 lipca naznaczony.

Podczas naszego pobytu w Sapożynie, Miecio jeździł do swojej narzeczonej, która z rodzicami, p. Stanisławem i p. Maryą z Dembińskich Jastrzębską, w Jurkowie, w Królestwie Polskiem, mieszkała.

Czas do ślubu, wśród zajęć, nam rodzicom, prędko minął, gdyż trzeba było nietylko apartament młodej parze przygotować, ale także nową stajnię i wozownię postawić, gdyż te, co były w Sapożynie, okazały się za małe, a że to były stare budynki, których nie można przerabiać, ponieważ znana jest rzeczą, że stary budynek póty tylko stoi, póki się go nie ruszy, a raz ruszywszy, to się ze wszystkich stron walić zaczyna, więc pobudowanie nowych budynków stało się rzeczą konieczną. Wasza matka, która głównie tem wszystkiem się zajmowała, miała dużo kłopotów na głowie, żeby te roboty przed ślubem wykończyć. Miecio nas wyprzedził do Krakowa, a Stefanowstwo i my przybyliśmy tam na kilka dni przed ślubem, który odbył się jak było postanowione dnia 16 lipca przed południem w kościele OO. Kapucynów.

Kościół był dnia tego kwiatami ślicznie ozdobiony i bardzo starannie urządzony, a podczas ceremonii ślubnej, przez krewnych i znajomych obu rodzin, licznie napełniony. Po ślubie grono weselne udało się do pp. Jastrzębskich, którzy wszystkich na śniadanie zaprosili. PP. Jastrzębscy mieszkali na pierwszym piętrze w pałacu Sanguszków, mieli więc obszerny i piękny apartament i zrobiwszy tego dnia z dużego salonu salę jadalną, mogli bardzo licznie zaproszonych gości pomieścić przy stole, w formie podkowy ustawionym. Po różnych toastach i doskonałym śniadaniu, goście się rozeszli, a młoda para wieczornym pociągiem odjechała do Lwowa, gdzie nazajutrz kilka godzin tylko się zatrzymała, oczekując pociągu odchodzącego do zabranych prowincyj, którym na Radziwiłłów i Równo wprost do Sapożyna się udała. Tam przez miesiąc samych ich pozostawiliśmy.

VII.

O gospodarstwie.

Nie będę tu wchodził w szczegóły gospodarskie, gdyż doświadczeniśi odemnie już o tem pisali, wspomnę tylko o wrażeniach, których doznałem gospodarując. Jak już wspomniałem, przybyłem na Wołyń w 1881 r. ażeby się zająć administracją majątku waszej matki. Był to dla mnie, zupełnie nowy rodzaj pracy, gdyż nigdy w życiu mojem nie gospodarowałem. Ale przy dobrych chęciach, wytrwałości, posiadając już znajomość innych administracyj i nie wchodząc z początku w szczegóły, tylko zajmując się głównie tem, aby dostarczać wszystkiego czego gospodarstwo potrzebuje, udało mi się w ruch je wprowadzić i choć mogłem popełnić niektóre błędy, jednakże doprowadziłem majątek do lepszego bytu i lepszych rezultatów.

Pierwsze lata były bardzo trudne, gdyż część majątku odebrałem z długoletnich dzierżaw żydowskich bardzo zniszczoną, i trafiłem na kilka lat z rzędu nieurodzajnych, w ciągu których właśnie trzeba było na odbudowanie budynków i na inne potrzeby wielkie robić nakłady. Największą trudność miałem z tutejszymi ludźmi, zaczawszy od oficyalistów, skończywszy na pa-

robkach. Wszyscy w tym kraju przywykli do nieporządku i niemają żadnego poczucia obowiązku. Dla nich dobro właściciela jest rzeczą obojętną i tylko o tem myślą, aby swoją służbę odbyć w jak najłatwiejszy sposób, nie frasując się bynajmniej tem, jakie z tego będą rezultaty.

Widząc to, doszedłem do przekonania, że najpewniejszy, jeśli nie jedyny sposób, dojścia do dobrych rezultatów w gospodarstwie jest: tantiema, czyli zainteresowanie swoich współpracowników pewnym udziałem w czystym dochodzie. Trudno żądać od ludzi zupełnie prostych, jak parobcy, a nawet od ludzi z pewnem ale niedostatecznem wykształceniem, jak oficjaliści, żeby mieli tak wygórowane poczucie obowiązku, iżby pracowali dla właściciela i jego dóbr jakby dla siebie i swojego własnego interesu. Postanowiłem już więc w 1886 r., że 10% od czystego dochodu ekonomia będzie pobierała t. j. w pewnej proporcji zaczawszy od parobka do rządcy. Pod czystym dochodem rozumiem te pieniądze, które się każdemu folwarkowi zostają po opłaceniu wszelkich potrzeb gospodarskich, dzierżawę za ziemię która posiada 10% za wartość remanentu tak żywego jak martwego. Tantiema ma także tę dobrą stronę, że książka kasowa każdego folwarku musi być akuracie prowadzoną. Wszystko co folwark daje do dworu, prócz słomy i plewy, które się nawozem wracają, jest obrachowane na pieniądze i jako dochód folwarku zaliczone.

Tantiema polega na zasadzie połączenia pracy z kapitałem i jest bez wątpienia nietylko jedną z najskuteczniejszych, ale oraz i z najsprawiedliwszych. Zachodzą pewne trudności w obrachunkach tantiemy, ale właściciel powinien zachować

sobie prawo rozstrzygnięcia takowych, przyczem powinien się kierować uczuciem sprawiedliwości. Do tych trudności należą: świeżo wykopane rowy, nowe budynki, których koszta nie mogą się zwrócić w jednym roku. Od tego folwark powinien rocznie przez 10 lat płacić amortyzacyi 10%.

Utrzymywanie rządcy, rachmistrza i wszelkich oficyalistów, którzy do głównego zarządu należą, powinno być rozłożone na wszystkie folwarki, stosownie do ilości ich ziemi. Fantastyczna gratyfikacya nie może nigdy zastąpić tantiemy, gdyż nie polega tak dalece na sprawiedliwości i nie jest tak skutecznym bodźcem do pracy.

Budynki powinny odpowiadać swemu celowi, ale być zbudowane jak najtańszym kosztem, gdyż dobroć budynku nie od piękności jego zależy, a pieniądze, które przez amatorstwo w nie się wkłada, żadnej korzyści nie przynoszą. Wogóle, trzeba w gospodarstwie wyrzec się wszelkiego amatorstwa, chcąc je racjonalnie prowadzić, t. j. w sposób, który gruntu nie wyniszcza, a jak największe dochody przynosi. Na rowy i jamy do osuszenia mokrych gruntów nie trzeba żałować pieniędzy, jakoteż na dostateczną ilość roboczego remanentu, a to dlatego, aby w porę rola została wyrobiona i zasiana. Oprócz remanentu roboczego trzeba jeszcze trzymać remanent dla robienia nawozu, o ile na to pasza dozwala. Dla zimnych gruntów najlepsze są owce, ale w takiej liczbie, w jakiej mogą być dobrze wykarmione, bo jeśli pasza jest niedostateczna, to się otrzyma wręcz przeciwny, czyli szkodliwy rezultat dla gospodarstwa, gdyż nietylko, że brak paszy zmniejszy produkcję nawozu, ale także wskutek niedostatecznego pokarmu remanent roboczy nie będzie

miął potrzebnej siły do wyrobienia dobrej roli, owce zaś mniej wełny produkować będą. Jako remanent roboczy w majątkach, gdzie są wypasy, lub gdzie się produkuje dostateczna ilość paszy, jestem przekonany, że dobrze jest trzymać woły, które najtaniej rolę obrabiają. Jest jeszcze ta korzyść, że od wiosny do jesieni w pługu lub innem narzędziu rolniczem chodzą. i już ani przez gospodarza folwarku, ani przez rządcę majątku, do żadnej zwózki ani posyłki oderwane być nie mogą. Prawda, że woły mniej od konia w ciągu dnia robią, ale też za to ich utrzymanie kosztuje mniej niż połowę. Mimo tego, niezbędnem jest także trzymać konie w pewnej ilości.

Książek rolniczych nie brak, ale brak jest fachowych i racjonalnych gospodarzów na rządców, takich, którzyby posiadali niezbędną znajomość teoryi przy racjonalnie odbytej praktyce. Ale gdybym miał wybierać między teoretykiem wychodzącym ze szkoły agronomicznej, a praktykiem, który z pomocnika czyli pisarza, a potem z ekonoma wreszcie na rządcę wyszedł, wolałbym zawsze tego ostatniego. Być racjonalnym gospodarzem a zarazem dobrym administratorem na kilku folwarkach, jest daleko trudniejsze, niż to sobie obywatele wyobrażają i należy może do najcięższych zadań. A mianowicie dlatego, że nigdy rezultatu naszej pracy przewidzieć i naprzód obrachować nie możemy, gdyż takowy zależy dużo od zmian temperatury: słońca lub pogody, deszczu lub posuchy i t. d. — tak, że to, co w jednym roku jest powodem złego rezultatu, to w następnych, w innych warunkach klimatycznych, staje się przyczyną świetnych rezultatów. Jednem słowem, niema podług mojego zdania,

niepewniejszego i więcej ryzykującego rzemiosła jak gospodarstwo, gdyż trzeba co roku, mniej więcej, ten sam kapitał w ziemię włożyć, niemożąc naprzód wiedzieć, ile ta ziemia da dochodu.

Praca gospodarcza jest interesującą, ale i bardzo trudną w terażniejszych warunkach i często bardzo niewdzięczną. W dzierżawę zaś ziemię oddawać, jest to żyć z kapitału, gdyż po pewnych latach, w czasie których dzierżawca starał się (co bardzo naturalnem) wyciągnąć z tej ziemi, co tylko mógł, a wydać jak najmniej na utrzymanie budynków, majątek na wartości traci nieomal tyle, ile tenby właściciel przez czas dzierżawy wybrał. Jako konkluzję moich uwag o gospodarstwie, zacytuję słowa, powiedziane przez marszałka Adolfa Jełowickiego w jego wskazówkach gospodarczych: „W dzisiejszych czasach, kto czuje, że talentu rolniczego nie posiada, niech lepiej obierze inny zawód. Dziś rolnictwo jest przemysłem, który oprócz ziemi potrzebuje logiki i uzdolnienia“.

VIII.

Zapatrzywanie na terażniejszą młodzież.

Często, w czasie pisania tych pamiętników, bywałem zniechęcony myślą, że one na nic się nie zdadzą, ale usłyszawszy od człowieka intelligentnego i poważnego, że ten, który po sobie zostawia pamiętniki, źle lub dobrze napisane, oddaje tem usługę społeczeństwu, nabrałem ochoty wytrwania w dokończeniu swoich, chociaż nie łudzę się wcale myślą, aby moje pamiętniki komukolwiek usługę oddały. Zdaje mi się jednak, że w każdym pamiętniku znaleźć można przykład lub przestrogę, chociaż terażniejsza generacya nie przypuszcza, ażeby mogła czegokolwiek od przeszłej się nauczyć i ma się za daleko wyższą i mędrszą. Zresztą, niema się czemu dziwić, wszak narody także z historyi innych narodów nie korzystają i w te same błędy wpadają. Dla czegoż więc człowiek z życia i doświadczenia drugiego miałby korzystać. Im więcej się przypatruję terażniejszemu pokoleniu, tem więcej dochodzę do przekonania, że są to ludzie po większej części bez równowagi, brakuje im nieraz rzeczywistego gruntu, a jeśli i jest jaki, to słaby i chwiejny. Widocznie jakiś kamień, na którym głównie przodkowie ich się opierali, usunął się, lub też całkowicie

odjętym im został. Prawie każdy z młodych ludzi ma pewną dozę cynizmu i żadnej prawdy, żadnemu szlachetnemu uczuciu się nie podda, ale jedno i drugie swoim specjalnem, filozoficznem rozumowaniem zdepcie i w wyobraźni swojej wyższem nad nie ogłosi. Wszyscy prawie z gorączkową niecierpliwością chcieliby czegoś dopiąć i coś otrzymać, ale najczęściej sami nie wiedzą czego chcą i do czego dążą. Zaledwie dojdą do celu, który sobie chwilowo wytknęli, już się z niego nie zadawalniają i za czemś innem gonią. Nie mają wytrwałości i chcieliby z chwilowej najmniejszej pracy widzieć natychmiast korzystne rezultaty. Widocznie większa część młodzieży jest moralnie chorą i ta choroba nie mało im cierpienia sprawia — a z moralnych chorób trudniej jest niż z fizycznych się wyleczyć. Dlaczegoż to niema lekarzy na takie choroby? Są wprawdzie, a przynajmniej powinni być nimi księża, ale choroba naszej młodzieży należy właśnie do takich, że ich od księży oddala i zaufanie w nich odbiera. Czem jest więc ta choroba? jaki to kamień został z fundamentu usunięty? i co tak potrzebną równowagę w ludziach popsuło? Tą chorobą, to na nieszczęście sceptycyzm co do wszystkiego co dobre i piękne, to miłość siebie a pogarda bliźniego, to brzydki egoizm, który zatarł poczucie obowiązku i poszanowanie dla starszych — tym kamieniem zaś, na którym się wszystko opierało, była wiara, nieograniczona ufność w Boga i stanowcze przekonanie o przyszłym życiu; jak tego braknie, wszystko usunąć się musi i wówczas, niestety, równowaga stracona. Czemże wytłómaczyć można tę gorączkowość, którą terazniejsza młodzież jest opanowaną w szukaniu wszelkich przyjemności

na tym świecie i w chęci używania odrazu i bez zwłoki? Tem, że nie mają nadziei lepszego i wiary w szczęście wiekuiste w tamtym, lepszym świecie; widząc, że muszą umierać, a przypuszczając, że z końcem tego życia wszystko skończone, używają bezrozumni tego, co świat znikomy dać może: rozkoszy trujących duszę, które szczęścia prawdziwego nie dadzą i nigdy ich w końcu nie zadowolnią. Nie myślę, aby większość absolutnie nie wierzyła w nieśmiertelność duszy, gdyż każdy, co przeszedł przez nieszczęście lub niebezpieczeństwo, musiał mieć chwilę, w której jawnie uczuł albo palec Boży, lub też Jego opiekę nad sobą, ale jest wielka różnica między przypuszczeniem a wiarą głęboką i niewzruszoną w przyszłe życie; przypuszczenie samo nie wystarcza. Kto o przyszłym życiu jest przekonany, ten łatwo zrozumie, że to przejściowe na tej ziemi jest tylko próbą dla nas, że tak powiem, szkołą przygotowawczą i oczyszczającą, przez którą lepsze życie sobie wywalczamy — taki człowiek nie będzie za szczęściem tej ziemi gonił, bo przeświadczonym jest, że je znajdzie po śmierci. Brak więc wiary sprowadza takie gorączkowe szukanie szczęścia na tej ziemi; dodać jednak trzeba, że nie zawsze brak wiary, ale często lekkomyślność i nie zastanowienie się są powodem tej gonitwy za szczęściem — dodać wreszcie i to winniśmy, że wiek nasz to wiek nerwów i że do tej gorączkowości ludzi przyczyniają się także niemało koleje żelazne, telegrafy i wszystkie odkrycia łatwego skomunikowywania się i szybkiego przenoszenia się z jednego miejsca na drugie.

Dowodem oczywistym, że teraźniejsze pokolenie nie ma tej wiary niezachwianej w nieśmiertel-

ność duszy, są coraz częstsze samobójstwa, które dawniej były tylko rzadkimi wyjątkami. Odebrać sobie życie może ten tylko, kto myśli, że się wszystko ze śmiercią kończy. Mam nadzieję, że wy, moi drodzy, w te błędy nie wpadniecie i że przechowacie w sercach waszych wiarę i ufność w Bogu naszych przodków, tak jak ja, dzięki mojej matce i dobremu wpływowi moich nauczycieli religii, ani jednej chwili w mojem życiu o tej prawdzie nie zwątpiłem. Człowiek bez wiary staje się zwierzęciem, gdyż głównie różni nas od nich dusza nieśmiertelna i wiara w przyszłe życie. Sam rozum nasz tej różnicy stanowić nie może, gdyż instynkt niektórych zwierząt przewyższa często rozum niektórych ludzi. Instynkt jestto intelligencya nierezonowana, nieświadoma i prowadzi mimowolnie do czynów bez żadnego namysłu i rezonowania. Takową posiadają tak zwierzęta, jak ludzie, których intelligencya niezbyt jest rozwinięta. Co się instynktem robi, z tego sobie sprawy zdać nie można. Rozum, rezonowania i zastanowienia się rozwijają się kosztem instynktu; takowy tylko póty istnieć może, póki intelligencya nie wywoła rezonowania i zastanowienia się przed czynem. Nie ma nic przypadkowego na tym świecie, wszystko jest konsekwencyą czegoś. Każdy nasz czyn ma w bliższej lub dalszej przyszłości swoje skutki, nie zawsze dla nas samych, ale i dla innych. Jedno z drugiego wypływa i formuje łańcuch, tak długi, jak nasze życie. Ponieważ każdy jest odpowiedzialny za swoje intencye, dlatego posiadamy wolną wolę, pragnienia i chęci, chociaż wykonanie tychże nie zawsze od nas należy — dlatego myślę, że nie podług naszych czynów, ale głównie podług naszej intencji sądzeni będziemy. Naprzy-

kład: złodziej włazi przez okno, żeby człowieka zabić i okraść, tymczasem przebudza go i to robi, że śpiący z łóżka się zrywa w chwili, gdy dziwnym zbiegiem okoliczności sufit się nad nim zapada, czem życie mu ratuje; niemniej jednak intencja złodzieja była zupełnie inną i za nią to on odpowiada. Ten prosty przykład może objaśnić, że mimo naszej indywidualnej woli, zawsze się dzieje wola boska, że czyn człowieka może mieć wręcz przeciwny skutek jego intencji i że tym sposobem suma czynów ludzkich (jakieby nie były), takie ma rezultaty, jakie się z wolą Boga zgadzają. Jeśli się nie chce wierzyć w nieśmiertelność duszy i przyszłe życie, to trzeba zaprzeczyć i istnieniu Boga. Jeżeli w Boga wierzymy, to musimy także Bogu wszystkie przymioty i największe doskonałości przypisać, a zatem i sprawiedliwość. A jakże moglibyśmy w nią wierzyć, jeśli nie wierzymy w przyszłe życie, t. j. w nagrodę za dobre i karę za złe? Prawda, że sumienie nasze, gdy spokojne, jest już nam nagrodą, a gdy wyrzuty robi, karą, ale to mi się wydaje jeszcze nie wystarczające. Przyzwyczajanie do złych czynności t. j. do grzechu zagłusza sumienie i zmusza je do milczenia; wtenczas poniekąd ono w nas zamiera.

Jeśli więc nie zaprzeczamy istnieniu Boga i jego sprawiedliwości, nie możemy w przyszłe życie wątpić. Ten sam fakt że człowiek nie może zrozumieć istnienia boskiego bez początku, a może pojąć trwanie bez końca, powinno nam służyć za jeden z dowodów o początku naszej duszy i o jej nieśmiertelności.

Wierząc — jak ja najsilniej wierzę — w nieśmiertelność duszy i w przyszłe życie, nasuwa się oczywiście pragnienie użycia całej inteligencji,

jaką posiadamy, aby sobie wytłómaczyć związek tego życia z przyszłem, jakkolwiek musimy przyznać z pokorą, że nasz rozum i intelligencya są ograniczone i dużo rzeczy zrozumieć i wytłómaczyć przez to sobie nie możemy. Prawda, że nam religia nasza katolicka do pewnego stopnia związek ten istniejący między tym a tamtym światem tłumaczy, ale czyni to ona jednakowo dla chłopca z nierozwiniętym umysłem, jak dla człowieka z rozwiniętą intelligencyą, a ślepa wiara, która jest największem szczęściem dla tego, który ją mieć może, nie jest wszystkim daną.

Przecież spędzamy, jeśli nie całe, to większą część życia w pracy, by oświecać się w kwestyach, które [nas tu interesują; dlaczegóż nie możemy choć małej części naszego czasu użyć, by zrozumieć to, co nas najwięcej zajmowaćby powinno, a mianowicie: czem jest to nasze przyszłe życie? Jeżeli w dobrej intencji, dla objaśnienia sobie (nie odstępując od głównych zasad religii katolickiej) to czynimy, to P. Bóg, widząc w nas szczerę pragnienie oświecenia się, dopomoże nam, a gdybyśmy nawet w błędy jakie wpadli, łatwiej nam przebaczy, widząc dobrą naszą intencję.

Religia katolicka uczy nas, że jest: Niebo, Piekło i Czyściec. Zdaje mi się, że większość ludzi nie jest tak złą, aby na Piekło zasłużyła, ani znowuż tak doskonałą, aby wprost do Nieba poszła. Więc Czyściec i wyobrażenie o działaniu jego, jest nader interesującym dla nas. Bóg wszystkie dusze stworzył do zbawienia, ale udzielając wolność naszej woli, sprawił, że od nas zależeć będzie, czy prędzej czy później lub też nigdy dusza nasza zupełnego szczęścia nie osiągnie. Czas krótszy czy dłuższy będzie od tego zależał, o ile wydoskona-

leniem duszy naszej więcej lub mniej się zajmujemy. Jeżeli uporczywie w złem zawsze trwać będziemy i nasze oczy przed światłem i prawdą zamykać zechcemy, to szczęścia nie osiągniemy. Mam jednak nadzieję, że takich dusz jest mało, a zatem wcześniej czy później większość zbawioną będzie.

Widzimy, że wszystko w naturze stopniowo rozwija się, dochodząc do najdoskonalszego stopnia: człowieka. Można więc logicznie przypuścić, że po rozłączeniu się duszy z ciałem, dusza każda, uwolniona z więzienia cielesnego i od jego złych wpływów, stopniowo oczyszcza się — jakkolwiek już zasług nie zbiera, jakby tu na tej ziemi, dopóki z ciałem złączona, być mogło.

Wnoszę więc, że Czyściec reprezentuje wędrówkę, jaką dusze zmarłe przebywają i w miarę jak się oczyszczają w coraz doskonalsze światy wstępują, aż w końcu dojdą do zupełnej doskonałości i szczęśliwości. Wszakże Jezus Chrystus powiedział swoim Apostołom: „Jest wiele mieszkań w domu Ojca mego“. W wyobrażeniu mojem dusza będzie doskonała wtedy, gdy nie tylko już żadnej pokusy do złego czuć nie będzie, ale gdy do niego będzie miała największe obrzydzenie, prócz tego, gdy będzie spragniona czynić dobrze i być pomocną duszom, które tego jeszcze potrzebują. W takim stanie dopiero będzie godna wejść do nieba, to jest zbliżyć się do Boga, wprost Jemu służyć i od Niego rozkazy odbierać, bo to czego życzymy zmarłym, „wiekuisty pokój“, nie odpowiada wyobrażeniu, które mam o przyszłym życiu dusz naszych. Wszakże wiemy z doświadczenia, że człowiek niedoskonały nie może osiągnąć spokoju umysłu i być z siebie zadowolony,

jeżeli nie ma pracy, któraby mu się wydawała użyteczną dla siebie lub drugih. Tem bardziej przypuścić nie mogę, żeby dusza, doszedłszy do doskonałości, szczęście swoje w ciągłym spokoju i odpoczynku znaleźć mogła — toby było szczęście zanadto ludzkie i egoistyczne. Każdy niezbyt materialistyczny a cokolwiek duchowo wykształcony człowiek, niezawodnie że uczuwał często pokusy złych i natchnienia dobrych duchów. A nawet ci, co sobie z tego sprawy nigdy nie zdawali, mówią często: „Raptem mi taka myśl przyszła“, „przeczuwałem taką rzecz“, „nie mogłem się oprzeć, choć wiedziałem, że źle robię“ etc. To są skutki natchnienia dobrych i pokusy złych duchów. Gdyby walki nie było, nie byłoby i zasługi. Całe też nasze życie jest walką i nieraz walką dwójką: musimy najpierw walczyć z naturą, która jest chytrą i zwodzącą i zawsze siebie tylko ma na celu — musimy także nieraz walczyć i o byt, co często trudne i przykre, a tak pierwszą jak i drugą walką, wysługujemy sobie dobrą lub złą przyszłość. Tak, jak uczeń leniwy co dwa lata siedzi w tej samej klasie, a drugi pilny w jeden rok dwie przechodzi, tak i od nas zależy, jakie sobie po śmierci miejsce wywalczymy. Cierpliwość, którą uważam za matkę wszystkich cnót, głównie nam jest pomocną do wydoskonalenia naszej duszy. Gdyby nasze dusze, doszedłszy do doskonałości, wiecznie odpoczywać miały, zerwałyby się wszelki związek między naszym doczesnem a przyszłem życiem, i ani pokus, ani natchnień na tej ziemi nie moglibyśmy odczuwać. A jest przecie niezaprzeczoną prawdą, że dusze z tamtego świata z nami się komunikują przez pośrednictwo „medium“. Jest tylko kwestya nierozstrzy-

gnięta i zdania podzielone, czy to są same złe duchy, czy także i dobre. Jestem skłonny wierzyć, że jeśli Bóg, nieskończenie dla nas łaskaw, dozwala, aby nas złe duchy kusiły, to prawdopodobnie pozwoli także dobrym nas chronić od pokus. Mojem zdaniem, zależy to przedewszystkiem od intencji, w jakiej ludzie z duchami się komunikują, czy przeważnie dobre czy też złe duchy się zjawiają. Widocznie więc, jak i katolicka religia uczy, każdy z nas ma opiekuńczych duchów na drugim świecie, cóż więc jest naturalniejszego jak to, że bliscy krewni i przyjaciele nami się interesują i o ile im Bóg pozwala nami się opiekują. Dusze doskonałe znajdują szczęście w pracy, polecanej im przez Pana Boga około dusz niedoskonałych. Bo chociaż wielu liczne nadużycia w tym względzie popełnia i rozum ludzki skompletować chce w różnych książkach o spirytyzmie to jednakże te nadużycia i wszystkie nieprawdziwe „media“, które się dla zarobku publiczności przedstawiają, nie mogą być przeciwnymi dowodami dla rozsądnych ludzi i dla tych, którzy, jak ja, świadkami byli rzeczywistych i zupełnie przekonywujących objawów dusz zmarłych, które o związku tego naszego świata z drugimi wątpić nie pozwalają.

Chociaż spirytyzm ma dużo antagonistów, jednak ci sami, którzy go w śmieszność obracają i prawie za szaleństwo uważają, zmuszeni są przyznać, że zwalczył on materyalizm, szczególnie w Ameryce gdzie już znacznie był rozszerzony. Mimo tego, uważam, że Kościół bardzo mądrze zrobił, zakazując praktyk spirytyzmu, gdyż trzeba mieć ugruntowaną wiarę i być człowiekiem wytrawnym, ażeby te objawy dusz zmarłych w gło-
wie nie przewróciły i od obowiązków tego życia

nie odciągnęły. Ponieważ dużo osób tylko przez ciekawość i dla zabawy tem się trudni, zatem nie otrzymujemy komunikacyi z dobrymi duchami, ale tylko ze złymi lub swawolnymi, od których nic dobrego i pożytecznego dowiedzieć się nie można. Bardzo prawdopodobnem, jeśli nie pewnem jest także, iż ludzie, którzy na tym świecie prze-ważnie materyalne życie prowadzili i o Bogu prawie zupełnie zapomnieli lub w Niego wierzyć nie chcieli, myśląc, że ze śmiercią wszystko się skończy, będą zdziwieni widząc, o ile położenie ich na tamtym świecie zależało od ich życia doczesnego. A zatem, starajmy się umierać przygotowanymi do przejścia w świat inny i korzystajmy z tego życia, będąc miłosiernymi, ażeby na miłosierdzie Boskie zasłużyć. Miłosierdzie nie polega tylko na tem — jak wielu myśli — ażeby biednemu jałmużny nie odmówić, ale w codziennem życiu, szczególnie z osobami od nas zależnemi, i w tem, by o nikim źle nie mówić; jeżeli nic dobrego nie mamy o kimś do powiedzenia, to lepiej zamilczmy o nim. Niema wątplenia, że sądy boskie od ludzkich różne są i że osoby, które na naszym świecie nietylko pierwszemi się mieniły, ale nawet szanowane i podziwiane były, mogą sądem boskim między ostatniemi być postawione, a żebrak, który swoją niedolę w tem życiu z pokorą i cierpliwością znosił i niezachwianą nadzieję w Bogu pokładał, może być między pierwszych zaliczony. Znośmy także cierpliwie i z pokorą wszystkie próby, które P. Bóg na nas zsyła. gdyż nie na tem polega nasza zasługa, że je znosimy, bo znosić zmuszeni jesteśmy, ale na tem, w jaki sposób je znosimy, to jest nie skarżąc się i pokładając nadzieję w Bogu, że nas

nietylko z tego wszystkiego wyprowadzi, ale nawet złe w dobre obróci. Powinniśmy być wdzięczni Bogu za wszystkie cierpienia, tak moralne jak i fizyczne, które na nas w tem życiu zsyła, bo jeżeli potrafimy znieść je z pokorą, to przynajmniej część naszych grzechów już na tym świecie odpokutowujemy i na lepszą przyszłość zasługujemy. Wszakże wszystko, co na tym świecie przecierpieć możemy, nie da się porównać z tem, co Chrystus Pan dobrowolnie za ludzkość poniósł, umierając na krzyżu! Mógłbym o tych moich poglądach dłużej jeszcze pisać, ale gdy celem moim jest zwrócić waszą uwagę na te moje zapatrywania tylko dlatego, że przedewszystkiem nieśmiertelności naszej duszy dowodzą, więc od dalszego i nic z tem niemającego wspólnego rezonowania wstrzymać się wolę.

IX.

O wychowaniu młodzieży męskiej i żeńskiej.

Wychowanie młodych ludzi powinno się przedewszystkiem w tym kraju odbywać, w którym prawdopodobnie przeznaczeni są życie swoje spędzić, stosunki bowiem najtrwalsze zawiązują się na ławach szkolnych, na których razem nie-jeden rok przesiedzieli i niejednego wrażenia doznali. Młody człowiek, wychowany po za granicami swojego kraju, będzie się czuł cudzoziemcem u siebie i będzie tęsknił za krajem, w którym był wychowany i w którym zostawił kolegów i przyjaciół swoich — uczuje wielką trudność przywyknienia do obyczajów mało mu znanych i będzie wzdychał za krajem, w którym spędził młode swoje lata. Prócz tego rodzice powinni dobrze zawczasu zauważyć, jaką przyszłość mogą zapewnić dzieciom, i stosownie już do tego ich wychowywać. Syn, którego przeznaczeniem jest być rolnikiem, powinienby, skończywszy gimnazyum, pójść do szkół technicznych, potem rolniczych, a wreszcie zakończyć praktyką przy dobrem gospodarstwie w kraju, w którym kiedyś gospodarować będzie. Teoretyczne wiadomości nie są wystarczające, zastosowanie ich zaś we własnym majątku może za wiele kosztować i być przyczy-

na nieraz jego zguby. Uważam, że błędem jest młodego człowieka, przeznaczonego na gospodarza, posyłać po skończeniu gimnazjum na uniwersytet, gdzie n. p. na prawnika się kształci, bo zwyczajnie po skończeniu uniwersytetu będzie już w tym wieku, że nie zechce się mu przechodzić przez szkołę agronomiczną i praktykę gospodarczą. Wróci więc na wieś, dumny ze swej wiedzy i zajmie się tem, o czem mało ma pojęcia. Nie możemy mu wtedy mieć za złe, jeśli dużo błędów popełni, które drogo kosztować będą. Zarozumiałość jest w ogóle wielkim błędem i nie-szczęściem naszego narodu. Daje się to po części tem wytłómaczyć, że, prócz w Galicyi, wszystkie karyery są nam albo zamknięte, albo bardzo utrudnione — nie mając więc możliwości wypróbowania swoich zdolności, młodzi ludzie uważają się za zdatnych do wszystkiego. A życie ludzkie tymczasem wystarcza zaledwie, by nabyć umiejętność i doświadczenie w jednym zawodzie. Kto myśli, że wszystko umie i że do wszystkiego jest zdatny, daje tem samem najlepszy dowód, że nic nie umie i że jest do niczego.

Synów, którym rodzice nie mogą dać majątku w ziemi, trzeba tak wychować, żeby swoją wiedzą byt sobie zapewnić mogli i kształcić ich w zupełnie specjalnym kierunku: na adwokatów, inżynierów i t. p. lub na ludzi obeznanych z przemysłem i handlem. Przesąd zadawniony, że szlachcicowi nie wypada handlem się trudnić, niema żadnej rozsądnej podstawy i jest tylko tłómaczeniem dla leniuchów, którzy się wszelkiej pracy lękają. Tylko próżniactwo powinno człowieka zawstydząć, wszelka zaś praca uczciwa uszlachetnia go i zaszczyt mu przynosi. Tak, jak każda reguła

ma swoje wyjątki, tak i tu bywają położenia wyjątkowe, z powodu nieprzewidzianych zbiegów okoliczności, które mogą zmusić młodego człowieka do opuszczenia przedsięwziętej karyery i obrania sobie dotąd nieznanego zawodu.

Jestem za wychowaniem chłopców od lat 12 a nawet 10 w szkołach publicznych, nie tylko dla nauk, które przez emulację mogą być lepsze, ale głównie dlatego, że uczą się tam zawczasu żyć z ludźmi, a ta umiejętność w życiu dla mężczyzny jest niezbędnie potrzebną. Jeśli rodzice mogą swoich synów do 12 lat w domu kształcić, to tem lepiej; w takim razie matka będzie mieć więcej czasu, by w nich wszczepiać zasady religijne i moralne, a ojciec będzie mógł wpłynąć na ich charakter. Co do wychowania panien, to i ono nie zawsze jest praktyczne, gdyż w wyższych sferach towarzyskich są one prawie wyłącznie wychowywane na kobiety światowe, które byłyby na mojem miejscu, gdyby zostały żonami ministrów, ambasadorów, albo ludzi posiadających wielką pozycję w jakim stołecznem mieście, a tymczasem z małemi wyjątkami przeznaczeniem ich jest: wyjść za ziemianina i mieszkać na wsi. Wypływa więc z tego, że nie tylko nie są wcale obeznane ze swoim zawodem, ale nie umieją zająć się gospodarstwem kobiecem — co gorzej, nudzą się na wsi i zawracają głowę mężowi, by je zimą do miasta a latem do wód woził, choć to dla ich zdrowia wcale potrzebnem nie jest.

Kobieta powinna być tak wychowaną, żeby mogła być prawdziwą towarzyszką męża, jego pomocnicą i doradczynią — nie zaś ciężarem i przeszkodą w pracy. Wprawdzie Polkom w ogóle nie można zarzucić braku intelligencji i wro-

dzanego sprytu, a zatem z małemi wyjątkami nabywają z czasem to, co w ich wychowaniu zaniedbanem było, ale to im przyczynia dużo przykrości i umartwień. Że kobiety więcej teraz, niż dawniej, umysł swój wykształcają, jest chwalebne, ale nie powinno się to dźiać kosztem zdrowia. Matki, które córki przymuszają do 10-cio i 12-to godzinnej pracy umysłowej dziennie, zapewne wychowują uczone córki, ale też będą mieć na sumieniu, jeśli te ostatnie, wyszedłszy za mąż, ciągle chorować będą i wreszcie zostaną matkami słabych i wątłych dzieci. Nauka więc, szczególnie u kobiety, nie powinna być nigdy kosztem jej zdrowia — ona bowiem, będąc najczęściej przeznaczoną na matkę, powinna to zdrowie zachować nie tylko dla siebie, ale także i dla dzieci.

Każda nauka jest pożyteczną, i wszystko, czego się człowiek nauczy, może mu się w życiu przydać, ale są nauki, tak dla chłopców jak i dla panien, więcej lub mniej potrzebne. Chciałbym więc zwrócić uwagę rodziców na to, by starali się tak dzieci swoje wychować, iżby je jak najlepiej przygotować do czego prawdopodobnie są przeznaczone. Jednem słowem, obowiązkiem rodziców jest dać dzieciom nie fantastyczne jakieś, ale racjonalne wychowanie, zgodne z pozycją materialną i stanowiskiem, jakie w świecie zajmować kiedyś mogą, a przedewszystkiem zastosowane do ich zdolności umysłowych i potrzeb moralnych; pamiętać oni winni, że odpowiedzialni są nie tylko za doczesne szczęście swoich dzieci ale i za wieczne!

Śmierć i pogrzeb Władysława hr. Ponińskiego.

„Czas“ Nr. 186 z dnia 16 sierpnia 1901 r.

Władysław hr. Łódzia Poniński, generał-porucznik kawaleryi włoskiej, adjutant króla włoskiego, kawaler licznych orderów, ożeniony z księżniczką Olgą Czetwertyńską, przeżywszy lat 79, zmarł w swych dobrach Sapożynie na Wołyniu, w dniu 11 sierpnia, pozostawiając po sobie dwóch synów: Stefana, ożenionenego z Maryą Jaroszyńską i Mieczysława, ożenionego z Amelią Jastrzębską.

„Czas“ Nr. 256 z dnia 7 listopada 1901 r.

Pogrzeb ś. p. Władysława hr. Ponińskiego, generał-porucznika armii włoskiej, odbył się w Krakowie dzisiaj we czwartek dnia 7 listopada 1901 r., o godzinie 11-ej w południe z dworca kolei Północnej. Pochód żałobny otwierał komenderujący pogrzebem fmp. Huber, przepasany żałobną szarfą; za nim szedł szwadron dragonów i pół batalionu 56 pułku piechoty ze sztandarem; dalej postępowała orkiestra 56 pułku piechoty, grająca marsze żałobne. Przed karawanem prowadzono wierzchowca, okrytego żałobną kapą i niesiono na poduszce orderzy zmarłego. Zwłoki złożono na karawanie, zaprzężonym w 6 koni. Za trumną szła

rodzina i grono zaprzyjaźnionych z nią osób; nadto generalicya z JE. fimp. Horsetzkym, oraz korpus oficerski. Pochód zamykała druga połowa batalionu 56 pułku piechoty, oraz pół bateryi artyleryi. Przed cmentarzem piechota i artylerya dawały salwy honorowe, poczem odbyła się defilada przed JE. fimp. Horsetzkym. Zwłoki złożono na cmentarzu krakowskim.



60

3335 20

104 11

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM KEK 314417



000-314417-00-0